

**MAREK BUDZISZ PRZEWIDZIAŁ
DRONOWY ATAK NA POLSKĘ.
TERAZ PISZE, JAK PRZYGOTOWAĆ SIĘ
NA KOLEJNE**

**MICHAŁ DWORCZYK:
UCZYMY SIĘ
OD UKRAINY I IZRAELA**

**JAN PARYS:
DO CZEGO
NIE PRZYZNAŁ SIĘ
DONALD TUSK**

SIECI

SIECI

**NAJWIĘKSZY
KONSERWATYWNY
TYGODNIK OPINII
W POLSCE**

38 (668) 2025
15-21 września 2025

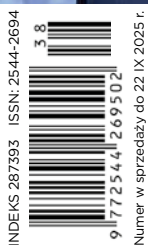
CENA: 12,90 zł
(w tym 8% VAT)



TYLKO U NAS

MÓWIMY, JAK JEST WPOLSCIE24

**UJAWNIAMY HITY NOWEJ RAMÓWKI
NAJSZYBCIEJ ROZWIJAJĄCEJ SIĘ
TELEWIZJI W KRAJU**



INDEKS 287393 ISSN: 2544-2694

3 8

9 772544 269502

Numer w sprzedaży do 22 IX 2025 r.

wPolsce
24

WIADOMOŚCI

codziennie

19:30

wPolsce **24**

Najważniejszy
program informacyjny
w Polsce

Newsy, komentarze,
opinie ekspertów



GDZIE NAS
OGLĄDAĆ:

52
telewizja
nazlemna

909
921, 196
polsat box

62
CANAL+

192
netia

32
orange

825
vectra

65
339, 121
PLAY

459
ineta

631
TOYA

43
evio

Nowy rząd pilnie potrzebny

Od wielu dni obserwowaliśmy wzmożone naruszenia polskiej przestrzeni powietrznej przez drony, zakończone spektakularnym uderzeniem z 9 września. Aż do tego dnia za każdym razem rządzący uspokajali, mówiąc o przypadkowej obecności obiektów przemysłowych. A to przecież tylko jeden z elementów szerokiego testowania reakcji, na który składają się m.in. liczne podpalenia w całym kraju.

Nocny atak dronowy na Polskę, odparty przez wojsko, nareszcie obudził rządzących, ale wątpliwości nadal narastają. Rosja sprawdza naszą gotowość, szacuje nasze siły i środki. Rzecz jednak w tym, że władzę sprawują „reseciary”, którzy rosyjskie zagrożenie bagatelizowali nawet wtedy, gdy dla innych było ono oczywiste. Co więcej, kluczowa dla tych sytuacji Służba Kontrwywiadu Wojskowego znajduje się w rękach ludzi, których eksperci poprzedniego rządu uznali za zagrażających bezpieczeństwu Polski. I nie jest to koniec personalnych wątpliwości.

Wojna na Ukrainie trwa już czwarty rok, Rosja i Białoruś rozpoczynają manewry wojskowe Zapad-25, międzynarodowi eksperci alarmują, że na atak Putina szczególnie narażony jest obecnie przemyś suwalski. W takich realiach powierzenie bezpieczeństwa państwa ludziom, których historia naznaczona jest rażącą uległością wobec Rosji, budzi ogromny niepokój. I nie chodzi tu jedynie o mniomione wydarzenia, od których politycy ci mieliby się odciąć. Ich ówczesna postawa ma realne konsekwencje w postaci posiadanych przez wroga „argumentów” mogących skłonić ich do określonych działań. Jeśli więc weźmiemy pod uwagę fakt, że w Służbie Kontrwywiadu Wojskowego, będącej najistotniejszym elementem kontroli polskiej armii, znajdują się ludzie uznani przez komisję ds. badania rosyjskich wpływów za zagrażających bezpieczeństwu kraju, robi się naprawdę groźnie.

Ale na tym nie koniec. Komisja, której przewodniczył prof. Sławomir Cenckiewicz, wydała negatywne rekomendacje także dla ludzi pełniących dziś kluczowe

funkcje w państwie. W zaprezentowanym przez prof. Zybertowicza raporcie komisja zarekomendowała, by „Donaldowi Tuskowi, Jackowi Cichockiemu, Bogdanowi Klichowi, Tomaszowi Siemoniakowi i Bartłomiejowi Sienkiewiczowi nie powierzać stanowisk publicznych odpowiadających za bezpieczeństwo państwa”. Stało się zgoła odwrotnie.

Lekceważenie zagrożeń to stała cecha Platformy Obywatelskiej i ludzi związanych politycznie z Donaldem Tuskiem. Zawsze osłabiali armię i właśnie w tym obszarze szukali oszczędności. Obserwujemy to także obecnie. Federacja Rosyjska doskonale o tym wie. Poddaje Polskę testom na wielu poziomach i coraz bardziej bezpośrednio. Sprawdza naszą gotowość bojową, testuje nasze siły i środki, których jesteśmy gotowi użyć do obrony. Doskonale rozprawia także własną narrację, sieje strach, napędza konflikty, dezinformuje. Z pewnością zadowoliliby ją sytuacja, w której atak zostanie uznany za ukraińską prowokację, a Polska została wyizolowana z solidarnościowego wsparcia krajów NATO. To się jednak nie udało. Prezydent podjął natychmiastową współpracę z premierem, Donald Tusk tym razem dotrzymał kroku, a państwa sojusznice potępiły atak, uruchamiając art. 4. traktatu północnoatlantyckiego. Ale to dopiero początek.

Teraz czas na wyciągnięcie kolejnych wniosków.

Wszelkie działania zmierzające do osłabienia współpracy z NATO, zmniejszenia obecności amerykańskich wojsk, redukcja nakładów na armię, rezygnacja z inwestowania w sprzęt i ludzi, zastąpienie obecnych rozwiązań jakąś armią europejską pod wodzą Niemiec – szkodzi Polsce i uderza w bezpieczeństwo Rzeczypospolitej. Wzmacnianie obronności musi być absolutnym priorytetem, ale nie tylko w obszarze decyzji finansowych i zbrojeniowych. Konieczne jest odsunięcie od władzy ludzi, którzy w wątpliwy sposób współpracowali z Rosją, splamili się współpracą z obcą agenturą i mogą ulegać zewnętrznym wpływom. To natomiast oznacza jedno – konieczność zmiany władzy.

Marzena Nykiel





32

Polska musi sięgnąć
po swoją diasporę
Artur Ceyrowski



45

Ta rola to dar od Boga
Z Marcinem Kwaśnym
rozmawia Dorota
Łosiewicz



48

Dobijanie polskiego
rolnictwa
Dariusz Matuszak

NA POCZĄTEK

- 5 NASI OŚWIECENI
Bronisław Wildstein
- 6 SYGNALISTA NADAJE
Nieoficjalny przegląd tygodnia
- 8 Z POLITYCZNEJ NIENAWIŚCI
Dorota Łosiewicz
- 9 URSULA VON DER LEYEN
– KRÓLOWA SPRZECZNOŚCI
W BRUKSELSKIM TEATRZE ABSURDU
Daniel Obajtek
- 10 ŚWIATOWE ŻYCIE
redaguje Konrad Kołodziejski
- 12 WALIZKA WERONIKI KOSTRZEWEY
Michał Korsun
- 14 NIUSY I FUSY
Jan Pietrzak
- 14 JEDNOŚĆ TAK, ALE NIE BEZ
ODPOWIEDZIALNOŚCI
Samuel Pereira
- 15 HISTORYCZNY ZWROT?
Arkadiusz Mularczyk
- 16 WRZESIEŃ
Lech Makowiecki
- 17 BRAZYLIJSKI ŁĄCZNIK
Marta Kaczyńska-Zielińska

TEMAT TYGODNIA

- 20 NOWOCZESNA TELEWIZJA,
KTÓRA PILNUJE POLSKI
Łukasz Wróblewski

KRAJ

- 24 POLSKA NA ROSYJSKIM CELOWNIKU
Marek Budzisz
- 28 OSTATNI STRZAŁ OSTRZEGAWCZY?
Michał Dworczyk
- 30 PO PROWOKACJI PUTINA
Jan Parys
- 32 POLSKA MUSI SIĘGNAĆ
PO SWOJĄ DIASPORĘ
Artur Ceyrowski
- 36 RZĄD WSTYDU
Stanisław Janecki
- 38 OSTATNIA NADZIEJA LIBERAŁÓW
Piotr Gursztyn
- 41 OFIARY NOWEJ TRANSFORMACJI
Konrad Kołodziejski
- 45 TA ROLA TO DAR OD BOGA
Z Marcinem Kwaśnym
rozmawia Dorota Łosiewicz

ŚWIAT

- 48 DOBIJANIE POLSKIEGO ROLNICTWA
Dariusz Matuszak
- 50 DWÓCH ŚWIĘTYCH PEŁNYCH ŻYCIA
Goran Andrijanić
- 52 MORDERCA CZY BOHATER?
Aleksandra Rybińska

OPINIE

- 54 BANKRUCTWO LIBERALNEGO
PAŃSTWA
Maciej Walaszczyk

SPORT

- 57 MIESIĄC MIODOWY URBANA
Michał Muzyczuk

HISTORIA

- 60 OSTATNI BANDEROWCY
W POLSKICH LASACH
Stanisław Płuzański

SIECI KULTURY

- 63 JAK OGIEŃ I WODA
Z aktorami Dorotą Chotecką
i Radosławem Pazurą
rozmawia Jolanta Gajda-Zadworna
- 66 HITY I KITY
Piotr Zaremba
- 68 DROGA NADZIEI
Robert Tekieli

KUCHNIA

- 70 MOJE SMAKI: MAGDALENA
JUTRZENKA
Jolanta Gajda-Zadworna
- 71 SŁODKO-SŁONY/WILCZYM OKIEM
Anna Monicka, Przemysław Barszcz

NA KONIEC

- 72 OGNIEM NA WPROST
Andrzej Rafał Potocki
- 73 REAL MADRYT I 34 LATA
SEÑORA DE BERNABÉU
Ryszard Czarnecki
- 74 O NAIWNI! O GŁUPCY!
Katarzyna i Andrzej Zybortowiczowie

Nasi oświeceni

Rzecz zdarzyła się w trakcie konferencji poświęconej myśli Hannah Arendt. W swoim wystąpieniu filozof prof. Andrzej Przylębski zadeklarował, że Francja, wpisując aborcję do konstytucji, wypisała się z cywilizacji europejskiej. Dygresja ta wywołała gwałtowne reakcje. Prof. Wojciech Sady, znany historyk nauki i filozofii, ogłosił, że po naukowo-technicznej rewolucji, która stanowi konsekwencję oświecenia, jedynym racjonalnie uzasadnionym stanowiskiem politycznym jest liberalizm. Nie jest dla niego alternatywą żaden religijnie motywowany światopogląd. Nie zmienia tego nieświadome masy, a on, profesor filozofii, nie zgadza się, aby narzucały mu one swoje prawa.

Tylko na pozór nie miało to związku z wystąpieniem Przylębskiego. Sady wygłosił credo ideologii emancypacji. Zgodnie z nią świat dzieli się na dwa obozy: postępu i wsteczności. Ten pierwszy ma za sobą autorytet nauki, drugi to zona religijnego zabobonu i zaczadzonych nim ciemnych mas. Ludzie oświeceni i wyemancypowani wyznają liberalizm, dla którego nie ma żadnej sensownej opozycji; jego przeciwnicy to bezrozumny tłum.

Nie istnieje żadna rzecz ani żadne zjawisko, które – zdaniem apostołów owej wizji – nie jest przez nią zdeterminowane. Wydawałoby się, że stosunek do aborcji nie ma nic wspólnego z nauką. Jeśli się do niej odwołujemy, to kolejne odkrycia potęgują tylko wątpliwości co do usuwania ciąży. W momencie poczęcia zostajemy już całościowo genetycznie wyposażeni. Przyjęcie więc, że człowiek zaczyna się później, jest zupełnie arbitralne i nie ma nic wspólnego z nauką.

Nie jesteśmy w stanie ufundować porządku aksjologicznego na naukach ścisłych i przyrodniczych. Żaden postęp w tych dziedzinach nie dostarczy dowodu na wyższość życia nad jego zaprzeczeniem, a ludzi nad insektami. Żadne równania nie wyliczą godności człowieka. Elementarna logika powie nam natomiast, że jeśli założymy, iż aby za takiego być uznanym, musimy prezentować ileś dodatkowych (poza egzystencją) np. intelektualnych cech, to doprowadzimy do negacji wartości człowieczeństwa. O tym, kto zostanie uznany za ludzką osobę, decydowali będą silniejsi, a mamy już historyczne doświadczenia, dokąd to prowadzi.

Zakwestionowanie aborcji Sady wiąże z religią – jego zdaniem zaprzeczeniem racjonalności. Trzeba niewiele wiedzieć o chrześcijaństwie, aby formułować takie sądy. Ale nie trzeba być wyznawcą religii, aby przeciwstawiać się aborcji. Nie sposób uznać jej za sprawę prywatną i jednocześnie odwoływać się do ludzkiej godności. Nawet liberal jest w stanie to zrozumieć, chociaż w dobie ideologicznej rewolucji, która musztruje swoich zwolenników, trudno mu publicznie bronić takiego poglądu.

Świat nie dzieli się na dwa obozy, a ci, którzy uznają wartość nauki, nie muszą być ani ateistami, ani liberałami. Oba

te zbiory również nie zawierają się w sobie. Więcej, one funkcjonują w innych porządkach.

Sady jako metodolog i teoretyk nauki wie o tym doskonale. Dlaczego karmi nas zatem ideologiczną propagandą? Nie posądzam go o cynizm, pozostaje więc wyjaśnienie najprostsze: Sady wierzy w to, co mówi. Jego teoretyczna wiedza ma się nijak do jego politycznych wyborów, które wyrastają z idiosynkrazji i dyktujących je towarzyskich afiliacji. To one każą mu dzielić ludzi na swoje, prezentujące pokrewne mniemania środowisko, czyli światłych postępowców, i pozostałych – ciemną masę, która nie powinna mieć praw obywatelskich. Okazuje się zatem, że oświecenie to nie wiedza oraz zdolność rozumowania, to zestaw wyznawanych poglądów. Ci, którzy uznają, że powinni dyktować prawa dla wszystkich, nie są bardziej racjonalni, a tylko prezentują opinie uznawane za takie w ich towarzystwie.

Znany koszykarz Marcin Gortat powiedział niedawno coś podobnego, co Sady. Stwierdził publicznie, że „małe miasteczka, małe miejscowości, wieś” nie mogą decydować o regulach, które mają obowiązywać. „Nie możemy sobie na to pozwolić”. Ten sam wywiad udowodnił, że sportowiec nie zna tabliczki mnożenia, nie ma pojęcia o polskiej historii i ogólnie poza sportem nie ma pojęcia o niczym. Zupełnie nie nadwiera to jego dobrego samopoczucia i wyobrażenia, że przynależy do oświeconej elity, która w przeciwieństwie do wiejskiego i małomiasteczkowego motłochu powinna mieć prawo podejmować polityczne decyzje.

Zdumiewać może tak daleko idące mentalne podobieństwo Gortata

i wybitnego historyka nauki oraz filozofii. To jednak tylko kolejny przykład, który pokazuje, że ludzie nie są zwykle integralni i najwyższe nawet kompetencje w określonej dziedzinie (Gortat z pewnością jest świetnym koszykarzem) nie przekładają się na inne, a osoba, która wykazuje się zdolnością myślenia w domenie jednej, nie potrafi przelożyć tego na inne. Jest to istotny argument na rzecz demokracji, której wartość realnie negują – opisane przykłady można mnożyć – zwolennicy jej liberalnego wcielenia. 



Sygnalista nadaaje

☞ Panie premierze Tusku Donaldzie! Co to jest? Z kim pan się spotyka? Z człowiekiem, który nie ma poświadczenia dostępu do tajemnic i który szkalał naszego legendarnego przywódcę, mistrza świata w wygranych w totka? Mowa o tym Cenckiewicz, który bezprawnie okupuje miejsce uświęcone obecnością prawdziwego szoguna – gen. Kozieja, czyli BeBeeN. Nie przyjmujemy argumentu, że to z powodu ruskich dronów. Demokracja walcząca ma walczyć z PiS, a nie jakimiś dronami. Te przecież spadły na Polskę wschodnią, która, jak wiadomo, nie dorosła do tego, aby być pełnoprawną częścią Ten Kraju. Rani pan uczucia tych wszystkich demokratów, którzy czekają na chwilę, gdy mec. Giertych i dr Kontek zakończą przeliczanie głosów z wyborów prezydenckich.

☞ Jeśli chodzi już o tę błahostkę, czyli drony, to trzeba podkreślić, że mieszkańcy Polski wschodniej sami sobie są winni. Wiadomo, na kogo głosowali w wyborach prezydenckich. A gdyby prezydentem był teraz Rafał (nie tylko w naszych sercach, lecz także w pałacu) i gdyby w Ameryce osobą prezydencką była Kamala – jakaż to byłaby siła! Putin ze strachu przed tymi groźnymi mocarzami schowałby się do najgłębszej mysiej dziury na Kremlu. A nawet zgodziłby się na ETS i umowę z Mercosur!

☞ Biegnij, Donaldzie, biegnij! Piękny film upubliczniła za to kancelaria premiera, a w nim biegający Donald Tusk. Nasz Forrest Gump! Oszalała prawacka opozycja zagrzmiała, że premier ucieka. A to nieprawda. Pre-

mier goni i przegoni. Donald Francisek wie, że życie jest jak pudełko czekoladek i nigdy nie wiadomo, co się nam trafi. Czy umowa z Mercosur, czy obniżenie ratingów finansowych, a może znów wzrost bezrobocia?

☞ Biegający Donek to znakomity pomysł najtęższego mózgu w otoczeniu premiera, czyli Agnieszki Rucińskiej. To ta blondyna ze srogą miną, która cały czas stoi obok niego. Źli ludzie, a zwłaszcza prawacka szczujnia z „Sieci”, powtarzają o niej niedobre rzeczy. Np. to, że Agnieszka nie daje spać premierowi i dzwoni do niego w środku nocy. Ale hejterzy nie dodają tego, że nie jest to stalking, lecz polityka, czyli rozumna troska o dobro wspólne. Dowiadujemy się także, że wprawdzie nie lubi jej Małgorzata, ale za to Agnieszka czesze się dokładnie tak samo jak Elka Bieńkowska. Taki mamy klimat. PS Brak bliższych danych, czy Kristina lubi Agnieszkę. Pewnie nie. Baby zawsze się pożą w takich okolicznościach.

☞ Wstrząsający news dotarł z Sopotu. Spod domu przy ul. Syromli został skradziony samochód Lexus. Skromne rodzinne autko za symboliczne 300 tys. zł. Zostało skradzione, ale szybko odnalezione. No bo to jest Lexus premiera Tuska. Albo premierowej Małgosi, bo premier nie wpisał tego autka do swojego oświadczenia majątkowego. A to pewnie dlatego, że przedmiotów o wartości poniżej 10 tys. zł nie trzeba wpisywać.

☞ Teraz o **Radku Sikorskim**. Ten uroczy, coraz bardziej pyzaty bobas niedługo wejdzie w wiek doro-

sły. Krzepki Radek jest nie tylko krzepki, lecz także słodki. Wszyscy widzieli jego sweet focie z trawników w mieście Waszyngton. Piękna pamiątka z zagranicznych wakacji. Radek będzie miał co opowiadać po powrocie do szkoły. A tymi opowieściami i trawnikowymi fotografiami zaimponuje wszystkim dzieciom, a zwłaszcza koleżankom z klasy.

🔊 Kolejna ciekawa przygoda w życiu tego dobrze zapowiadającego się młodzieńca. Radek wystąpił w telewizji CNN. Pytacie nas, co to jest CNN i co to jest telewizja, zatem spieszymy z odpowiedzią: w dawnych czasach prawie wszyscy ludzie mieli w swych domostwach urządzenia nazywane telewizorami. I w określonych porach włączali je, aby posłuchać osób takich jak Radek. Nie jest to legenda, ale fakt potwierdzony naukowo. Dzisiaj co prawda prawie nikt już nie ogląda CNN, ale za to też nikt nie uważa Radka za poważnego polityka. Czyli wszystko do siebie pasuje.

🔊 Biedny jest za to charyzmatyczny lider Lewicy **Krzysiek Gawkowski**. Polska MAGA, czyli Nawrocki i spółka, pojechali do dużej amerykańskiej MAGA, no i w ogóle tam nie gadali o podatku cyfrowym. A miało być strasznie i groźnie. Krzysiek wymyślił ten podatek, licząc na to, że Trump i ta cała jego MAGA wściekną się i zaczną grzmieć. No i wtedy Krzysiek by wyszedł cały na czerwono jako bohater postępowej ludzkości, który nie kapituluje przed amerykańskimi imperialistami. Jako Krzysiek „Che” Gawkowski. Nietety imperialiści i soldateska znad Potomaku nie docenili, a nawet nie zauważyli Człowieka Roku forum w Krynicy. Stara MAGA mocno śpi, ale jak się obudzi, to Krzyska zje. Chyba że znowu go nie zauważy.

🔊 Dramatyczna sytuacja w najbardziej europejskim mieście Ten Kraju, czyli Warszawie. Doszło do różnicy zdań między prezydentem naszych serc Rafałem Trzaskowskim a pogromcą nadziei dolnośląskich powodzian **Marcinem Kierwińskim**. Rafał chce wprowadzenia w Warszawie nocnej prohibicji, a to w ramach walki z hałaśliwymi pijakami. Marcin – jako stołeczny baron Platformy – nie wyraził na o zgody. Panowie pięknie się różnią, a bój jest srogi. Marcin osobiście dzwoni do radnych i troskliwie przedstawia im konsekwencje tego, co ich spotka, gdyby poparli pomysł zakazu nocnej sprzedaży alkoholu. Jednocześnie nieuczciwym nadużyciem jest łączenie w tym kontekście Marcina Kierwińskiego i przypominanie incydentu z pogłosem mikrofonowym.

Marcin jest bowiem najlepszym uosobieniem hasła, że alkohol pity z umiarem nie szkodzi nawet w największych ilościach.

🔊 Kolejny cios w dynastię Schnepfów (dawniej Sznepf). Dorota nie będzie miała programu w TVP. Z pewnością to jacyś ukryci tam pisowcy skasowali jej cudowny program z najbardziej zwariowanymi wariatami pt. „Rozmowy niesymetryczne”. Program był szeroko znany w wąskim kręgu wielbicieli Doroty. Nie przyjmujemy argumentu, że powodem jego skasowania była słaba oglądalność. Przecież cała neo-TVP stawia na jakość, a nie na ilość. Elitarna, wąska widownia, a nie wielomilionowa gawiedź, której masami ekscytowali się ludzie, tacy jak Jacek Kurski. Doroto! Głowa do góry. Może Kanał Zero coś pani proponuje? Przecież zna się pani blisko z panem Stanowskim. To on tak ładnie mówił o Dorocie, że jest arcykapłanką.

🔊 Patrzcie, hejterzy, na pozytywny przykład! **Ryszard Schnepf**, ambasador tytularny, zarabia miesięcznie jakieś nędzne 20 tys. zł. A stać go na to, aby wysłać synka Maksia (imię po bohaterskim dziadku) do szkoły, gdzie chesne wynosi rocznie symboliczne 100 tys. zł. Można? Można! Bo oszczędnością i pracą ludzie się bogacą. A wy przepijacie 800+. Jedyne, co nas trochę martwi, to fakt, że Maksio trafił do katolickiej szkoły. A to znaczy, że ten prześladowany przez prawackich hejterów chłopiec został pozbawiony możliwości uczęszczania na edukację zdrowotną. A co gorsza, w tych katolickich szkołach zadają prace domowe i jest więcej niż jedna lekcja religii. Ministro Nawacko Baško, ty widzisz i na to pozwalasz?

🔊 Brzydko bawi się artysta estradowy Kazik. To znaczy nieładnie śpiewa o postępowym europośle Biedroniu Robercie. We wspomnianym utworze artysta Kazik brzydko się wyraża nie tylko o tym cenionym polityku, lecz także nienawistnie odnosi się do osób pracujących w branży sex workingu. Na dodatek wzywa do przemocy wobec Roberta. A co gorsza, uzurpuje sobie prawo do naśladowania premiera Tuska, który kiedyś słusznie przypomniał niejakiemu Andrzejowi Dudzie wiersz o tym, że czeka go sznur i gałąź pod jego ciężarem zgięta. Panie Kazimierzu, przecież musi pan wiedzieć jako artysta, że tak brzydko można śpiewać tylko o prawicy. A konkretnie o PiS i Kaczyńskim.

🔊 Druga część naszego kącika muzycznego. Piosenka od Giorgii dla Karola: „Wielka miłość” (w oryginale „Amore mio”).



WIEŻA BAB

Z politycznej nienawiści

*Zginął, bo był głosem
prawicy, symbolem
konserwatyzmu i aktywistą,
który mówił to, w co wierzył*

Światem wstrząsnęła informacja o brutalnym zabójstwie znanego działacza i komentatora o konserwatywnych poglądach, związanego z Donaldem Trumpem i ruchem MAGA. Charlie Kirk, bo o nim mowa, został postrzelony podczas wystąpienia na uniwersytecie w Utah. W wyniku postrzału zmarł. Jedna kula, chwila terroru i 31-letni ojciec dwójki dzieci stracił prawo głosu. A głos, którym przemawiał, był ważny i słyszany. Nie wszystkim się jednak podobał. Szczególnie nie podobał się środowiskom, które lubią mówić o otwartości, szacunku i tolerancji. Kirk był jedną z czołowych postaci amerykańskiej prawicy oraz bliskim współpracownikiem Trumpa. Założył organizację Turning Point USA, której celem była mobilizacja młodych konserwatywnych wyborców, prowadził też własne media.

„Wielki, a nawet legendarny Charlie Kirk nie żyje.

Nikt nie rozumiał ani nie miał serca młodzieży w Stanach Zjednoczonych lepiej niż Charlie” – napisał prezydent USA Donald Trump. „Każdy akt agresji zasługuje na potępienie. Jednak zabójstwo młodego mężczyzny, męża i ojca z powodu różnic politycznych budzi najgłębszy sprzeciw i podważa same podstawy demokracji. Charlie Kirk odważnie bronił wartości cenionych przez nasze narody. Jego przesłanie rezonuje teraz jeszcze mocniej. Łączę się w modlitwie z rodziną tragicznie zmarłego i całym narodem amerykańskim” – napisał na platformie X prezydent Karol Nawrocki. Tragedia stała się głównym tematem w amerykańskich mediach.

Niestety kampus akademicki – miejsce, które powinno być przestrzenią wolności słowa i wymiany myśli, nawet tych wzbudzających kontrowersje, stało się areną, na której zatriumfowała nienawiść z powodu poglądów politycznych. Kirk zginął, bo był głosem prawicy, symbolem konserwatyzmu, aktywistą, który mówił to, w co wierzył. Bo wszystko wskazuje na zbrodnię motywowaną nienawiścią polityczną. Wspominając Kirka, polscy i amerykańscy publicyści zwracali uwagę, że był obdarzony wielką inteligencją i talentem retorycznym. Wręcz legendarnie wal-

czył z lewicowymi idiotyzmami, a z logiki i nauki uczynił swój oręż. Dlatego jedni go kochali, a inni nienawidzili, ale nikt nie miał prawa odbierać mu życia. Szczególnie że stało się to w imię błędnie rozumianej tolerancji.

Gdy większość cywilizowanego świata ubolewała nad morderstwem z nienawiści, pojawili się i tacy – o poglądach przeciwnych do Kirka – którzy w mediach społecznościowych wyrażali radość z powodu tej śmierci, można było przeczytać nawet podziękowania dla mordercy. W telewizji MSNBC Matthew Dowd, analityk i konsultant, a także członek Partii Demokratycznej, stwierdził, że „nienawistne myśli prowadzą do nienawistnych słów, które następnie prowadzą do nienawistnych działań”. Czyli krótko mówiąc: Kirk sam jest sobie winny, bo przecież mógł mieć inne poglądy. W Polsce posłanka Lewicy Anna Maria Żukowska użyła zmanipulowanego fragmentu wypowiedzi Kirka, wypaczając jej sens i opatrzyła komentarzem: „Takim go zapamiętamy”. Nawet śmierć nie powstrzymała jej od siania hejtu.

W tym miejscu przypomina mi się nieśmiertelny raport Centrum Badań nad Uprzedzeniami UW sprzed kilku lat, z którego wynika, że postawy zwolenników partii lewicowych i liberalnych wobec zwolenników PiS są bardziej negatywne niż postawy zwolenników PiS wobec wyborców partii lewicowych i liberalnych. Ci ostatni żywią bardziej negatywne uczucia, w większym stopniu dehumanizują i mają mniejsze zaufanie do swoich oponentów politycznych niż zwolennicy partii konserwatywnych. „Niechęć do oponentów przybiera formę dehumanizowania ich, czyli odmawiania przedstawicielom grup obcych cech ludzkich. Jak pokazują badania psychologów społecznych, odczłowieczanie innych pociąga za sobą szereg konsekwencji, takich jak dążenie do izolacji dehumanizowanych grup czy agresja wobec nich. Jednym z rodzajów dehumanizacji jest dehumanizacja animalistyczna, polegająca na porównywaniu członków grup obcych do zwierząt”. A przecież zwierzę można odstrzelić jak na polowaniu. My mamy wojnę polsko-polską, a oni – amerykańsko-amerykańską.

Dorota Łosiewicz



Ursula von der Leyen

– królowa sprzeczności w brukselskim teatrze absurdu

Ach, co to był za tydzień! 10 września w Strasburgu Ursula von der Leyen, nieustraszona amazonka eurobiurokracji, wygłosiła swoje doroczne orędzie o stanie Unii. Mówiła o „walce o kontynent cały i pokojowy”, o potrzebie jedności, autonomii i prosperity. Brzmiało jak manifest niepodległej Europy, gotowej stawzić czoło światu. Doprawdy wzruszające! Szkoda tylko, że jej słowa to bajka dla naiwnych, a rzeczywistość serwuje nam gorzką kawę z dodatkiem hipokryzji. Przyjrzyjmy się zatem, jak szefowa KE maluje różowy obraz, na którego tle pali się unijny dom

Wezmy Zielony Ład – koronne „osiągnięcie” Ursuli. W orędziu chwaliła się „battery booster package” za 1,8 mld euro, mające wspierać europejską produkcję baterii i zielone technologie. Brzmi ekologicznie i nowoczesnie, prawda? Tymczasem eksperci z Europejskiego Banku Centralnego alarmują, że Zielony Ład już zdusił przemysł ciężki, podnosząc koszty energii o 20–30 proc. w takich krajach jak Niemcy czy Polska. Fabryki są przenoszone do Chin, gdzie emisje CO₂ rosną w najlepsze, a my tu w Europie liczymy straty w setkach tysięcy miejsc pracy.

Ursula mówi o dobrobycie, a jednocześnie wciska nam ETS2 – nowy podatek od emisji dla budynków i transportu, który od 2027 r. wydrenuje portfele zwykłych Europejczyków o dodatkowe miliardy. Cel 90 proc. redukcji emisji do 2040 r.? To nie wizja – to recepta na recesję. Jak wynika z raportu Europejskiego Trybunału Obrachunkowego, koszty transformacji energetycznej mogą sięgnąć 1 bln euro rocznie. JEDEN BILION EURO. ROCZNIE. Brawo, pani przewodnicząca – walczymy o planetę, bankrutując po drodze.



A rolnictwo? Von der Leyen peroruje o pokój oraz ochronie społeczeństw i jednocześnie finalizuje umowę z Mercosur – blokiem południowoamerykańskim, gdzie standardy środowiskowe i rolne to fikcja. Import taniego mięsa, jarek i cukru z Brazylii zaleje rynek, niszcząc europejskich rolników. Francuscy i polscy już protestują, bo wiedzą, że to nie wolny handel, a sabotaż. W orędziu von der Leyen mówi o „dywersyfikacji partnerstw handlowych”, ale pomija, jak to uderzy w 10 mln unijnych gospodarstw.

Ursula – ta sama, która jako minister obrony Niemiec zostawiła Bundeswehre w ruinie, z helikopterami, co nie latają, i czołgami bez amunicji – teraz prawi o „momencie niepodległości” w obronności. Niemiecka armia wydała miliardy na konsultantów, a efekt? Jest słabsza niż kiedykolwiek. Teraz kładzie całą UE, wzywając do „Eastern Flank Watch” przeciw Rosji, przy czym zapomniała wspomnieć o rosnącym imporcie rosyjskiego gazu do Niemiec i Francji. Dane z Eurostatu są jasne – w 2024 r. Niemcy kupiły rekordowe ilości „farbowanej” ropy z Indii i Kazachstanu, która *de facto* pochodzi z Rosji. Mówi o odcięciu od Kremla, a tymczasem Putin śmieje się w kulak, finansując swoją wojnę naszymi euro.

A Gaza? Von der Leyen proponuje sankcje na izraelskich ministrów i zawieszenie handlu z Izraelem za osiedla na Zachodnim Brzegu. Szlachetnie to brzmi, ale gdzie konsekwencja? Na Ukrainie nawołuje do jeszcze większych sankcji na Rosję, ale sama Europa je omija, handlując z Moskwą przez pośredników. Mówi o pokoju, a wspiera kontrowersyjne umowy z USA, które – jak alarmują ekonomiści z Bruegel – mogą zaszkodzić unijnym firmom na rzecz amerykańskich gigantów. „Nostalgia is not a strategy” – rzuca Ursula, ale jej wizja to nostalgia za światem, gdzie biurokraci decydują o wszystkim, a podatnicy płacą rachunek.

Podsumowując – jedyne, co von der Leyen ma świetne, to samopoczucie. Mówi o silnej Unii, a buduje kruchą konstrukcję na piasku hipokryzji. Może czas na nową szefową – taką, co zamiast walczyć z wiatrakami klimatu, walczy o realny dobrobyt? Inaczej Europa skończy jak jej niemiecka obronność: dużo szumu, zero efektu. Brawo, Ursulo – Oscar za rolę w tym teatrze absurdu!

Daniel Obajtek

Mercosur na ratunek

Przyzwycailiśmy się już do złych wiadomości z niemieckiego przemysłu motoryzacyjnego. Volkswagen, Mercedes i BMW przez lata były źródłem dobrobytu i wielkiej dumy Niemców. Jednak ich udziały w rynku światowym maleją, a zyski topnieją.

Z analizy firmy konsultingowej EY wynika, że w zeszłym roku w niemieckiej branży motoryzacyjnej utracono ponad 51 tys. miejsc pracy, co stanowi prawie 7 proc. siły roboczej. Żaden inny sektor nie był tak dotknięty stagnacją. Producenci samochodów zmagają się ze spadkiem sprzedaży, konkurencją ze strony Chin i kosztownym przejściem na elektromobilność. Do tego dochodzą wysokie ceny energii, biurokracja oraz spór celny z USA, który podnosi koszty niemieckiego eksportu. Jest jednak – jak twierdzi tygodnik „Der Spiegel” – światełko w tunelu. To Ameryka Łacińska. „Volkswagen tam prosperuje” – twierdzi gazeta.

„W pierwszej połowie 2025 r. zwiększyliśmy wolumen sprzedaży w Ameryce Południowej o 21 proc. Żaden inny region nie może się pochwalić porównywalnym tempem wzrostu. Brazylia jest trzecim co do wielkości rynkiem zbytu marki Volkswagen, po Chinach i Niemczech” – chwalił się dyrektor Volkswagena na Amerykę Łacińską Alexander Seitz w rozmowie z „Der Spiegel”. Według niego producent marzy o setkach tysięcy, a nawet milionach samochodów sprzedanych w krajach Mercosur. „W samej Argentynie chcemy sprzedać w przyszłym roku 600 tys. sztuk” – zaznaczył. Niemieccy producenci ścigają się przy tym z chińskimi, których udział w brazylijskim rynku

Więcej o umowie UE-Mercosur na str. 48



Niemcy

wzrósł ostatnio z 1 do 8 proc. Volkswagen produkuje auta na miejscu, aby uniknąć ceł importowych. Dlatego dużym ułatwieniem będzie umowa Mercosur, bo zniesie te cła.

Nic dziwnego, że kanclerz Friedrich Merz z zadowoleniem przyjął rozpoczęcie ratyfikacji umowy przez Komisję Europejską. Podczas spotkania z niemieckimi ambasadorami podkreślił, że „priorytetem musi być dywersyfikacja naszych łańcuchów dostaw oraz handlu w celu zapewnienia strategicznej suwerenności [Europy]. W tym celu potrzebujemy więcej europejskich umów handlowych takich jak umowa z państwami Mercosur”. Przy czym dał do zrozumienia, że gdy mówi o Europie, chodzi mu o Niemcy i vice versa. Bardzo podobnie wypowiedziała się przewodnicząca Związku Niemieckiego Przemysłu Motoryzacyjnego Hildegard Müller: „Niemcy i Europa muszą pracować nad swoją konkurencyjnością. Pilnie”.

Za naszą zachodnią granicą Europa to po prostu Niemcy. Inne kraj się nie liczą.

Aleksandra Rybińska

Partia Javiera Mileia, libertariańskiego prezydenta Argentyny, poniosła bolesną porażkę w prowincji Buenos Aires. W tym regionie mieszka niemal połowa populacji kraju, co oznacza, że wyniki lokalnych wyborów, w których opozycyjni peroniści zdobyli 47 proc. głosów a formacja Mileia jedynie 34 proc., mogą być uznane za najpoważniejszy sondaż przed zaplanowanymi na październik wyborami parlamentarnymi.

Co prawda w argentyńskim parlamencie popierająca Mileia partia La Libertad Avanza (Postępy Wolności) ma obecnie jedynie 15 proc. mandatów, ale wyniki wyborów regionalnych wskazują, że nie będzie jej łatwo poprawić ten wynik i w rezultacie argentyński prezydent może mieć trudności ze zbudowaniem stabilnej większości parlamentarnej.

Zmiana nastrojów argentyńskiego społeczeństwa może wynikać z dwóch powodów. Pierwszy to skandal korupcyjny, w który jest uwikłana siostra prezydenta Karina, będąca jego doradcą i zarazem szarą eminencją. Javier Milei wielokrotnie mówił o niej, że to ona jest „szefem”. Teraz argentyńskie media



Argentyna

Zółta kartka dla prezydenta

ujawniły nagrania rozmów, w których Karina Milei domaga się „opłat” od koncernów farmaceutycznych chcących sprzedawać leki w Argentynie. Spekuluje się też, że kobieta pobierała pieniądze za zorganizowanie audyencji u prezydenta.

Drugi powód zmiany nastrojów ma charakter ekonomiczny. Mileiowi udało się stłumić chroniczną inflację, która w Argentynie należała do najwyższych na świecie, ale za cenę restrykcyjnych cięć finansów publicznych. Argentyńczycy mniej zarabiają, a jednocześnie prezydent – będąc wiernym liberalnej ortodoksji – otworzył kraj na tani import, głównie z Chin. Efektem jest wzrost bezrobocia, bo miejscowe fabryki nie radzą sobie z zagraniczną konkurencją.

Norma Morales, 52-letnia pracownica przemysłu tekstylnego, powiedziała dziennikarzom „The Wall Street Journal”, że zgłoszowała na peronistów w obawie przed utratą pracy. Dodała, że to skutek spadku lokalnych zamówień i napływu chińskiego importu. „Pracownicy mogą nie dotrzeć do końca miesiąca. Nie chcemy tak żyć” – wyjaśniła.

Marek Budzisz

Żadnej imigracji

Mieszkańcy czterech japońskich miast wpadli w popłoch na wieść o tym, że grozi im zalew masowej imigracji z Afryki. Miał to być pomysł na złagodzenie skutków kryzysu demograficznego. Ostatecznie władze – w odpowiedzi na gwałtowny opór mieszkańców – zdementowały tę informację, twierdząc, że nigdy nie było planów sprowadzania Afrykanów do Japonii.

Emocje wybuchły pod koniec sierpnia, gdy Japońska Agencja Współpracy Międzynarodowej (JICA) wyznaczyła cztery miasta: Kisarazu, Sanjo, Imabari i Nagai do udziału w programie „Africa Hometown”. Ich partnerami miały być miasta z Nigerii, Mozambiku, Tanzanii i Ghany. Zaraz potem rząd Nigerii oficjalnie ogłosił, że Japonia „utworzy specjalną kategorię wiz dla wysoko wykwalifikowanych, innowacyjnych i utalentowanych młodych Nigeryjczyków, którzy chcą przeprowadzić się do Japonii, aby tam mieszkać i pracować”. Jak napisano w oświadczeniu, w Japonii mile widziani mieliby być również „rzemieślnicy i inni pracownicy fizyczni z Nigerii, którzy są gotowi do podniesienia swoich kwalifikacji”.

Po wydaniu tego komunikatu japońska opinia publiczna zaczęła się domagać wyjaśnień od władz. Urzędnicy samorządowi gorątkowo wszystkiemu zaprzeczali. „Nie prosiliśmy o przyjęcie imigrantów ani o złagodzenie wymogów wizowych dla Nigeryjczyków” – tłumaczył burmistrz miasta Kisarazu.

Zupełnie inne informacje docierały z Afryki. Biuro prezydenta Nigerii potwierdziło mediom, że decyzja o wydawaniu specjalnych wiz zapadła podczas konferencji z rządem Japonii, która odbyła się w sierpniu w Jokohamie. Podobne informacje docierały z Tanzanii,

gdzie w miejscowej prasie ogłoszono, iż Japonia „poświęci” na rzecz imigrantów miasto Nagai. Afrykanie ewidentnie szykowali się do szturm na japońskie ambasady, co wzbudziło wielki niepokój Japończyków. Nikt bowiem nie wiedział, co się właściwie dzieje.

Jednocześnie od dawna było wiadomo, że rząd Japonii szuka sposobu na walkę ze skutkami kryzysu demograficznego, który uznano za jedno z największych zagrożeń egzystencjalnych.

W 2024 r. współczynnik dzietności – średnia liczba dzieci urodzonych przez kobietę w ciągu jej życia – spadł w Japonii do rekordowo niskiego poziomu 1,15. Jest to znacznie poniżej wskaźnika 2,1 niezbędnego do utrzymania stabilnej populacji. Ten fakt natychmiast powiązano z doniesieniami o planach masowej imigracji z Afryki.

Oburzenie japońskiej opinii publicznej doprowadziło w końcu do oficjalnej reakcji rządu w Tokio, który poprosił partnerów z Afryki o sprostowanie „nieścisłości”. Zapewniono również, że porozumienie z krajami afrykańskimi dotyczy tylko wymiany kulturalnej, a granice Japonii pozostaną zamknięte dla imigrantów.

Konrad Kołodziejewski



Pelzająca islamizacja

W zeszłym miesiącu w Terengganu (jednym z 13 stanów Malezji zamieszkanym przez ponad 90 proc. muzułmanów) weszły w życie nowe przepisy dotyczące przestrzegania szariat. Dotychczas mężczyźni, który trzy razy z rzędu nie uczestniczył w piątkowych modlitwach w meczecie, groziła kara do 6 miesięcy więzienia lub grzywna w wysokości 1 tys. ringgitów. Teraz opuszczenie tylko jednej modlitwy bez poważnego usprawiedliwienia naraża na karę więzienia do 2 lat i grzywnę wynoszącą 3 tys. ringgitów.

Skąd jednak władze będą wiedzieć, kto chodzi w piątek do meczetu? Nie ma obaw. Tym zajmą się specjalne patrole wsparte przez system społecznego monitorowania (czyli donosicieli), których działalność będzie nadzorowana przez Departament Spraw Islamskich.

Nowe przepisy dotyczą „takzir”, czyli tych czynów przestępczych w świetle szariat, za które ani Koran, ani hadisy nie przewidują konkretnej kary, lecz kary uznaniowe, których wysokość ustalają miejscowe władze lub sądy. Różnią się one od „hudud”, czyli aktów kryminal-

nych (jak odstępstwo od wiary, kradzież czy cudzołóstwo), za które Koran i hadisy przewidują konkretny wymiar kary.

Zaostrzenie kodeksu karnego świadczy o radykalizacji religijnej miejscowych władz. Mogą one liczyć na wsparcie dużej części populacji. Islam jest w Malezji religią państwową, choć muzułmanie stanowią tam tylko ok. 63 proc. ludności. Aż 86 proc. z nich chciałoby jednak, żeby szariat stał się oficjalnym prawem państwowym, a więc obowiązek jego przestrzegania mieliby także wyznawcy innych religii. Znaczna część muzułmanów życzy sobie też, by szariat był egzekwowany w sposób jak najbardziej rygorystyczny i restrykcyjny. Tam, gdzie osiągają oni duże wpływy, jak np. stanie Terengganu, zaostrzają obowiązujące prawo.

Ostatnie wydarzenia pokazują, że na religijnej mapie świata może dojść do kolejnych znaczących przesunień. Nie byłoby dobrze, gdyby Malezja z kraju tolerancyjnego islamu przekształciła się w następne państwo muzułmańskich fundamentalistów.

Grzegorz Górny



Walizka Weroniki Kostrzewy

żony, mamy Trójki, szefowej publicystyki Radia Plus



Najwięcej podróżowałam w czasie studiów. Choć to raczej była nieustanna tulaćka na trasie Stalowa Wola–Warszawa. Przepelnione pociągi, a gdy je wycofano, wypełnione po brzegi autobusy PKS. Lubiłam z okna autokaru podziwiać polskie krajobrazy, przydrożne kapliczki. Były to jednak nieco za długie i męczące podróże. Dziś do rodzinnego miasta prowadzi ekspresowa Via Carpatia im. Lecha Kaczyńskiego, dzięki czemu moje dzieci, zakochane w miejscowych atrakcjach, nie muszą tak długo wyczekiwać napisu „Stalowa Wola”, jak ja przed laty. Jako nastolatka przeżyłam bardzo ciężki wypadek samochodowy. Mam wdzięczność do Opatrzności za to, że nie zakończył on mojego życia, ale konsekwencje tego zdarzenia, które wciąż odczuwam, przypominają mi, że w podróży niezwykle ważne jest bezpieczeństwo. I to ono determinuje dziś wszystkie nasze wyprawy, bez względu na środek transportu.



MAKIETA

Przepadam za światem Tolkiena. Kilkakrotnie przeczytałam książkę, wracam do jej fragmentów. Na telefonie mam audiobook. Wszystkie makiety mogą się nie zmieścić do walizki, ale jedno Shire na pewno się upchnie, by dawało namiastkę Śródziemia.



RÓŻANIEC

Ten, akurat wykonany przez moje dzieci, jest szczególnie cenny. Od niego zaczęła się także ich miłość do tej modlitwy. A ponieważ modlimy się co wieczór, nie wyjeżdżam bez niego.





MIKROFON

Z tym zawodem jest tak, że gdy spotyka się ciekawego człowieka, od razu chce się podzielić nim ze swoimi słuchaczami. Ten sprzęt jest ze mną od 2009 r. i wciąż działa bez zarzutu!



SCYZORYK

Nie rozstawałam się z nim w czasach harcerskich. Co ciekawe, teraz używam go równie często. Daje mi zwycięstwo w walce, np. z opakowaniami niektórych żelków dla dzieci. Niezbędny w miejskiej dżungli i w lesie. Choć spojrzenia ludzi sugerują, że nie jest to typowe wyposażenie dziennikarki i matki Polki.



„ZNIKNĄĆ BEZ SŁOWA”

Książka, będąca rozmową z suicydologiem ks. Tomaszem Trzaską, to coś, czym chciałabym obdarować każdego, kogo spotkam. Mam poczucie, że zawarta w niej wiedza naprawdę pomaga widzieć więcej, zrozumieć i uratować czyjeś życie.



DZIECI

Jestem tak zakochana w macierzyństwie, że szkoda mi czasu na spędzanie go bez najciekawszych ludzi, jakich znam. Z nimi tankowanie na stacji staje się przygodą. Uczą mnie zachwyty światem. To moja drużyna. Wszędzie, byle w pełnym składzie.



APTECZKA

Jako mama trójki dzieci mam tam wszystko na kleszcze, drzazgi, poparzenia, obtarcia, zranienia itp. Ona daje mi swego rodzaju poczucie bezpieczeństwa. Zresztą nie ma dnia, żebym do niej nie sięgała.



KOSMETYCZKA

Paniom nie trzeba tłumaczyć. Z jednej strony wcale nie maluję się codziennie, bo nie zawsze mam na to czas ani nie uważam, żeby na placu zabaw czy w radiu makijaż był wymagany. Z drugiej – jak każda kobieta – czasem lubię mieć ładną kreskę na powiece i spojrzeć w lustro z poczuciem: „Thank God I’m a Woman”.



PLANSZÓWKI

Najlepszy wypełniacz wolnego czasu z mężem, przyjaciółmi, dziećmi. Gramy dużo i w różne gry. Ostatnio wróciliśmy do gry z dzieciństwa i zaraziliśmy pasją potomstwo. Powoli wchodzimy też w świat RPG.



„DRUGA” ANNY HAZUKI

To książka mojego macierzyństwa. Dodała mi skrzydeł i przyniosła wielkie wsparcie.



„TEOLOGIA TOLKIENA” KS. STANISŁAWA ADAMIKA

Pozwala zajrzeć głębiej, zatrzymać się nad światem fantasy oraz dostrzec w nim Dobrą Nowinę i niezmiennie prawdy.



RZUTNIK

Nie lubię patrzeć w ekran. Przepadam natomiast za pięknym obrazem, na którym można dostrzec nawet detale. Dlatego, jeśli to tylko możliwe, zabieramy go ze sobą. Na nie pogodę mamy wtedy kino, a na ścianie pojawiają się obrazy zarówno z „Władcy Pierścieni”, jak i serialu „Przyjaciele”.



Wysłuchał **Michał Korsun**



**Jan
Pietrzak**

I ŚMIESZNO, I STRASZNO

Niusy i fusy

Polityk Arłukowicz, lekarz z wykształcenia, zapytany o obecnego ministra zdrowia powiedział, że „wie, jak się nazywa, ale nie pamięta”. Jak medyk może nie pamiętać tak unikalnego przypadku?

Z okazji rocznicy powstania warszawskiego przedstawiciel niemieckiego rządu w krótkich majtkach umieścił wieniec przy berlińskim głazie. Głaz symbolizuje ruiny Warszawy, czyli kamień na kamieniu zarządzony przez Hitlera. Krótkie majtki symbolizują krótką pamięć Niemców i dziedziczne chamstwo.

Prezydent Macron osobiście witał uczestników konferencji „chętnych” poza Tuskiem, ale to jest gość, którego nikt nie ogra. Wielu w ogóle nie chce z nim grać.

Ministra oświaty ma ambicję, by polskie dzieci osiągnęły jej poziom. Będzie trudno. Już sam tytuł budzi wątpliwości. Jeżeli koniecznie należy używać femininywu, powinno się mówić ministerka. Analogicznie do kierowniczk, nie kierownica, posłanka nie posłana, lekarka, nie lekara itp. Tego uczy „duch języka polskiego”, przedmiot nieznany w antypolskim chamłajfie.

Wyschnięta Wisła odsłoniła liczne zabytki... Kamień węgielny Ligi Polskich Rodzin wyrzucony przez Giertycha przed ucieczką do Italii. A także fragmenty pomników z epoki komu-

cha łupanego: stalinowskie wąsy Bieruta, robotniczo-chłopską pięść Gomułki, uszy Urbana.

Nieco to krępujące, ale jestem zobowiązany w obecnej sytuacji przypomnieć żarcik o Tusku z jego poprzedniego premowania. Mówiłem: Tusk jest jak wódka. Obiecuje przyjemność, kończy się kacem! Przyznaję, że dość mam już tego kacowania. Choć ostatnio namawia on nas do jedności. Jak można jednościć się z kimś, kto nieustannie zmienia zdanie?

Watażka ze wschodu przypuścił na Polskę atak dronowy. Wielu polityków oraz liczne media uspokajają Polaków, że to drobna prowokacja i nie należy na nią odpowiadać. Jest wręcz przeciwnie. Mamy wreszcie powód, by skorzystać z okazji i skopać tylek, jak mówią w hollywoodzkich filmach, szalejącemu gangsterowi.

A propos poprzedniej uwagi – przypominam, że Stany Zjednoczone dość długo nie przystępowały do wojny przeciwko hitlerowskim Niemcom, ponieważ nie miały silnego argumentu dla wyborców. Dopiero kiedy opętani Japończycy zaatakowali amerykańską bazę Pearl Harbor, F.D. Roosevelt uznał, że Ameryka rusza do boju z państwami Osi.

Jakaś urzędniczka z MSW powiedziała, że celowo nie ogłaszano ostrzeżenia o ataku dronów, żeby Polacy nie panikowali i nie uciekli z kraju! Poziom zidiocenia w urzędowej normie! Mimo to nie uciekamy, niech oni uciekają!

Jedność tak, ale nie bez odpowiedzialności

Narodowa jedność w obliczu rosyjskich prowokacji jest wartością nie do przecenienia. Kiedy w nocy z 9 na 10 września w polską przestrzeń powietrzną wleciało ponad 20 rosyjskich dronów, kiedy kilka z nich udało się strącić, a reszta bezkarnie przeleciała nad naszym terytorium – naturalnym odruchem jest, by mówić jednym głosem. Polacy mają prawo do poczucia bezpieczeństwa, a państwo powinno być ich tarczą. Ale jedność nie może oznaczać amnezji. Bo jeśli dziś nie będziemy rozliczać zaniedbań i decyzji, które doprowadziły do tej sytuacji, to jutro znów obudzimy się z tym samym problemem.

Premier Donald Tusk wygłosił w Sejmie obszernie sprawozdanie, opowiadając o 19 dronach i kilku strąceniach. Jak ujawniła „Rzeczpospolita”, dronów było więcej. I tu pojawia się pytanie: jak to możliwe, że tyle z nich spokojnie naruszyło nasze terytorium? Dlaczego nie było wcześniejszego ostrzeżenia ludności? MSWiA tłumaczy, że to by tylko wystraszyło mieszkańców. Argument osobliwy – skoro celem państwa jest chronić obywateli, to nie lepiej, by wiedzieli, co się dzieje nad ich głowami? W tym kontekście powracają słowa byłej premier Ewy Kopacz, która swego czasu sugerowała, by w razie

zagrożenia „zabrać dzieci i zamknąć się w domu”. Czy tego typu mentalność naprawdę ma nam zapewnić bezpieczeństwo w 2025 r.?

Jeszcze bardziej bolesne jest to, że obecni rządzący przez lata wbijali klin w poczucie wspólnoty. Gdy w 2022 r. rakiet spadła na Przewodów, ówczesna opozycja waliła w rząd jak w bęben. Każdy kryzys bezpieczeństwa był okazją, by krzyczeć o nieudolności i kompromitacji. Politycy Lewicy przez lata domagali się ograniczania wydatków na wojsko, cięcia budżetu MON, a dziś z kamienną twarzą mówią o odbudowie zdolności obronnych. Dobrze, że wreszcie zrozumieli, ale wypadałoby się przyznać do błędów, zamiast udawać, że ich nie było.

Jedność jest ważna, ale nie może być pretekstem do zamilczania odpowiedzialności. W przeciwnym razie powtórzymy wszystkie błędy z przeszłości, a wtedy żaden plecaczek ministra i żadne wystąpienie premiera nie ochronią nas przed kolejnym testem ze strony Moskwy.



**Samuel
Pereira**

Historyczny zwrot?

W ubiegłym tygodniu Polska żyła dramatycznymi wydarzeniami na naszej wschodniej granicy – rosyjskie drony testowały naszą czujność i odporność. W tym samym czasie w Brukseli Ursula von der Leyen wygłaszała orędzie o stanie Unii. Kontrast był uderzający: podczas gdy my bronimy realnej granicy Europy, w Parlamencie Europejskim wysłuchiwalimy wykładu przewodniczącej Komisji, który brzmiał jak oderwana od rzeczywistości akademicka prelekcja.

Von der Leyen rozpoczęła od spraw międzynarodowych – zapewne po to, by odwrócić uwagę od problemów, które sama współtworzyła przez ostatnie sześć lat. Kryzys energetyczny, migracyjny, rosnące koszty życia – zamiast refleksji i korekty kursu usłyszeliśmy, że „nie ma odwrotu od Zielonego Ładu”. Hipokryzja sięgnęła zenitu, gdy ubolewała nad cenami energii, udając, że nie mają one

nic wspólnego z narzucanymi podatkami i ideologiczną polityką klimatyczną.

Zapowiedzi o przyszłości motoryzacji w wydaniu elektrycznym, planach wzmocnienia rolnictwa po jednoczesnym forsowaniu umowy Mercosur czy o budowaniu potęgi technologicznej przy ograniczaniu produkcji energii brzmią jak polityczna groteska. Von der Leyen z lubością krytykowała „poprzedników”, zapominając, że to właśnie ona od lat stoi na czele KE.

Szczególne uwagę zwróciły jednak jej słowa o Izraelu. W ostrym tonie zaatakowała państwo żydowskie, grożąc zerwaniem porozumień i umów handlowych między UE a Izraelem. To wydarzenie bez precedensu: po raz pierwszy od powstania państwa Izrael Niemcy – bo przecież von der Leyen była ministrem obrony tego kraju i reprezentuje niemiecką wrażliwość polityczną – w tak otwarty sposób odwracają się od Tel Awiwu. Jeszcze niedawno Berlin podkreślał „historyczną odpowie-

dzialność” wobec narodu żydowskiego, dziś ustami przewodniczącej KE wprost go atakuje. To nie tylko zmiana polityczna, lecz także symboliczna. Pokazuje, że Niemcy, czując się coraz pewniej w roli hegemonu w Europie, nie widzą już potrzeby, by liczyć się z sojusznikiem, którego przez dekady traktowali z szczególną ostrożnością.

Europa pod wodzą von der Leyen staje się areną sprzeczności i ideologicznych eksperymentów. Kiedy Polacy patrzą w stronę Wschodu i widzą realne zagrożenie, Bruksela zajmuje się fantasmagorią i polityczną narracją, która poucza wszystkich dookoła, nie widząc belki w swoim oku.

Arkadiusz Mularczyk



Trafić w odpowiedni moment

Z aktorem *Pawłem Małaszyńskim* rozmawia Jolanta Gajda-Zadzworna

Wielu widzów, a w szczególności widzów, cieszy się zapewne z powrotu Pawła Małaszyńskiego na mały ekran.

Paweł Małaszyński: Ale ja cały czas byłem i jestem w blokach startowych, gotowy na nowe wyzwania – tylko te wyzwania do mnie nie przychodziły w takiej liczbie, jakbym chciał, więc mniej było mnie widać. Nie ma w tym żadnej kokieterii, po prostu tak wygląda rzeczywistość, do której musiałem się przyzwyczaić – nie dostaję tylu ekranowych propozycji co kiedyś. Za to dużo gram w teatrze.

Ostatnio zagościł pan też w obsadzie „Na dobre i na złe”. Zamierza pan zostać na dłużej?

Zobaczmy. Dołączyłem do zespołu lekarskiego w Leśnej Górze jakiś czas temu. Parę razy już mnie do tego nama-

wiano i przymierzano, w końcu udało się trafić w odpowiedni moment. Podobnie było z „Drelichem”.

To zupełnie nowy serial. Do tego kryminalny. Kogo pan w nim gra?

Tak się złożyło, że w dwóch produkcjach TVP wcielam się w bardzo różne postaci. Wójcik z „Drelicha” jest zupełnie inny od lekarza Aleksa Zagajewskiego. To gangster, okrutny facet, ale z zasadami. Swoją miłość przelewa na niepełnosprawnego syna, który jest dla niego całym światem. Zrobiłby dla niego absolutnie wszystko. Zastajemy go w takim momencie życia, gdy jego świat, ułożony w pewien sposób, przewraca się do góry nogami za sprawą tytułowego Drelicha. Wójcik musi uruchomić wszystkie brutalne możliwości, jakie posiada, żeby go dorwać i zniszczyć.



Na planie serialu „Drelich”

Wrzesień

W rzesień
kojarzy
się Po-
lakom (tym, którzy
edukowali się jesz-
cze w szkole sprzed
„reformy” Nowac-
kiej) z datą wybuchu
II wojny światowej.



W tym miesiącu przypadają rocznice agresji na nasz kraj dwóch totalitarnych potęg. Piszę ten felieton w dniu wtargnięcia na terytorium Rzeczypospolitej kilku-nastu dronów ze Wschodu.

Komu może zależeć na wciągnięciu Polski do wojny Rosji z Ukrainą? Nieobliczalność Putina znamy wszyscy. Taki „incydent” może być testem skuteczności (nieskuteczności?) naszej obrony antydronowej. A Ukraina? Jest w sytuacji tonącego, który chwyci się każdej brzytwy. Wciągnięcie kraju NATO do konfliktu dałoby Kijowowi oddech i nadzieję na powstrzymanie wroga. Całą sytuację bacznie śledzą Niemcy. Spadkobiercy III Rzeszy nigdy nie pogodzili się z utratą swoich ziem na Wschodzie.

Pozostawmy fachowcom rozstrzygnięcie sprawstwa ataku dronów na Polskę i przejdźmy do spraw najważniejszych. Byłem w wojsku, po studiach zaliczyłem roczne szkolenie podchorążych (artyleria). Pasjonuję się historią wojen, sporo czytam. I nie mogę się nadziwić, że choć za wschodnią rubieżą kraju od dawna toczy się pełnoskalowa wojna, nasz rząd nie polecił np. zaminowania granic, nie realizuje zakupów zamówionego sprzętu wojskowego, nie wspiera rodzimych fabryk zbrojeniowych, nie gromadzi zapasów amunicji, nie rozwija nowych rodzajów broni (drony!). Za to trwoni pieniądze z KPO, niszczy rolnictwo (Mercosur!), kupuje wiatraki Siemens i zamyka kopalnie. Kolejne pokolenia młodych Polaków nie mają pojęcia o obsłudze broni, bo zostały pozbawione przez Tuska szkolenia wojskowego. Do szkół zamiast nauki strzelania, kursu pierwszej pomocy i podstaw obrony cywilnej wciska się wiedzę o masturbacji i ojkofobie.

PS Atak dronów jest dla rządzących darem niebios. Będą nas teraz jednoczyć pod białą-czerwoną flagą! Ale PR i zakłęciami nie obronią Polski. A stawiając tylko na Niemcy, ustalą nową granicę UE. Na linii Wisły.

Lech Makowiecki

POWOLNE MEDIA WEDŁUG MICHAŁA KORSUNA

INICJATYWA TRZASKOWSKIEGO „ZIELONA WARSZAWA” NIE ZA BARDZO WYCHODZI JEJ AUTOROWI, PONIEWAŻ KOLEJNE KILKUDZIESIĘCIOLETNIE DRZEWIA SĄ WYCINANE – TYLKO W ZESZŁYM TYGODNIU OK. 20 NA DZIAŁCE PRZY UL. GRZYBOWSKIEJ 9. DLA ODWRÓCENIA UWAGI OD TEJ SKANDALICZNEJ DECYZJI ZA RADĄ MARKETINGOWCÓW OD WIZERUNKU PREZYDENT STOLICY ZASADZIŁ...WĄSY.



SIECI

ISSN 2544-2694

www.SIECIprawdy.pl

REDAKTOR NACZELNY: JACEK KARŃKOWSKI
ZASTĘPCY REDAKTORA NACZELNEGO: DOROTA ŁOSIEWICZ, TOMASZ OZDOWY, MAREK PYŻA, MARCIN WIKŁO

E-MAIL: REDAKCJA@FRATRIA.PL; TEL. (22) 255 93 32, (22) 255 93 33; UL. FINLANDZKA 10, 03-903 WARSZAWA

AUTORZY: GORAN ANDRIJANIĆ, PRZEMYSŁAW BARSZCZ, MAREK BUDZISZ, KRZYSZTOF FEUSETTE, JOLANTA GAJDA-ZADWORNA, GRZEGORZ GÓRNY, STANISŁAW JANECKI, MARTA KACZYŃSKA-ZIELIŃSKA, MICHAŁ KARŃKOWSKI, KONRAD KOŁODZIEJSKI, JAROMIR KWIATKOWSKI, LECH MAKOWIECKI,

WYDAWCA: FRATRIA SP. Z O.O.

PREZES: ROMUALD ORZEŁ
UL. LEGIONÓW 126-128,
81-472 GDYNIA
REDAKCJA@FRATRIA.PL, WWW.FRATRIA.PL



DYREKTOR WYDAWNICZY: MACIEJ WOŚKO
PRODUKCJA I DYSTRYBUCJA: MARIOLA BARCİKOWSKA, MARIOLA.BARCİKOWSKA@FRATRIA.PL

DYREKTOR ARTYSTYCZNY: MICHAŁ KORSUN, MICHAŁ.KORSUN@FRATRIA.PL

STUDIO GRAFICZNE: ANDRZEJ SKWARCZYŃSKI, KATARZYNA ŁASKOWSKA
PROJEKT GRAFICZNY: MICHAŁ KORSUN
FOTODYSCJA: ROBERT GOŁĄSZEWSKI, ROBERT.GOŁĄSZEWSKI@FRATRIA.PL

PRENUMERATA WYDANIA PAPIEROWEGO:
TEL. (22) 616 36 00 (GODZ. 14.00 – 16.00)
PRENUMERATA@FRATRIA.PL

REGULAMIN ORAZ WARUNKI PRENUMERATY NA STRONIE
WWW.SIECIprawdy.pl

WPLAT ZA PRENUMERATĘ PROSIMY DOKONYWAĆ NA KONTO:
91 1240 5354 1111 0010 7713 6290

FRATRIA SP. Z O.O., UL. LEGIONÓW 126-128, 81-472 GDYNIA,
W TYTULE WPLATY WPISUJĄC PEŁNE DANE ADRESOWE DO
WYSŁYKI ORAZ RODZAJ PRENUMERATY

DRUK: WALSTEAD KRAKÓW SP. Z O.O.

DYREKTOR DS. ROZWOJU BIZNESU:
KATARZYNA MARCHEWKA – KATARZYNA.MARCHEWKA@FRATRIA.PL

BIURO REKLAMY:
REKLAMA@FRATRIA.PL, TEL. (22) 463 49 93

KOLPORTAŻ: KOLPORTAŻ@FRATRIA.PL

REDAKCJA ZASTRZEGA SOBIE PRAWO DO REDAGOWANIA I SKRACANIA TEKSTÓW. COPYRIGHT © FRATRIA SP. Z O.O.
WSZYSTKIE PRAWA ZASTRZEŻONE
(WŁĄCZNIE Z TŁUMACZENIEM NA JĘZYKI OBCE).
REDAKCJA NIE ZWRACA MATERIAŁÓW NIEZAMÓWIONYCH.
OGŁOSZENIA I REKLAMY NIE STANOWIĄ MATERIAŁU POCHODZĄCEGO OD WYDAWCY.
BEZUMOWNA SPRZEDAŻ NUMERÓW BIEŻĄCYCH I ARCHIWALNYCH PO CENIE NIŻSZEJ OD USTALONEJ PRZEZ WYDAWCĘ JEST ZABRONIONA, NIELEGALNA I GROZI ODPOWIEDZIALNOŚCIĄ KARNĄ.



FOT. ANDRZEJ WAKTOR, SHUTTERSTOCK/BLUEMOON 1981, ANELO

Zamów prenumeratę Sieci! Od 2 stycznia 2025 r. według nowego cennika

CENNIK PRENUMERATY*	OKRES PRENUMERATY		
	3 miesiące	6 miesięcy	12 miesięcy
Krajowa	118 zł	207 zł	375 zł
Zagraniczna	296 zł	566 zł	1099 zł

* Dane do przelewu w stopce redakcyjnej

Brazylijski łącznik



**Marta
Kaczyńska-
Zielińska**

Polska jest samowystarczalna żywnościowo, jesteśmy 10. eksporterem żywności na świecie. Rolnictwo to narzędzie bezpieczeństwa narodowego, a ochrona tego sektora stanowi klucz do suwerenności. Samowystarczalność rolnicza jest podstawą odporności narodowej, szczególnie w czasach kryzysu, zabezpieczając przed nadmiernym uzależnieniem od zewnętrznych źródeł niezbędnych zasobów.

Wskutek planowanego przez Komisję Europejską wdrożenia umowy z państwami Mercosur nasi rolnicy nie będą w stanie konkurować z tańszymi towarami spoza UE nieobjętymi „klimatycznymi” obostrzeniami. Rentowość gospodarstw rolnych spadnie, a ich właściciele nie będą w stanie się utrzymać. Szczególnie ucierpią gospodarstwa rodzinne, do których w Polsce powinniśmy mieć szczególny sentyment i szacunek.

Zwolennikami zawarcia umowy z państwami Ameryki Łacińskiej są przede wszystkim niemieckie koncerny chemiczne i producenci maszyn, samochodów, które mają być eksportowane do krajów Mercosur. Niemcy są importerem żywności, a eksportują zarówno pojazdy, jak i chemikalia. Kalkulacja jest zatem oczywista.

Plany europejskie – poza samobójczym Zielonym i Niebieskim Ładem, niosącymi ze sobą wiele ograniczeń w szczególności dla rolników – przewidują odejście od systemu dopłat obszarowych. Zamiast nich mają zostać wprowadzone dopłaty socjalne. Rolnictwo ma produkować mniej. W dobie trwającej wojny na Ukrainie oraz realnego zagrożenia eskalacją rosyjskiej przemocy bezpieczeństwo żywnościowe Polski nie może być dewastowane przez duszenie rodzimego rolnictwa unijnymi ograniczeniami i przymus importu produktów rolnych z krajów Mercosur. Ten blok państw tworzą Argentyna, Boliwia, Brazylia, Paragwaj, Urugwaj, Chile, Kolumbia, Ekwador, Gujana, Panama i Peru.

Brazylia, największe państwo Mercosur, jest także największym użytkownikiem pestycydów na świecie i w ciągu ostatnich 20 lat sześciokrotnie zwiększyła swoje zużycie. Dostawcą nawozów pozostaje m.in. Rosja. W lutym 2023 r. brazylijskie ministerstwo rolnictwa dopuściło do użytku 42 rodzaje pestycydów, w tym 24 zabronione w UE. Według portalu AgriBrasilis w 2024 r. dwustronna wymiana handlowa między Brazylią a Rosją osiągnęła historyczny rekord 12,4 mld dol. (wzrost o 9 proc. w porównaniu z 2023 r.). Nawozy stanowiły 34 proc. brazylijskiego importu rosyjskich produktów. Od stycznia do lutego 2025 r. dostawy nawozów wzrosły o 7,7 proc. w porównaniu z analogicznym okresem 2024 r., osiągając łączny poziom 7,07 mln t.

Od stycznia do marca 2025 r. powierzchnia upraw w Brazylii, na których stosowano pestycydy, wzrosła o 1,8 proc. w porównaniu z analogicznym okresem 2024 r., osiągając ponad 831 mln ha. Ilość środków stosowanych do zwalczania szkodników, chorób i chwastów wzrosła o 3,4 proc. w pierwszym kwartale 2025 r.

Warto również zwrócić uwagę na relacje państw Mercosur z BRICS – do tej organizacji należą Brazylia, Rosja, Indie, Chiny, RPA, Egipt, Etiopia, Iran, Arabia Saudyjska i Zjednoczone Emiraty Arabskie. W 2024 r. przedstawiciel ChRL zaznaczył,

że BRICS powinna stać na czele inicjatyw zmierzających do przebudowy porządku międzynarodowego w myśl promowanej przez Pekin idei świata wielobiegunowego. Kraje BRICS dążą do stworzenia alternatywy dla instytucji finansowych, takich jak Międzynarodowy Fundusz Walutowy i Bank Światowy. Organizacja bada możliwości wprowadzenia wspólnej waluty dla krajów członkowskich, która mogłaby pomagać obchodzić sankcje i zmniejszyć dominację dolara amerykańskiego. Kraje bloku mogą prezentować wspólnie inicjatywy i stanowiska w ONZ, WTO i WHO. Może to prowadzić do większego wpływu na międzynarodowe procesy decyzyjne i reformy globalnych instytucji.

Rosja, Brazylia i RPA są bogate w zasoby energetyczne i mogą odegrać kluczową rolę w kształtowaniu przyszłych rynków energii. Wiosną br. Izba Handlowa Mercosuru zapowiedziała swoją obecność na spotkaniu BRICS, które odbyło się w Rosji. Według komunikatu Izby udział miał na celu rozszerzenie strategicznych sojuszy, zachęcanie do inwestycji oraz promowanie wolnej i uczciwej polityki handlowej między państwami.

REKLAMA



“Kalejdoskop historyczny”

Marcin Bąk
poniedziałek, godz. 20.00

**Radio 106.2
Warszawa**
dobrze słuchać

40/0825/F



Zakorzeńmy się w morzu

Nasadzenia trawy morskiej w Zatoce Puckiej

*Podwodne łąki pokrywają jedynie 0,1 proc. powierzchni dna mórz i oceanów na świecie i jednocześnie są jednym z największych producentów tlenu. Lista ważnych funkcji, które pełnią, jest długa i czyni je jednymi z najcenniejszych oraz najbardziej produktywnych ekosystemów morskich, które trzeba chronić. Fundacja MARE, Uniwersytet Gdański i firma SALTUS Ubezpieczenia połączyły siły, aby odtwarzać pełne życia łąki podwodne w Bałtyku zgodnie z założeniami koncepcji rewildingu, czyli przywracania dzikiego charakteru ekosystemom. Obecnie realizowany jest pilotażowy projekt, którego cel stanowi wspomaganie regeneracji rodzimych łąk trawy morskiej *Zostera marina* w obszarach jej dawnego zasięgu występowania w Zatoce Puckiej*

Trawa morska *Zostera marina* jest niezwykle cennym gatunkiem dla Bałtyku i planety. Wyniki badań przeprowadzonych na łąkach podwodnych *Zostera marina* u wybrzeży Niemiec wskazują, że

1 m² łąki jest w stanie związać średnio 10,7 kg węgla (tzw. blue carbon). Jest to niezwykle ważna funkcja w kontekście przeciwdziałania zmianom klimatycznym. Ponadto trawa morska redukuje ilość związków azotu i fosforu w środowisku, ograniczając proces eutrofizacji. Jest także rośliną inżynierską – stabilizuje dno morskie i zmniejsza jego erozję. Ponadto wspiera bioróżnorodność, tworząc siedliska, które stanowią schronienie i miejsce rozrodu wielu gatunków ryb oraz bezkręgowców.

Jeszcze kilka dekad temu dno Zatoki Puckiej pokrywały połacie podwodnych łąk. Jednak od lat 60. XX w. ten wrażliwy ekosystem znalazł się pod dużą presją na skutek kumulacji wielu niekorzystnych czynników, które spowodowały zmniejszenie obszarów łąk w tym rejonie nawet o ok. 80 proc.

„Zwiększony dopływ substancji odżywczych zawierających duże ilości związków azotu i fosforu przyczynił się do wzmożonej eutrofizacji. Skutkowało to zmniejszoną przejrzystością wody, obniżeniem penetracji światła do głębszych warstw wody oraz pogorszeniem warunków tlenowych. Intensywny rozwój infrastruktury brzegowej i turystycznej w obrębie Zatoki Puckiej także negatywnie wpływał na łąki. Ponadto eksploatacja dna w celu pozyskiwania agaru z glonów morskich, pozyskiwanie urobku w celach refulacyjnych oraz kotwiczenie jednostek wiązało się z fizycznym niszczeniem obszarów łąk” – tłumaczy dr Ilona Złoch z Wydziału Oceanografii i Geografii Uniwersytetu Gdańskiego.

Tak duża presja na rejon Zatoki Puckiej skutkowałą zmianami w struktu-

Fot. Krystian Białowicz / lightkeeper.pl





rze jej ekosystemu, m.in. zanikaniem niektórych gatunków roślin i glonów, w tym trawy morskiej *Zostera marina*. Utrata znacznej części podwodnych łąk miała również konsekwencje dla innych organizmów morskich związanych z tym siedliskiem, np. gatunków ryb, dla których łąki były miejscem rozrodu.

„Na szczęście – jak pokazują moje badania, które prowadzę od 2018 r. – łąki podwodne odbudowują się. Obserwujemy zwiększanie się zasięgu ich występowania oraz powrót gatunków, które dawniej były na nich obserwowane. Teraz właśnie jest najlepszy moment, aby je wspomóc w tej odbudowie, ponieważ jakość środowiska polepsza się. W ramach obecnie realizowanego projektu pilotażowego wykonaliśmy nasadzenia trawy morskiej (*Zostera marina*) w rejonie Zatoki Puckiej. Dzięki wybranej metodyce możliwa będzie ocena, która strategia transplantacji sadzonek ma największe szanse powodzenia” – mówi dr Aleksandra Zgrundo z Wydziału Oceanografii i Geografii Uniwersytetu Gdańskiego.

„Bardzo ważnym założeniem tego projektu jest fakt, że opiera się on na naszych rodzimych roślinach, które mają największy potencjał, aby przeżyć w warunkach Zatoki Puckiej” – dodaje dr Ilona Złoch.

Założenia projektu wpisują się w koncepcję rewildingu, czyli progresywnego podejścia do ochrony przyrody bazującego na działaniu w zgodzie z naturą i przywracaniu naturalnych procesów oraz siedlisk w ekosystemach. Rewilding to nie tyle „naprawianie” przyrody według ludzkiego planu, ile stworzenie warunków, w których morza, rzeki czy lasy mogą znów działać własnymi siłami. W praktyce oznacza to np. odtwarzanie podwodnych łąk czy tworzenie obszarów chronionych, gdzie dzikie życie może rozwijać się bez presji człowieka.

„Dla Fundacji MARE rewilding jest czymś więcej niż ochroną – to filozofia działania. Nie staramy się »zarządzać« przyrodą, lecz tworzyć warunki, w których natura sama odzyskuje swoją dziką moc. To zaproszenie do współbycia z mo-

rzem, które nie jest obcą przestrzenią, ale wspólnym domem i fundamentem naszego przetrwania. Projekt jest także połączony z działaniami edukacyjnymi mającymi na celu zapoznanie społeczeństwa z roślinnymi mieszkańcami Bałtyku – wierzymy, że aby chcieć coś chronić trzeba to poznać i pokochać. Mam nadzieję, że lepiej rozumiejąc, jakie organizmy mieszkają w Bałtyku jako społeczeństwo będziemy bardziej skory do wdrażania zachowań i rozwiązań przyjaznych dla morza – w każdej dziedzinie” – mówi Olga Sarna, prezeska Fundacji MARE.

Projekt pilotażowy jest realizowany w ramach współpracy z firmą SALTUS Ubezpieczenia.

„Pomaganie i troska o otoczenie są wpisane w DNA SALTUS Ubezpieczenia. W tym roku obchodzimy 30-lecie naszej działalności. Jako towarzystwo ubezpieczeniowe z Sopotu, od zawsze zakorzenione nad Bałtykiem, z dumą wspieramy odbudowę podwodnych łąk, które są sercem morskiego ekosystemu i przyszłością kolejnych pokoleń” – mówi Mariusz Czajka, wiceprezes zarządu SALTUS Ubezpieczenia.

„Uruchomienie projektu odbudowy łąk podwodnych chcieliśmy podkreślić w szczególny sposób. Dlatego jego premiera, połączona z pokazem filmu o reintrodukcji trawy morskiej w Bałtyku, odbyła się w niezwyklej przestrzeni kościoła św. Jana – Nadbałtyckiego Centrum Kultury. To miejsce, które spaja dziedzictwo historyczno-kulturowe z nowoczesnością i otwartością na różnorodne inicjatywy, stając się idealnym tłem dla projektu integrującego naukę, biznes i troskę o środowisko. Wspierając projekt Fundacji MARE, chcemy nie tylko chronić ten wyjątkowy ekosystem Morza Bałtyckiego, lecz także inspirować do większej świadomości i odpowiedzialności za środowisko, które jest częścią naszego codziennego życia” – dodaje Joanna Karawacka, menedżer ds. marketingu i PR w SALTUS Ubezpieczenia.

8 września w niezwykłych wnętrzach Centrum św. Jana odbyło się wyda-

wienie medialne inaugurujące projekt „Podwodne łąki. Reintrodukcja trawy morskiej w Zatoce Puckiej”. To spotkanie było jednocześnie oficjalnym rozpoczęciem długofalowej współpracy Fundacji MARE i Nadbałtyckiego Centrum Kultury w Gdańsku.

„Nasze misje są zbieżne – Fundacja MARE chroni Bałtyk w sposób fizyczny, a my, Nadbałtyckie Centrum Kultury w Gdańsku, od 33 lat dbamy o jego tożsamość i dziedzictwo kulturowe. Czas połączyć te dwa światy. Wiemy, że nasze codzienne wybory mają wpływ na ich zasoby i tętniące w nich życie. Kultura jest dziedzina, która ma szczególną moc oddziaływania. Od lat (a od 2024 r. jako członek sieci Zielonych Instytucji Trójmiasta i Pomorza) regularnie przypominamy o znaczeniu Bałtyku i konieczności ochrony jego unikalnego ekosystemu. Wierzymy, że właśnie poprzez język sztuki, projekty kulturalne i edukacyjne, możemy poruszyć wyobraźnię i zainspirować do realnych zmian. Dzięki tej współpracy chcemy jeszcze mocniej podkreślić, że troska o morze to troska o nas samych – o nasze życie, dziedzictwo i przyszłość” – mówi Marta Korga-Bistram, rzeczniczka prasowa NCK Gdańsk.

Podczas wydarzenia miało miejsce premierowy pokaz filmu dokumentalnego autorstwa Krystiana Bielatowicza z realizacją pilotażu nasadzeń łąk morskich. Wydarzeniu towarzyszył także pokaz immersyjnej instalacji artystycznej W GŁĘBINY BAŁTYKU stworzonej przez Fundację MARE we współpracy z polskimi artystami: Lindą Lemon, Krystianem Bielatowiczem i Krzysztofem Topolskim. Międzynarodowa premiera instalacji odbyła się w Pawilonie Polskim podczas Expo 2025 w Osace. Jej ekspozycja w Centrum św. Jana stanowiła polską premierę.

Dowiedz się więcej na temat projektu na:
www.fundacjamare.pl

SALTUS | 30 lat
UBEZPIECZENIA



Anna Pawelec

Nowoczesna telewizja, która pilnuje Polski

Nowe gwiazdy, programy i ramówka, ta sama misja i zadania. „Pilnujemy Polski, bronimy wolności słowa, dbamy o medialny pluralizm. Informujemy, a także stawiamy pytania: »Co z tego wynika?«, »Jakie będą skutki?«” – mówią twórcy wPolsce24, najszybciej rozwijającej się telewizji w kraju

Po roku od uruchomienia nadawania na multipleksie telewizji wPolsce24 wywalczyła sobie prawo do stałej, widocznej obecności na bardzo trudnym rynku telewizyjnym – mówi redaktor naczelny stacji Jacek Karnowski. – Przybywa nam widzów, stale poprawiamy i wzbogacamy naszą propozycję. Chcemy być – jesteśmy – telewizją, która pilnuje spraw najważniejszych, przede wszystkim pilnuje Polski. To konieczne, bo zagrożenia dla naszej wspólnoty narodowej, dla naszego państwa, są dziś bardzo poważne. Nie chodzi tylko o otwartą agresję, z którą musimy się liczyć, lecz także o coraz silniejsze ataki na podstawowe wartości, na rodzinę, na nasz kulturowy fundament – podkreśla współtwórca telewizji wPolsce24 i tygodnika „Sieci”.

WYRAZISTOŚĆ I OSOBOWOŚCI

Nowa odsłona telewizji wPolsce24 ma być miksem sprawdzonych, bardzo już popularnych programów z nowościami. Poszczególne pasma – jak w najlepszych światowych stacjach – zostaną mocniej związane z ich autorami. Stacja jeszcze bardziej zdecydowanie niż dotąd stawia na wyrazistość i osobowość.

Za odświeżenie anteny odpowiada nowy dyrektor programowy wPolsce24. Mariusz Pilis to wybitny, wielokrotnie nagradzany dokumentalista, a swego czasu jeden z założycieli TVP Info.

– Doceniamy publicystów, którzy są z nami od dawna i ciężko pracowali na sukces stacji. Dlatego np. program Tadeusza Płużańskiego, który „wychował” sobie liczną i wierną widownię, będzie dłuższy niż dotychczas, a świetnie odbierany w „Polityce na deser” Krzysztof Feusette poprowadzi teraz także całkowicie autorskie „Hity Feusette’a” – mówi Mariusz Pilis.

SPRAWDZONE HITY I NOWE FORMATY

W ramówce zostają dotychczasowe hity, takie jak „Na linii ognia” Magdaleny Ogórek czy „Piątka Pereiry”, przygo-



Poszczególne pasma – jak w najlepszych światowych stacjach – zostaną mocniej związane z ich autorami. Jeszcze bardziej zdecydowanie niż dotąd stacja stawia na wyrazistość i osobowość

towywana codziennie przez Samuela Pereirę. Oczywiście kontynuowany będzie świetnie przyjęty latem program Daniela Nawrockiego – syn prezydenta rozmawiał już m.in. z Andrzejem Dudą,

prof. Piotrem Czauderną, Filipem Chajzerem czy Kacprem Meyną.

Swoją program będzie miał dobrze znany czytelnikom tygodnika „Sieci” Marcin Wikło. Jego poranna „Rozmowa Wikły” ma wyznaczać ton politycznego dnia, identyfikować najważniejsze w danej chwili tematy i nazywać najbardziej wężlowe emocje społeczne.

Wschodząca gwiazda wPolsce24 Anna Pawelec wraz z Dariuszem Matuszakiem i Bartoszem Łyżwińskim będą gospodarzami dwugodzinnego „Bez pardonu”. Tutaj też nie zabraknie gości z najwyższej politycznej półki, jak zwykle będziemy mogli liczyć również na mocne, często podlane humorem polemiki publicystów.

Wieczorem morze informacji w „Wiadomościach wPolsce”, ekskluzywnie newsy i gorące dyskusje w „Bez cenzury” i „Minęła 20.05” – głównym prowadzącym tego programu będzie Marek Pyza – oraz cieszące się rekordową oglądalnością luźniejsze podsumowanie dnia w „Polityce na deser”.

– Telewizja wPolsce24 to przede wszystkim wspaniali dziennikarze – podkreśla Jacek Karnowski. – Wielu z nich zostało brutalnie wyrzuconych z Telewizji Polskiej w grudniu 2023 r. Ale nie poddali się, nadal pracują i służą świętej sprawie polskiej wolności. Wiemy przecież dobrze, że bez silnych mediów, reprezentujących patriotyczny punkt widzenia, prawa zapisane w konstytucji i ustawach, gwarantujące wolność

słowa, wcześniej czy później pozostaną, pustym, papierowym zapisem. Wielu Polaków doskonale to rozumie. Bez materialnego wsparcia ze strony naszych widzów telewizja wPolsce24 nie byłaby w stanie funkcjonować – dodaje redaktor naczelny.

NOWE GWIAZDY

Do dotychczasowego zespołu dołączają nowi dziennikarze. W ostatnich tygodniach najgłośniejsze było o przejściu do wPolsce24 Emilii Wierzbicki, do niedawna gwiazdy Telewizji Republika i ważnej postaci kampanii prezydenckiej Karola Nawrockiego, którego Wierzbicki była rzeczniczką.

„Z radością i nową energią dołączam do zespołu wPolsce24, najszybciej rozwijającej się stacji informacyjnej w Polsce. Od połowy września będę spotykać się z państwem w nowym, popołudniowym programie, o którym więcej już wkrótce. Dziękuję za zaufanie. Do zobaczenia na antenie!” – ogłosiła 1 września nowa gwiazda stacji. Dziś już wiadomo, że programem tym będzie „Wierzbicki i Biedroń mówią, jak jest”. Potrwa 45 min, a jego elementem będzie rozmowa z gościem ważnym dla obrazu dnia.

– „Bez Spiny” Wojciecha Biedronia, tak bardzo kochane przez naszych widzów, zyska z kolei zupełnie nowy wymiar. Program będzie trwał aż dwie godziny, przenosimy go na sobotę – zapowiada Mariusz Pilis.

Na tym nie koniec transferów. W telewizji wPolsce24 swoje miejsce znaleźli:

Wojciech Biedroń i Emilia Wierzbicki

Po roku nadawania wypracowaliśmy już własny, unikalny styl. Jesteśmy telewizją, która dba o dziennikarskie standardy, a także nie uchyla się od zderzenia, walki tam, gdzie jest to konieczne – podkreśla redaktor naczelny stacji Jacek Karnowski

jeden z najbardziej znanych konserwatywnych publicystów politycznych Wiktor Świetlik i wybitny dziennikarz gospodarczy Wojciech Surmacz.

– To nazwiska gwarantujące najwyższą jakość. Rozmawiamy z kolejnymi ludźmi z dziennikarskiego topu, rozglądamy się za nowymi nabytkami. Mamy też w zanadru bardzo gorące niespodzianki. O nich powiemy więcej już niebawem – dodaje Pilis.

DOBRY ROK

Z danych Nielsena wynika, że w sierpniu br. wPolsce24 miała 1,68 proc. udziału w rynku telewizyjnym. Zważywszy, że przed rokiem, tuż przed rozpoczęciem nadawania na multipleksie, ale już długo po zmianach na rynku medialnym i postawieniu TVP Info w stan likwidacji, był to bardzo dobry czas dla stacji.

– Po roku nadawania wypracowaliśmy już własny, unikalny styl. Jesteśmy telewizją, która dba o dziennikarskie standardy, a także nie uchyla się od zderzenia, walki tam, gdzie jest to konieczne. Jesteśmy telewizją, w której prawo obecności na antenie mają również programy lżejsze, sięgające po dowcip najwyższej próby. Jesteśmy telewizją, która informuje, a także zawsze pyta: »Co z tego wynika?«, »Jakie będą skutki?«, »Jakie wnioski powinniśmy wyciągnąć?«. W tę stronę chcemy iść, opierając się na dwóch filarach: sprawdzonych formatach oraz dziennikarskich osobowościach – podkreśla Jacek Karnowski. 

Łukasz Wróblewski



wPolsce 24

NIE MA NAS W TWOIM TELEWIZORZE?

Zacznij działać! Naciskaj na swojego operatora telewizji kablowej.

Dzwoń, pisz, przekaz mu kontakt do nas:

operatorzy.kablowi@wPolsce24.tv

Im więcej zgłoszeń otrzyma operator, tym szybciej
Ty i Twoi bliscy będziecie mogli oglądać wPolsce24.



Informacje o lokalnych i regionalnych operatorach tv:
www.wpolsce24.tv/gdzie-nas-ogladac

**GDZIE NAS
OGLĄDAĆ:**

52
telewizja
naziemna

909
921, 196
polsat box

62
CANAL+

192
netia

32
orange

825
vectra

65
339, 121
PLAY

459
inea

631
TOYA

43
evio



Polska na rosyjskim celowniku

Zamiast deklarować, że NATO stanęło na wysokości zadania, nasi politycy powinni się zastanowić, jak zbudować skuteczną strategię odstraszania, czyli mieć zdolności i wolę użycia rozwiązań, dzięki którym Rosjanie zastanowią się dwa razy, zanim podejmą kolejną decyzję o ataku



MAREK BUDZISZ

W miniony piątek rozpoczęły się manewry wojskowe „Zapad”. Są to agresywne ćwiczenia, w toku których Rosja wraz z Białorusią będą ćwiczyć „przebiecie się” do obwodu królewieckiego. Aylin Matlé i András Rácz, eksperci niemieckiego think tanku DGAP, napisali, iż Rosjanie będą w gruncie rzeczy trenować wojnę z NATO i zwracają uwagę, że będziemy

mieć do czynienia z czterema formalnie niezależnymi manewrami, które mają służyć zarówno pokazaniu rosyjskich zdolności, jak i zastraszeniu ewentualnych przeciwników.

Pogróżki już się zaczęły. Minister Ławrow zadeklarował, że jeśli europejscy żołnierze znajdują się na Ukrainie przed zawarciem pokoju, to „mogą się stać uzasadnionym celem” dla Rosji. Gen. Andriej Kartapołow, kierujący komisją obrony rosyjskiej Dumy, nazwał z kolei Finlandię „inkubatorem faszyzmu większym niż Ukraina” i ostrzegł, że „nieudolna polityka kierownictwa Finlandii może doprowadzić do tragicznych konsekwencji, i to będzie na ich sumieniu. My wiemy, jak chronić nasze interesy i jesteśmy gotowi na każdy sce-

nariusz rozwoju wydarzeń”. W Wilnie wykołcił się i stanął w płomieniach pociąg przewożący skroplony gaz, który należał do ORLEN Lietuva, a Polskę „odwiedziły” rosyjskie drony.

Z POWIETRZA I W CYBERPRZESTRZENI

Polska nie dysponuje systemem wykrywania dronów, co oznacza, iż nie wiemy dokładnie, jaka była skala operacji. Trwają gorączkowe poszukiwania szczątków, media są pełne spekulacji, a w prywatnych domach zaczyna się rozmawiać o narastającym zagrożeniu. Jedno nie ulega wątpliwości – mieliśmy do czynienia z zamierzonym atakiem, w przeprowadzenie którego zaangażowano duże siły

i środki. Ukraiński portal Military News poinformował, że Rosjanie prawdopodobnie zaopatrzyli drony Gerbera, których szczątki znaleziono w Polsce, w dodatkowe zbiorniki paliwa. Tego rodzaju operacja zwiększa zasięg i może być kolejnym dowodem na potwierdzenie tezy o celowym działaniu Moskwy. Innym są informacje na temat zmasowanego ataku na Polskę w cyberprzestrzeni, który miał miejsce tej samej nocy.

Mielibyśmy zatem do czynienia z dwoma rosyjskimi uderzeniami. Pierwsze to operacja w domenie cyfrowej, a drugie było związane z użyciem systemów bezzałogowych. Oba są ze sobą powiązane, bo Rosjanie wykorzystują punkty dostępne Wi-Fi, nad którymi przejmują kontrolę, do naprowadzania swych dronów i korygowania toru ich lotów, o czym pisałem dwa tygodnie temu na łamach „Sieci”.

Dziś już wiadomo, że w ataku na Polskę zostały użyte drony Gerbera, tanie konstrukcje wabące, których zadaniem jest przetestowanie reakcji drugiej strony, a przede wszystkim narzucenie jej reguł konfliktu asymetrycznego. W tym celu niektóre z nich wyposażone są w tzw. soczewki Luneburga, specjalne rozwiązania, które celowo zwiększają sygnaturę radarową bezzałogowca. Mają ona za zadanie wprowadzić w błąd obronę powietrzną przeciwnika, zmusić go do ponadwymiarowego działania, ujawnić mechanizmy, stanowiska ogniowe, słabe punkty i pomóc wytyczyć korytarze przelotowe, które mogą być używane w przyszłości.

KOSZT ODPARCIA ATAKU

Dron Gerbera kosztuje ok. 10 tys. dol. i jest zbudowany z pianki na lekkiej, najczęściej drewnianej, konstrukcji. To oznacza, że Rosjanie, wysyłając do Polski kilkanaście bezzałogowców tego rodzaju, wydali na ten sprzęt maksymalnie kilkaset tysięcy dolarów. A jak zareagowała Warszawa i NATO? Podnieśliśmy w powietrze nasze F-16, a nasi sojusznicy Holendrzy użyli F-35. Do Polski przyleciała nawet specjalna cysterna powietrzna, bo w związku z tym, że rosyjska operacja trwała kilka godzin,

myśliwce musiały być tankowane w powietrzu. Gdyby patrzeć na to wyłącznie przez pryzmat finansowy, to wydaliśmy kilkanaście, jeśli nie kilkadziesiąt milionów dolarów. Myśliwcom NATO udało się też zestrzelić kilka rosyjskich dronów wabiących. Trwają spekulacje, jakich rakiet użyto w tym celu, ale warto zwrócić uwagę na to, że pociski AMRAAM, w które są wyposażone myśliwce F-16, kosztują w zależności od modelu 1–1,5 mln dol. za sztukę. I na tym polega logika wojny asymetrycz-

Mielibyśmy do czynienia z dwoma rosyjskimi uderzeniami na Polskę. Pierwsze to operacja w domenie cyfrowej, a drugie było związane z użyciem systemów bezzałogowych. Oba są ze sobą powiązane

nej. Rosjanie atakują tanimi systemami, zmuszając w ten sposób przeciwnika do zaangażowania znacznie większych środków. W tym konkretnym przypadku Polska i NATO wydało co najmniej kilkadziesiąt milionów dolarów.

Co zrobimy, jeśli tego rodzaju ataki będą się powtarzały? Może się wówczas okazać, że nie tylko zaczyna nam brakować rakiet, bo ich zasób nie jest nieograniczony, lecz także zdolności naszego lotnictwa ulegają szybkiej redukcji. Samoloty ulegają awarii, trzeba dokonywać przeglądów, w państwach NATO jest zasadą, że w czasie pokoju nawet połowa myśliwców pozostaje z tych powodów uziemiona. Jeśli za każdym razem, kiedy nad obszar Polski nadlecia drony, będziemy podrywać nasze lotnictwo, to za kilka tygodni może się okazać, że większa część maszyn znajdzie się wkrótce w naprawie.

Jest jeszcze inny aspekt, na który trzeba zwrócić uwagę. W czasie ro-

syjskiego ataku dronowego myśliwce zostały skierowane w rejon Polski południowo-wschodniej, mieszkańcy Zamościa i okolicznych wsi mówią o trwających całą noc przelotach. Jeśli w innym scenariuszu mielibyśmy do czynienia najpierw z dużym atakiem dronowym na południu kraju, a potem operacją rosyjskich i białoruskich sił lądowych, które rozpoczęłyby natarcie na przesmyk suwalski, to czy starczy nam zasobów, aby reagować na obydwu kierunkach? Tym bardziej jeśli nasze lotnictwo będzie zmęczone powtarzającymi się co kilka dni operacjami z użyciem dronów?

DALIŚMY RADE?

Te pytania trzeba zadawać, tym bardziej że nasi politycy zdają się przekonywać Polaków, że „daliśmy radę”. Czy rzeczywiście? A jak ocenić skuteczność naszej obrony, której mimo wydania góry pieniędzy i ogłoszenia alarmu dla połowy Polski udało się zniszczyć jedynie kilka rosyjskich dronów? W minionym tygodniu nadleciało ich kilkanaście, ale przecież Ukrainę atakują jednorazowo roje liczące nawet 800 sztuk tego rodzaju systemów.

W odpowiedzi na pytanie, czy rosyjski atak dronowy na Polskę nie jest czasem wstępem do poważniejszej operacji mającej na celu uderzenie na państwa bałtyckie i Finlandię, Anders Åslund, szwedzki ekspert współpracujący z Atlantic Council napisał, że „nie sądzi”, bo „w przeciwieństwie do Polski wszystkie te cztery kraje są gotowe zaatakować Rosję rakietami dalekiego zasięgu, które dotrą do Petersburga i Moskwy już pierwszego dnia wojny. Polska była nieprzygotowana i niezdecydowana. Więc Rosja prawdopodobnie ukarze ją kolejnymi atakami”.

Warto rozwinąć ten wątek nieprzygotowania Polski do rosyjskiego ataku, bo rządząca od 20 miesięcy koalicja stara się przekonać Polaków, że zrobiła wszystko, co można. Na początku lipca „Rzeczpospolita”, którą trudno posądzać o antyrządowe nastawienie, napisała, iż jesteśmy bezbronni w obliczu prawdopodobnych ataków dronowych, bo „MSWiA się nie poczuwa, a MON wciąż

nach Zjednoczonych takie podmioty, jak Andurill czy Palantir, rzuciły wyzwanie gigantom zbrojeniowym. W Niemczech założona w 2021 r. firma Helsing jest dziś wyceniana na 12 mld dol., co sytuuje ją w gronie kilku największych koncernów europejskich. Bawaria buduje nawet specjalny klaster zbrojeniowy, do którego chce ściągnąć firmy z Ukrainy. W Polsce jest wiele firm prywatnych działających w tej branży, kilkadziesiąt zwróciło się do Strategy & Future z prośbą o pomoc i wsparcie. Ich przedstawiciele mówią jednym głosem – nikt w MON nie chce z nami rozmawiać, Agencja Uzbrojenia z zasady przyjmuje optykę, że amerykańska znaczy najlepsze, procedury trwają miesiącami. To nam wyjaśnia, dlaczego jesteśmy ślepi i głusi.

NATO PRZEGRYWA Z ROSJĄ

Dwa tygodnie temu opisywałem na łamach „Sieci” rozwiązania opracowane przez Instytut Zaawansowanych Technologii Wojskowych Politechniki w Kijowie. Dotyczą one również naszego kraju i zdaniem autorów pozwalają badać kanały penetrowania przez Rosjan punktów dostępowych Wi-Fi na terenie naszego kraju. Miesiąc temu po powrocie z Kijowa przekazałem te materiały oficerom z naszych wojsk obrony cyberprzestrzeni, którzy zaczęli je analizować i poprosili mnie o kontakty z ukraińskim instytutem, aby za pośrednictwem bezpiecznych łączy w naszej ambasadzie porozmawiać z przedstawicielami strony ukraińskiej o ewentualnych perspektywach współpracy. Po ataku rosyjskich dronów zapytałem moich kolegów w Kijowie, czy nawiązano jakiegokolwiek kontakt, ale ku mojemu zaskoczeniu, usłyszałem, że nie. Trwają analizy, upłynął miesiąc, mamy czas.

Latem ub.r. dziennik „Financial Times”, powołując się na źródła w kwaterze głównej NATO, napisał, że państwa europejskie – a Polska nie jest tu wyjątkiem – mają jedynie 5 proc. niezbędnych systemów obrony własnej przestrzeni powietrznej. W ubiegłym roku sytuacja była lepsza niż obecnie, bo Rosjanie znacznie przyspieszyli, jeśli chodzi o produkcję dronów bojowych. W 2024 r. zbudowali ich ok. 40 tys., a teraz dążą do osiągnięcia

pułapu 10-krotnie większego. Zmodernizowali też irańskie shahedy, które były dość prymitywną konstrukcją. Teraz ostatnia wersja dronu bojowego Geran-3 ma nie tylko 90-kg głowice bojową, lecz także porusza się znacznie szybciej, co utrudnia jej przechwytywanie, i ma zasięg do 2,5 tys. km. To oznacza – odwołując się do tradycyjnych środków obrony przestrzeni powietrznej w postaci lotnictwa czy systemów Patriot – że NATO przegra wojnę z Rosją, bo wyczerpani szybko ulegną nasze zasoby i zdolności radzenia sobie ze zmasowanymi atakami, do przeprowadzania których używane są śmiercionośne i przede wszystkim tanie systemy.

Ukraina ma system antydronowy, który kosztował 54 mln dol. My wolimy co najmniej 20 razy droższy i oczywiście amerykański, który z zasady musi być lepszy. Tyle że na razie nie mamy nic

Putin już to wie, ale nasi politycy, zamiast deklarować, że NATO stanęło na wysokości zadania, powinni się zastanowić, jak zbudować skuteczną strategię odstraszania, czyli mieć zdolności i wolę użycia rozwiązań, dzięki którym Rosjanie zastanowią się dwa razy, zanim podejmą kolejną decyzję o ataku.

Pisze o tym otwarcie Fabian Hoffmann, niemiecki ekspert pracujący na Uniwersytecie w Oslo. W artykule opublikowanym w specjalistycznym portalu War on the Rocks zwraca uwagę, że strategia odmowy (by denial) realizowana obecnie przez NATO, nie wystarczy, aby odstrążyć Rosjan, a przeciwnie – może ich zachęcić do intensyfikacji wrogich kroków. Strategia „by denial” sprowadza się do tego, co zrobiliśmy w czasie

ubiegłotygodniowego ataku Rosjan. Nasze siły zbrojne mają za zadanie nie dopuścić, aby przeciwnik wtargnął na terytorium bronionego państwa. W przypadku wojny lądowej jest ona zrozumiała i konieczna, ale jeśli mamy do czynienia z atakami z powietrza, to sytuacja się zmienia. Hoffmann zwraca uwagę na dysproporcje jeśli chodzi o zdolności produkcji rakiet przez Rosjan i systemów ich przechwytywania, którymi posługują się państwa NATO. Już obecnie Moskal, którzy przestawili swą gospodarkę na potrzeby wojny, budują rocznie 2 tys. rakiet manewrujących różnych typów i 1 tys. pocisków balistycznych. Co może im przeciwstawić Zachód?

Amerykański koncern Lockheed Martin buduje rocznie 850–900 rakiet do systemów Patriot, ale do Europy trafia ich 400–500. Jeśli dodamy do tego europejskie zdolności, takie jak rakiety SAMP/T czy Aster 30 Bl, to – zdaniem Hoffmanna – nasz potencjał można oceniać na maksymalnie 700 sztuk rakiet zdolnych do przechwytywania rosyjskich konstrukcji. W przypadku dronów bojowych asymetria jest jeszcze większa, co oznacza, że europejskie NATO z pewnością przegra wojnę na wyczerpanie z Rosją, tym bardziej jeśli będziemy angażować nasze myśliwce F-16 i F-35 do zwalczania dronów wabiących.

Jaka jest alternatywa? W opinii Hoffmanna – i trudno się z nim nie zgodzić – państwa wschodniej flanki NATO muszą wejść w posiadanie dużej liczby tanich rakiet o zasięgu 2–3 tys. km. Nie muszą być one technicznie wyrafinowane, bo będą służyć do atakowania celów nieruchomych – kompleksów przemysłowych, lotnisk czy magazynów. Ale musi ich być dużo, a Rosjanie muszą wiedzieć, że jeśli zaatakują, to otrzymają bolesną i masową odpowiedź. Ukraina buduje systemy Flamingo, zdolne do przenoszenia 1,15 t materiału wybuchowego na odległość nawet 3 tys. km. Za rok chce ich mieć 3 tys. Finowie i Bałtowie już – jak napisał Anders Åslund – mają takie zdolności. Pozbawiona jest ich Polska, bo my wierzymy w amerykańską protekcję. Jak myślicie, kogo na cel weźmie Putin?



Ostatni strzał ostrzegawczy?

Specjalnie dla nas były szef Kancelarii Premiera i wiceminister obrony narodowej analizuje, jakie błędy popełnił obecny rząd w reakcji na rosyjską prowokację z dronami

Wtargnięcie dronów w przestrzeń powietrzną Polski w nocy z 9 na 10 września to nie przypadek. Wydarzenie nosi znamiona zorganizowanego testowania polskiego systemu obrony powietrznej, naszego i sojuszniczego łańcucha dowodzenia, zarządzania administracją oraz informacją w państwie, a także gotowości ludności cywilnej na szybką eskalację kryzysu. To twarda lekcja i musimy pilnie odrobić pracę domową.

To pierwsza tak poważna sytuacja w najnowszej historii Polski. Obserwując liczbę, znane trasy przelotów bezzałogowców, nasilenie incydentów z udziałem dronów w ostatnich dniach, widać, że Rosjanie podjęli decyzję o tej operacji na szczeblu politycznym. Trwają właśnie największe polskie ćwiczenia wojskowe „Żelazny Obrońca-25”, planujemy kolejne zakupy uzbrojenia, a regionalna pozycja Polski została potwierdzona poprzez sukces wizyty prezydenta RP Karola Nawrockiego w Waszyngtonie. Jednocześnie, gdy piszę te słowa, zbliżają się rosyjsko-białoruskie manewry „Zapad” (przypomnijmy – w ramach tych cyklicznych ćwiczeń kilka lat temu sy-

mulowano jądrowe uderzenie na Warszawę), Rosja wzmacnia partnerstwo z wybranymi krajami (szczególnie Chinami) i chce udowodnić, że jest gotowa do długotrwałej rozgrywki o Ukrainę, a w dalszej perspektywie – całą dawną strefę wpływów w Europie.

WYCIĄGNIĘTA RĘKA

Następne akty eskalacji mogą być jednak znacznie gorsze, przynieść ofiary śmiertelne, obnażyć problemy systemu bezpieczeństwa państwa, sparaliżować większą część naszej gospodarki i znacząco pogorszyć perspektywy inwestycyjne w Polsce. Rano po rosyjskim ataku prezydent RP słusznie wskazał na potrzebę zgody narodowej w obliczu zagrożeń dla naszego wspólnego bezpieczeństwa. Bieżące reagowanie kryzysowe w najważniejszych aspektach (kontrola przestrzeni powietrznej, neutralizacja celów) zostały podjęte błyskawicznie, podobnie jak ocena skutków wydarzenia. Wojsko Polskie, pozostałe służby mundurowe, urzędnicy i sojusznicy wykonali kawał dobrej roboty.

W duchu zgody pora na uczciwą, uważną analizę, wyciągnięcie wnio-

sków i wdrożenie pilnych zmian, ponad podziałami politycznymi. Premier Mateusz Morawiecki w imieniu całej, największej formacji opozycyjnej zaproponował rządowi współpracę przy wskazaniu defektów systemowych i usprawnieniu naszego systemu bezpieczeństwa, tak aby przy okazji nie zdemolować finansów publicznych. Ręka pozostaje wyciągnięta.

ZAWIODŁA KOMUNIKACJA

Po pierwsze, wewnętrzna komunikacja strategiczna państwa zawiodła. Mimo że atak nastąpił krótko po północy, rzecznik rządu, RCB i inni milczeli. Przez pierwsze dwie godziny jedyne informacje o ataku na Polskę pochodziły od... internautów, którzy wiedzieli o nim ze źródeł ukraińskich. Pierwsza informacja o ataku w telewizji publicznej pojawiła się o 5:26. RCB kompletnie zaspalo – brak komunikatu na stronie internetowej, wpis na oficjalnym profilu na platformie X o alercie ograniczonym do trzech województw dopiero o 7:11, a do wielu osób wysłano go po 8:00, to znaczy blisko siedem, osiem godzin po ataku!

Niemal równolegle do próby Dowódcy Operacyjnego RSZ o pozostanie w domach podanej w komunikacie pojawiła się deklaracja minister edukacji narodowej o tym, że dzieci mają iść do szkół w najbardziej zagrożonych trzech województwach – dyskomfort dla każdego rodzica, który już słyszał, co się wydarzyło w nocy.

Mankamentem był brak komunikatu na stronie internetowej MON, wpisy tylko na oficjalnych profilach na platformie X DO RSZ (najwcześniej ok. 3:30, czyli też kilka godzin po ataku), Sztabu Głównego WP i prywatnym ministra obrony narodowej nad ranem (ok. 5:00, 6:00). Dalej: brak komunikatu na stronie internetowej MSWiA – pierwsze wpisy na profilach resortu oraz ministrów Kierwińskiego i Mrocza, a także Komendy Głównej Państwowej Straży Pożarnej pojawiły się przed 6:00.

Nie określono spójnego przekazu na użytek najważniejszych mediów, szczególnie stacji TV, radiowych, najpopularniejszych portali internetowych.

Ważną jest też perspektywa samorządów, kluczowych w ochronie ludności w naszym systemie. Z perspektywy mojego regionu w województwie dolnośląskim (więc prawdopodobnie również w innych województwach) wczoraj przez cały dzień nie dotarł żaden komunikat RCB ani – w ramach zarządzania kryzysowego (województwo – powiat – gmina) – do władz samorządowych w sprawie naruszenia przestrzeni powietrznej.

MODERNIZACJA SYSTEMÓW STOI

Po drugie, atak był kulminacją wcześniejszych niepokojących doniesień o stanie przygotowań do obrony państwa przed wrogimi zastosowaniami dronów, godzącymi zarówno w naszą obronność, jak i bezpieczeństwo wewnętrzne. Mimo szumnych zapowiedzi o Tarczy Wschód, europejskich projektach obrony powietrznej, nowym rodzaju wojsk odpowiadającym za wojnę

dronową, w praktyce modernizacja podstawowych systemów antydronowych Sił Zbrojnych RP stoi, brakuje nowych planów pozyskiwania sprzętu, a przetarg Straży Granicznej na dwa systemy został prawdopodobnie ustawiony pod zagranicznego dostawcę. Mamy wieloletnie zaniedbania w obronie powietrznej i prawdopodobnie za bardzo skupiliśmy się na jej górnych piętrach, ale do 2023 r. przynajmniej podpisywano kolejne kontrakty. Obecnie pozyskujemy niewielkie fragmenty systemu, i to w dalekiej perspektywie czasowej (vide niedawny kontrakt na radary pasywne, który będzie realizowany po 2030 r.). Tymczasem potrzebujemy skokowej rozbudowy zdolności obrony powietrznej na najniższych piętrach,

Atak był kulminacją wcześniejszych niepokojących doniesień o stanie przygotowań do obrony państwa przed wrogimi zastosowaniami dronów, godzącymi zarówno w naszą obronność, jak i bezpieczeństwo wewnętrzne

stosunkowo taniej, łatwiej w masowej produkcji i możliwie opartej na polskiej bazie przemysłowo-technologicznej.

Po trzecie, nie zadziałały obecne procedury reagowania kryzysowego. Dobrze, że odbyły się spotkania w różnych formatach, w tym z udziałem zwierzchnika sił zbrojnych, ale w takiej sytuacji pilnie należało zwołać Rządowy Zespół Zarządzania Kryzysowego (RZZK), który zgodnie z art. 9 ustawy o zarządzaniu kryzysowym przygotowuje propozycje użycia sił i środków oraz koordynacji zarządzania w sytuacji kryzysowej. W analogicznej sytuacji w dniu pełnoskalowej agresji na Ukrainę w 2022 r. spotkanie RZZK połączone z Komitetem Bezpieczeństwa odbyło się o 5:00.

CO DALEJ?

Przede wszystkim działajmy. W bliskiej perspektywie – kilku tygodni – możemy dodać do mObywatela (korzysta z niego już 10 mln Polaków) system powiadamiania o zagrożeniach wraz z interaktywną mapą. Na Ukrainie taka aplikacja funkcjonuje od początku wojny, dziś wybrzmiał ostatni dzwonek w sprawie uruchomienia podobnej w Polsce.

W dalszej perspektywie sejmowe komisje z odpowiednimi uprawnieniami powinny pilnie skontrolować stopień integracji systemu obrony powietrznej z Krajowym Systemem Ostrzegania i Alarmowania – wygląda na to, że mamy problem z uprzedzaniem ludności o atakach z powietrza. Czas na wyciągnięcie lekcji z Ukrainy czy Izraela. Te same komisje muszą się przyjrzeć obiegowi informacji w samych Siłach Zbrojnych RP. Jednostki obrony powietrznej są kluczowe, ale trzeba się przyjrzeć, w jaki sposób i o której godzinie informowane były np. wojska lądowe czy inne służby mundurowe.

Odrębnym tematem jest informacja dla operatorów infrastruktury krytycznej, która powinna dysponować własnymi systemami ochrony przed atakami z powietrza. Samorządy, faktycznie odpowiedzialne za ochronę ludności, pilnie potrzebują środków na odpowiednie działania zapobiegawcze, nie tylko pojedynczych szkoleń i „Poradnika Bezpieczeństwa”, choć te inicjatywy też są ważne.

Wreszcie: nigdy dość lekcji, że drony są obecnie najtańszym i powszechnie już znanym środkiem ataku z powietrza, rozpoznania przestrzeni powietrznej i realnego paraliżowania istotnych procesów (np. transportowych). Potrzebujemy skokowego wzrostu w zdolnościach Sił Zbrojnych RP i kluczowych cywilnych służb oraz obiektów do obrony przed bezzałogowcami. To zadanie na już, co pokazuje zarówno atak z nocy 9 na 10 września, jak i wiele wcześniejszych incydentów czy wojna na Ukrainie.

Tytuł i śródtytuły pochodzą od redakcji

Michał Dworczyk
Tytuł i śródtytuły pochodzą od redakcji



Po prowokacji Putina

*Były minister obrony narodowej i szef gabinetu ministra spraw zagranicznych
bezlitośnie obnaża błędy i nadużycia ekipy Donalda Tuska w kwestiach
bezpieczeństwa*



JAN PARYS

Naruszenie polskiej przestrzeni powietrznej przez rosyjskie drony 10 września 2025 r. otwiera nowy etap w konfrontacji rozpoczętej przez Moskwę z krajami NATO w grudniu 2022 r. Wtedy bowiem

Kreml postawił państwom zachodnim ultimatum, żądając przekreślenia geopolitycznego *status quo*, jakie powstało po podpisaniu przez Rosję i państwa zachodnie w 1990 r. tzw. Paryskiej Karty Pokoju.

DO CZEGO NIE PRZYNAŁ SIĘ TUSK?

Tego dnia mieliśmy do czynienia z jawną oraz świadomą prowokacją wobec Polski i wobec Sojuszu Północnoatlantyckiego, którego nasz kraj jest członkiem. Wojsko Polskie razem

z sojusznikami zestrzeliło te rosyjskie drony, których trajektorie pozwalały przypuszczać, że bezzałogowce spadną na polskie miasta.

Premier Donald Tusk, występując w Sejmie, uspokajał opinię publiczną. Nie przyznał się jednak, że z powodu zaniedbań jego ekipy od kilkunastu miesięcy w MON są zablokowane decyzje dotyczące obrony kraju przed dronami. W tej chwili Polska nie posiada systemów wykrywania i niszczenia obcych bezzałogowców. W rezultacie musimy używać lotnictwa do ich niszczenia, co jest błędem w sztuce walki.

ATAKI NA PREZYDENTA

Jednocześnie premier podkreślał dobrą i ścisłą współpracę z prezydentem. Mówił, że działają razem jak jedna pięść. Powiem otwarcie, że trudno uwierzyć w te słowa. W ostatnich miesiącach, tygodniach, a nawet dzień wcześniej Karol Nawrocki był bowiem brutalnie atakowany przez członków rządu i samego Donalda Tuska, a pozycja i uprawnienia urzędu prezydenta podważano, dezawuowano i kwestionowano.

Ludzie odpowiedzialni za reset z Rosją cały czas uniemożliwiają normalną pracę szefowi BBN prof. Sławomirowi Cenckiewiczowi. Czynią tak, naruszając orzeczenie właściwego sądu. Karol Nawrocki jest atakowany przez szefa MSZ Radosława Sikorskiego, usiłującego sprowadzić urząd prezydenta do pozycji swego podsekretarza stanu, któremu wydaje instrukcje, którego rozlicza i poucza, co ma robić, a czego nie wolno mu czynić.

CO NAPRAWDĘ JEST W KONSTYTUCJI?

Przedstawiciele koalicji rządzącej chętnie powołują się na konstytucję i przypominają, jakie uprawnienia rządu są w niej zapisane. Jednak nie czytają jej integralnie. Całkowicie pomijają bowiem rozdział, który mówi o tym, jakie są kompetencje głowy państwa.

Tymczasem z konstytucji wynika, że prezydent odpowiada za suwerenność i bezpieczeństwo kraju. Ten zapis nie może być przez nikogo traktowany jako prestiżowy ozdóbnik dla pozycji głowy państwa. Żaden premier ani żaden minister nie może odebrać prezydentowi tych kompetencji lub ograniczać go w wypełnianiu tych obowiązków. W konstytucji nie ma mowy o tym, że prezydent reprezentuje rząd, natomiast jest zapis, że reprezentuje on państwo, czyli Rzeczpospolitą. Jak mówi ustawa zasadnicza, Rada Bezpieczeństwa Narodowego, do której należą m.in. niektórzy członkowie rządu i premier, pełni funkcje doradcze. To wskazuje na podległość członków rządu wobec prezydenta w kwestiach dla niego zastrzeżonych.

PRÓBY NARUSZENIA USTROJU

Rząd, jak mówi konstytucja, prowadzi politykę w zakresie niezastrzeżonym dla innych organów. Jak wiadomo, ustawa zasadnicza wyraźnie zastrzega dla prezydenta pewne dziedziny władzy państwowej. Czyli w sprawach suwerenności i bezpieczeństwa rząd nie ma ani samodzielności, ani władzy stanowiącej. To głowa państwa odpowiada za suwerenność i bezpieczeństwo kraju. Dzieje się tak nie tylko na mocy konstytucji, lecz także mandatu, który otrzymał od większości narodu. Żaden polityk w Polsce nie dysponuje mandatem, który byłby silniejszy lub równie silny. W kwestiach bezpieczeństwa i suwerenności nie tylko

Premier Donald Tusk, występując w Sejmie, uspokajał opinię publiczną. Nie przyznał się jednak, że z powodu zaniedbań jego ekipy od kilkunastu miesięcy w MON są zablokowane decyzje dotyczące obrony kraju przed dronami

mandat, lecz także uprawnienia konstytucyjne prezydenta są nadrzędne wobec obowiązków, które w tych dziedzinach wypełnia rząd. Jeśli obecny gabinet zamierza szanować konstytucję i nasz demokratyczny ustrój, to musi uznać te kompetencje prezydenta i liczyć się z jego zdaniem w tych sprawach. Próby pomijania głowy państwa przez rząd lub ignorowania jego zdania w tych dziedzinach są naruszaniem naszego ustroju, zakwestionowaniem zasad demokracji.

POLEGANIE NA UNII? SKRAJNIE NIEODPOWIEDZIALNE

Inna kwestia, jaką poruszył premier podczas ostatniego wystąpienia Sejmu, to stosunek do Unii Europejskiej.

W obliczu zagrożenia zewnętrznego, zwłaszcza rosyjskiego, łatwo jest wyzywać do jednności. Jednak nie może to oznaczać, że tracimy z oczu rzeczywistość. Premier nawoływał *de facto* do bezwarunkowej akceptacji polityki UE, utrzymując, że to ona zapewnia i będzie zapewniać nam bezpieczeństwo. Uważam, że łączenie rosyjskiego zagrożenia ze stosunkiem do Unii jest nadużyciem. Wspólnota nie ma żadnych zdolności, by zapewniać nam bezpieczeństwo militarne. Za to od wielu lat odpowiada NATO. Unia może pełnić rolę służebną wobec zadań obronnych, np. wspierając budowę infrastruktury podwójnego zastosowania i produkcję zbrojeniową.

Podstawowe zadanie UE to rozwój gospodarczy. Niestety w tej dziedzinie Unia w ostatnich latach nie ma osiągnięć. To przez błędną politykę Komisji Europejskiej nasz kontynent został w tyle za Chinami i USA. Polityka KE z ostatnich lat wobec Rosji jest z kolei dowodem na to, że brukselskie elity nie rozumiały kwestii bezpieczeństwa, a nawet działały na jego szkodę. Bo czym była budowa rurociągów Nord Stream? To było nie tylko uzależnienie gospodarcze i polityczne, lecz przede wszystkim finansowanie rosyjskich zbrojeń. Poleganie na UE w sprawach bezpieczeństwa kraju jest zatem skrajnie nieodpowiedzialne. W tej dziedzinie wystarczy, by UE nie przeszkadzała.

Za całkowicie nieodpowiedzialne uważam także projekty centralizacji władzy w UE. To bowiem oznaczałoby, że państwa członkowskie zostaną pozbawione prawa do własnej polityki obronnej i zagranicznej. Na coś takiego w epoce konfrontacji z Rosją zgodzić się nie wolno. Nie może być tak, by decyzje o obronie naszych granic i życia naszych obywateli podejmowano poza Warszawą, by nasze bezpieczeństwo zależało od humoru brukselskich urzędników, znanych z uległości wobec Moskwy.

*Senator Grzegorz
Bierecki proponuje
radykałną zmianę
podejścia do repatriacji
i osadnictwa w Polsce,
łączyąc te dwa procesy
w jednym systemie*



Polska musi sięgnąć po swoją diasporę

Inicjatywa senatora Grzegorza Biereckiego to nie tylko odpowiedź na pogłębiający się kryzys populacyjny, lecz także reakcja na dramatyczną sytuację Polaków z krajów byłego ZSRR, szczególnie Białorusi i Rosji, gdzie nasi rodacy od lat poddawani są represjom i zmagają się z procesem depolonizacji.

Obecne rozwiązania repatriacyjne w Polsce są nieskuteczne, co potwierdza m.in. raport Najwyższej Izby Kontroli (NIK). Wskazano w nim wyraźnie, iż dotychczasowy system sprowadzania Polaków do ojczyzny nie spełnia



ARTUR CEYROWSKI

zakładanych celów i wymaga natychmiastowych zmian. Raport wymienia m.in. przewlekłe, skomplikowane procedury, a także brak wystarczającego wsparcia samorządów oraz niewykorzystanie potencjału polskiej diaspory.

Powrót do ojczyzny dla większości Polaków, zwłaszcza na Wschodzie, jest wciąż bardziej mglistym marzeniem niż realną perspektywą i możliwością. Do tego nieustannie pogarsza się sytuacja rodaków żyjących na wschód od polskiej granicy. Reżim Aleksandra Łukaszenki doprowadził do faktycznego

Projekt nowej ustawy o repatriantach i osadnictwie

Projekt ustawy autorstwa senatora Grzegorza Biereckiego to propozycja gruntownej reformy – działanie nie tylko o przyszłości pokoleń, lecz także o ratowaniu polskiej tożsamości tam, gdzie jest ona zagrożona. Jeśli zostanie wprowadzony w życie, da impuls zarówno demografii kraju, jak i solidarności narodowej, sięgając po zasoby z polskiego kłosa, z których wyrastają nowe szanse dla państwa.

Nowy projekt ustawy zakłada:

- rozszerzenie kategorii osób uprawnionych do repatriacji o Polaków zamieszkujących całą europejską część byłego ZSRR;
- uproszczenie procedur — wnioskowanie o promesę wizową online, szybką weryfikację dokumentów przy przekraczaniu granicy;
- kluczową rolę samorządów wojewódzkich w nabywaniu pustostanów i organizowaniu akcji osadniczej na terenach zagrożonych depopulacją;
- pierwszeństwo dla repatriantów i ich rodzin, a w drugiej kolejności dla Polaków wracających z emigracji, także tych bez polskiego obywatelstwa;
- możliwość wykupu mieszkań po określonym czasie zamieszkania z bonifikatą i zaliczeniem nakładów.

zniszczenia niemal wszystkich polskich organizacji, likwidacji polskich szkół i mediów, a setki Polaków trafiły do więzień na podstawie sfabrykowanych zarzutów.

Dziś władze polskie nie mają skutecznych narzędzi, by sprowadzić naszych rodaków do kraju. Roczna liczba repatriantów przyjeżdżających na mocy obecnych przepisów to zaledwie kilkaset osób, a w kolejce do wyjazdu czekają tysiące chętnych.

„Przy dotychczasowym tempie organizacji osiedlania repatriantów w Polsce (ok. 684 osoby rocznie) proces repatriacji oczekujących i zainteresowanych 15 200 osób może zająć [...] około 22 lata” – precyzowała NIK w raporcie z listopada 2024 r.

Pilną potrzebę działania wskazuje także perspektywa demograficzna i coraz niższy wskaźnik dzietności w Polsce, który spadł do poziomu 1,099 dziecka na kobietę. To znacznie poniżej progu zastępowalności pokoleń, który wynosi 2,1.

Geneza niskiej dzietności naszego społeczeństwa jest oczywiście złożona, ale jedną z konsekwencji spadku liczby ludności jest m.in. coraz większa liczba pustostanów. Według danych GUS w Polsce jest już niemal 1,8 mln niezamieszkałych mieszkań, co szczególnie odczuwają województwa lubelskie, podlaskie i łódzkie.

NOWY MODEL REPATRIACJI I OSADNICTWA

Stąd pomysł, aby – szukając rozwiązania kryzysu demograficznego – połączyć proces repatriacji z osadnictwem.

– Ten projekt to realne rozwiązanie dwóch problemów naraz. Polska się kurczy demograficznie. Są wioski czy miasteczka, w których wieczorem pali się światło tylko w co trzecim domu. Według danych GUS mamy w kraju prawie 1,8 mln pustostanów. W moim województwie lubelskim widać

to szczególnie wyraźnie. To dramat lokalnych społeczności, ale i potencjał. Projekt ustawy przewiduje, że samorządy będą mogły nabywać albo wynajmować opuszczone domy i mieszkania, a następnie oddawać je repatriantom. Zyskają wszyscy: repatriant – dom i miejsce w Polsce, samorząd – nowych podatników, a właściciele pustostanów – realną możliwość sprzedaży czy wynajęcia bez straty – tłumaczy senator Grzegorz Bierecki.

Projekt ustawy przygotowany przez parlamentarzystę zakłada trzy koronne elementy: rozszerzenie terytorialnego zakresu repatriacji, połączenie jej z programem osadnictwa na terenach zagrożonych wyludnieniem oraz usprawnienie i uproszczenie procedur wjazdu do Polski.

Nowa ustawa ma dać samorządom województw zagrożonych depopulacją prawo nabywania lub wynajmowania pustostanów oraz oddawania ich w pierwszej kolejności repatriantom i Polakom wracającym z emigracji.

Osadnikom oferuje się nie tylko dach nad głową, lecz także wsparcie finansowe oraz pierwszeństwo na rynku pracy, co bazuje na realnej chłonności polskiej gospodarki. Nawet po przyjęciu milionów Ukraińców stopa bezrobocia wciąż jest niska.

– Polska gospodarka chłonie pracowników. Przyjęliśmy kilka milionów Ukraińców, a stopa bezrobocia nadal jest niska. Gdy wojna się skończy, znaczna część z nich zapewne wróci do ojczyzny. Wtedy powstanie luka, którą ktoś musi wypełnić. Zamiast sprowadzać migrantów z kultur obcych Polsce, możemy zaprosić do kraju naszych rodaków, ludzi, którzy deklarują polskość i chcą ją pielęgnować – przypomina senator Grzegorz Bierecki.

Projekt ma maksymalnie uprościć uzyskanie procedury wizowej. Wnioskowanie o promesę wizy krajowej będzie można realizować online, a ostateczna weryfikacja dokumentów następować będzie przy przekraczaniu granicy. Procedura obejmie nie tylko repatriantów, lecz także Polaków wracających z emigracji. Lokale przekazywane osadnikom po kilku czy kilkunastu latach będą mogły przejść na ich własność – z bonifikatą i zaliczeniem nakładów.

Dlaczego obecny system nie działa?

- Repatriacja to zadanie własne gmin – tylko nieliczne biorą udział w procesie, a uchwała rady gminy jest pierwszym z wielu skomplikowanych wymogów.
- Formalności są przewlekłe – osoby czekają latami, często do późnego wieku, przez co większość repatriantów staje się klientami opieki społecznej, a nie aktywnymi podatnikami.
- Liczba repatriantów to ok. 700 osób rocznie; w kolejce na wyjazd czeka ponad 7 tys.
- Repatriacja jest ograniczona terenowo – program obejmuje głównie Syberię i Azję Środkową, pomijając kraje, gdzie Polacy żyją pod największą presją depolonizacyjną.
- Gminy rzadko dysponują odpowiednią bazą mieszkaniową, podczas gdy województwa mają tysiące pustostanów gotowych do zagospodarowania.
- Brak elastycznego finansowania i koordynacji, a wsparcie z budżetu centralnego nie nadąża za rzeczywistymi potrzebami.

PLAN WYKONALNY I POLICZONY

Zdaniem senatora Biereckiego projektowane rozwiązania pozwalają na dziesięciokrotne zwiększenie efektywności repatriacji i uruchomienie realnego programu powrotu o charakterze cywilizacyjnym. Założono, że w ciągu dekady można sprowadzić do Polski 500 tys. rodzin, czyli ponad 1 mln aktywnych obywateli. Dotychczasowe rozwiązania założyły, że repatriacja to zadanie własne gmin realizowane przy wsparciu budżetu centralnego. Tymczasem liczba gmin zaangażowanych w ten proces jest niewielka, a procedury repatriacyjne – skomplikowane i czasochłonne.

Osoba uprawniona do powrotu musi najpierw uzyskać uchwałę rady gminy, potem spełnić wiele warunków mieszkaniowych i majątkowych, a nierzadko czeka na decyzję latami. W efekcie do Polski przyjeżdżają głównie osoby w podeszłym wieku, których aktywność zawodowa i podatkowa jest już znikoma, co sprawia, że proces repatriacji często przynosi państwu więcej kosztów niż korzyści.

Nowa ustawa zmienia logikę systemu. Po pierwsze, daje samorządom wojewódzkim kluczową rolę, dzięki czemu proces decyzyjny jest szybszy i bardziej elastyczny. Po drugie, pozwala samorządom wykorzystać ogromną pulę pustośnów, tj. ponad 1,7 mln w skali kraju, tysiące w każdym z zagrożonych depopulacją regionów. Po trzecie, uproszczony model wizy krajowej i promesy otwiera drzwi tym, którzy dziś są blokowani przez administracyjne bariery. Wreszcie – osadnikom, po spełnieniu odpowiednich warunków, umożliwia się wykup lokale na preferencyjnych warunkach.

Szacowane przez autorów projektu koszty to ok. 78 mld zł w perspektywie 20 lat, co przy przychodach podatkowych szacowanych na co najmniej 86 mld zł sprawia, że program nie tylko się zwraca, lecz także staje się realną inwestycją w przyszłość kraju.

– Cała polska diaspora liczy ok. 21 mln osób, choć oczywiście nie wszyscy będą zainteresowani powrotem do Polski. Natomiast konkretny program, który proponuję, czyli połączenie repatriacji z osadnictwem, zakłada sprowadzenie do Polski 500 tys. rodzin w ciągu 10 lat. To jest plan wykonalny i policzony – tłumaczy były szef senackiej komisji budżetu i finansów publicznych.

Z analiz wynika, że koszt nabycia i remontu lokalu na cele osadnictwa nie powinien przekroczyć 150 tys. zł. W planie nabycie lokali ma być rozłożone na raty, a zysk dla budżetu państwa to nie tylko podatki opłacane przez osadników i ich rodziny, lecz także aktywizacja gospodarcza regionów dotkniętych depopulacją.

– To jest projekt cywilizacyjny. Propozycja, która nie tylko odpowiada na potrzeby chwili, lecz także przyszłość. Polska

albo rozsądnie sięgnie po swój własny potencjał – diasporę, rodaków rozproszonych po świecie, albo podzieli los Zachodu, który depopulację „rozwiązuje” masową imigracją z odległych kultur, co rodzi napięcia i konflikty. My mamy inną drogę, która jest zgodna z naszą tożsamością, a jednocześnie pragmatyczna gospodarczo i demograficznie – tłumaczy senator Bierecki.

EWAKUACJA, NIE REPATRIACJA

Z dokumentów przygotowanych na potrzeby Senatu RP, które opisują charakter i problemy polskiej diaspory, wynika ponad wszelką wątpliwość, iż Rzeczpospolita musi zareagować na politykę depolonizacji od lat prowadzoną przez władze Białorusi. Należy koniecznie odpowiedzieć na likwidację polskich organizacji, szkół, mediów i brutalne represje wobec polonijnych działaczy. Przypadki Anny Paniszewej, dyrektor szkoły w Brześciu, czy Andrzeja Poczobuta, skazanego na osiem lat kolonii karnej, pokazują skalę prześladowań.

Tylko na Białorusi formalnie polską narodowość deklaruje dziś niecałe 300 tys. osób, choć rzeczywiste liczby mogą być kilkakrotnie wyższe. Represje prowadzą do wynarodowienia, ukrywania korzeni i porzucenia polskości dla własnego bezpieczeństwa. Podobnie sytuacja wygląda w Rosji, gdzie Polacy są zastraszani, a możliwości kulturowania języka i kultury są nieustannie ograniczone.

Na tym tle pomysł senatora Grzegorza Biereckiego to w istocie apel, by myśleć o procesie ściągania Polaków do naszej ojczyzny w charakterze „ewakuacji”, a nie repatriacji, ratując naszych rodaków przed przymusową asymilacją.

Polska udowodniła, że stać ją na wielką mobilizację: po agresji Rosji na Ukrainę nasz kraj w ciągu kilku

miesięcy przyjął miliony uchodźców, oferując im mieszkania, pracę i wsparcie. Jednak w przypadku własnych rodaków ciągle obowiązuje sformalizowany, niewydolny proces.

Zgodnie z konstytucją Senat sprawuje pieczę nad polską diasporą. Propozycja senatora Biereckiego to nie tylko kontynuacja tej misji, lecz także jej wzmocnienie w warunkach czasu kryzysu.

To projekt cywilizacyjny, który zakłada zarówno ratowanie polskości na Wschodzie, jak i odbudowę Polski – gmin, powiatów, województw „wygasających demograficznie”, które zyskają nowych obywateli, podatników i twórców dobrobytu.

– Naszym rodakom na Wschodzie chciałbym powiedzieć, że Polska o nich pamięta. Tu, w Polsce, nie będą prześladowani, lecz przyjęci jak bracia. Ta ustawa jest właśnie dla nich, aby mogli znów bezpiecznie i z dumą być tym, kim są – Polakami – podsumowuje senator Bierecki.

To projekt cywilizacyjny, który zakłada nie tylko ratowanie polskości na Wschodzie, lecz także odbudowę Polski – gmin, powiatów, województw „wygasających demograficznie”, które zyskają nowych obywateli, podatników i twórców dobrobytu

Obowiązki wobec rodaków

Zbigniew Ziobro, wiceprezes PiS,
były minister sprawiedliwości

– Każde szanujące się państwo gwarantuje swoim rodakom powrót do ojczyzny, zwłaszcza wtedy, gdy ci znaleźli się poza granicami bez własnej woli, wskutek zawieruch wojennych i wydarzeń losowych. Polska z tych zadań – powiedzmy sobie uczciwie i wprost – się nie wywiązywała. Tu państwo polskie zawodziło i to rozwiązanie, które proponuje senator Bierecki, jest wyjściem naprzeciw fundamentalnym obowiązkom, jakie mamy wobec rodaków. Polska łożyła gigantyczne środki na Ukrainę i obywateli tego państwa, co oczywiście było potrzebą czasu i chwili. Nie znalazła natomiast do tej pory możliwości, by wygospodarować zasoby finansowe, które pozwoliłyby realizować jej obowiązki wobec własnych rodaków, którzy znaleźli się na obczyźnie i nie mogli wrócić do Polski.

Druga sprawa to interes naszej gospodarki. Wiemy, że kraje zachodnie, na przykład Wielka Brytania, chwalą się wzrostami gospodarczymi, których przysporzyła im polska społeczność. Jednocześnie w Polsce, przy zmniejszającej się dzietności i topniejącej populacji, odczuwamy brak rąk do pracy. Z punktu widzenia interesu państwa polskiego jest we wszech miar pożądane, aby to ludzie kulturowo nam najbliżsi, dzielący nasze wartości, naszą tożsamość, naszą historię, budowali polską gospodarkę i przyczyniali się do rozwoju naszego państwa.



Rewelacyjne rozwiązanie

Przemysław Czarnek, wiceprezes PiS,
były minister edukacji narodowej i nauki

– Rozmawiałem z senatorem Grzegorzem Biereckim o ustawie, którą stworzył. Jestem przekonany, że jest ona jedynym i rewelacyjnym rozwiązaniem na problem demograficzny w Polsce, który jest szczególnie widoczny na Wschodzie. Sytuacja ta jest dodatkowo potęgowana przez sytuację naszych rodaków w takich państwach jak Białoruś czy Rosja.

Główne wyzwanie stojące przed polskimi władzami to pogodzenie dwóch problemów: dużej i wciąż rosnącej liczby pustostanów w Polsce z potrzebami Polaków, którzy oczekują na repatriację z krajów byłego Związku Radzieckiego. Brakuje nam efektywnych rozwiązań prawnych, umożliwiających sprawniejszy proces repatriacji oraz przekazywanie przez województwa mieszkań, domów i gruntów osobom powracającym do kraju. Krótko mówiąc, w tym konkretnym momencie, w którym się znajdujemy, nie ma lepszego rozwiązania niż ta ustawa repatriacyjna senatora Grzegorza Biereckiego i trzeba nad tym szybko pracować.



Rewelacyjne rozwiązanie

Bartłomiej Wróblewski, poseł PiS

– Projekt ustawy dotyczącej repatriacji uważam za jeden z najistotniejszych, jakie pojawiły się w ostatnich latach. To także rodzaj narodowego rachunku sumienia; jesteśmy winni tym ludziom pamięć i troskę. Jeśli my zapomnimy o Polakach na Wschodzie, to Pan Bóg mógłby zapomnieć o nas.

Wartość projektu senatora Biereckiego polega także na tym, że zawiera rozwiązania kompleksowe. Z jednej strony wprowadza mechanizmy prawne, które ułatwią rodakom zza wschodniej granicy przyjazd do Polski i osiedlenie się tutaj. Z drugiej zakłada konkretne instrumenty ekonomiczne, takie jak możliwość wykupu pustostanów przez samorządy i przekazanie ich repatriantom. W świetle deklaracji obecnej koalicji, która mówi wiele o potrzebie nowych rąk do pracy, istnieje nadzieja, że w tym projekcie dostrzegą oni nie tylko wymiar moralny, lecz także czysto pragmatyczny.



Kroki w dobrym kierunku

Janusz Kowalski, poseł PiS

– Zgadzam się z senatorem Grzegorzem Biereckim, który proponuje, by sprawę repatriacji połączyć z ustawą o osadnictwie. Jej celem jest umożliwienie powrotu do Polski nawet 500 tys. polskich rodzin w ciągu 10 lat. Jest to wspaniała inicjatywa, a zmiany w ustawie o repatriacji oraz uproszczenie procedur wizowych dla Polaków i osób polskiego pochodzenia z byłego ZSRR to kroki w dobrym kierunku.



Rząd wstydu

Ekipa Donalda Tuska i on sam nie dają Polakom powodów do dumy, tylko cały czas trzeba się za nich wstydzić



STANISŁAW JANECKI

Gdyby najkrócej określić sytuację polityczną w Polsce we wrześniu 2025 r., mogłoby to być hasło: „Rządzi Tusk, a Polakom wstyd”. Tak obecna opozycja mogłaby przerobić hasło z banerów Platformy Obywatelskiej, którymi obwieszono Polskę przed wyborami parlamentarnymi w 2007 r. Tamto brzmiało: „Rządzi PiS, a Polakom wstyd”, a „wstyd” miałbyć tylko z tego powodu, że nie rządziła PO.

Po 13 grudnia 2023 r. gabinet Donalda Tuska jest powodem do wstydu praktycznie codziennie. Określenia „wstyd” użył prezydent Andrzej Duda, przemawiając w Sejmie w pierwszą rocznicę wyborów parlamentarnych 15 października 2023 r. „Wstyd i hańba. To jest wstyd i hańba. Kiedyś zabrakło odwagi do rozliczenia

sędziów komunistycznych. A dziś chcecie łamać kręgosłupy sędziom w wolnej Polsce [nazywanie sędziów „neosejdziami” i oczekiwanie od nich „czynnego żalu”]” – mówił Andrzej Duda.

1 lutego 2025 r. słowa „wstyd” użył Karol Nawrocki jeszcze jako kandydat na prezydenta: „Spór o ambasadorów [szef MSZ zignorował prezydenta Dudę w odwoływaniu urzędujących ambasadorów i wskazywaniu kandydatów na ambasadorów] to jest wstyd, który przyniósł nam Donald Tusk i jego państwo. [...] Podczas mojego spotkania w Waszyngtonie zadawano mi pytanie, czemu nie ma tam polskiego ambasadora. Cierpi polska dyplomacja, polska pamięć i cierpi interes Polski”.

„Wstyd! Do dymisji! Skandal w Berlinie! Minister Kultury i Dziedzictwa Narodowego w rządzie Donalda Tuska pojawiła się na uroczystości upamiętniającej polskie ofiary niemieckich zbrodni w brudnych trampkach, z odrostami i w żakiecie wyglądającym jak wyciągnięty psu z gardła. Zamiast pomnika – Niemcy postawili kamień hańby. Rząd milczy. [...] Upokorzenie

Polski i plucie na pamięć 6 mln naszych obywateli nie może przejść bez konsekwencji” – napisał 16 czerwca 2025 r. poseł Dariusz Matecki. Wstydem było samo upamiętnienie polskich ofiar kamieniem i legitymizacja tego poprzez udział ministra polskiego rządu.

TUSK W OSTATNIM WAGONIE

10 maja 2025 r. do Kijowa udali się przywódcy Polski, Niemiec, Francji i Wielkiej Brytanii. Ale Donald Tusk jechał w osobnym wagonie. Wyglądało to tak, jakby prezydent Emmanuel Macron, kanclerz Friedrich Merz i premier Keir Starmer wstydzieli się podróżować razem z polskim premierem. Rzecznik MSZ tłumaczył, że umieszczenie Donalda Tuska w osobnym wagonie stanowiło decyzję strony ukraińskiej, co tym bardziej byłoby powodem do wstydu. Waldemar Kuczyński, minister w rządzie Tadeusza Mazowieckiego, groteskowo tłumaczył: „On [Tusk] jest dziś dla Putina najgroźniejszy w mobilizacji Europy do zbrojeń i pomocy Ukrainie. Dla bezpieczeństwa całej czwórki po-

stanowiono odseparować na czas podróży głównego wroga Putina i resztę”.

Wcześniej, 18 października 2024 r., w Berlinie odbyło się spotkanie prezydenta USA Joe Bidena z kanclerzem Scholzem, prezydentem Macronem oraz premierem Starmerem. Donald Tusk nie został zaproszony na spotkanie. Znowu wstyd.

Powodem do wstydu stanowiło też zignorowanie premiera podczas konsultacji europejskich liderów z prezydentem Donaldem Trumpem w sprawie Ukrainy. Z prostej przyczyny. W lutym 2023 r. na profilu Tuska na Instagramie pojawiło się zdjęcie z prezydentem USA Joe Bidem: „Naprawdę jest z czego się cieszyć! No bo wyobraźcie sobie, że prezydentem mógł ponownie zostać polityk zależny od Moskwy”. Miesiąc później zapytano Tuska o ten wpis podczas spotkania z wyborcami w Bytomiu. I ten popłynął: „Jego [Trumpa] zależność od rosyjskich służb dzisiaj już nie podlega dyskusji. To nie jest moje przypuszczenie, to jest efekt dochodzenia amerykańskich służb”. Następnie Tusk dodał, że przywołane przez niego amerykańskie służby „nie wykluczają, że Trump został wręcz zwerbowany przez rosyjskie służby 30 lat temu”. Jako dowody przedstawił jego pobyty w Moskwie, „dziwne interesy” i dwuznaczne nagrania z kobietami wykonane przez rosyjskie służby. Wstyd z powodu takich dywagacji był na cały świat.

„Nie, tego typu sugestii [o związkach agenturalnych Trumpa z Moskwą] nigdy nie zgłaszałem – powiedział Tusk 7 listopada 2024 r. na konferencji prasowej. I to zaprzeczenie też było powodem do wstydu. „Donald Tusk nazywał Donalda Trumpa rosyjskim agentem, dlatego jego obecność w Kijowie na rozmowach przywódców państw Zachodu na czele z prezydentem USA była obciążeniem dla uczestników spotkania” – wyjaśnił Jan Piekło, były ambasador Polski na Ukrainie.

Wstyd przyniosły też dywagacje obecnego ministra spraw zagranicznych Radosława Sikorskiego. Już w lipcu 2016 r. napisał on na platformie X: „Trump. Człowiek Putina w Białym Domu”, co implikowało zdradę interesów USA i sojusz z Rosją. Sikorski nazwał Trumpa „protofaszystą”, sugerując faszystowskie sympatie i tendencje

w filozofii rządzenia. Minister atakował też politykę Trumpa jako pchającą USA do wojny domowej i uzależnioną od Kremla. Swoje do pocucia wstydu dołożyła też żona Sikorskiego Anne Applebaum, porównując Trumpa do Hitlera, Stalina i Mussoliniego. Wstyd był (i nadal jest) za męża i żonę.

ROZMIAR MA ZNACZENIE?

Powodem do wielkiego wstydu były frywolne dywagacje Tuska podczas konferencji prasowej 5 września 2025 r. w Łomży. Dziennikarz telewizji Republika powiedział wtedy do szefa rządu: „Bardzo się cieszę, że dzisiaj tu jesteśmy. Prawie dwa lata nie jesteśmy wpuszczani na pana konferencje prasowe. Czy to już jest koniec embarga na największą stację telewizyjną w Polsce?”. „Tacy duzi jesteście, że aż najwięksi w Polsce, tak? Jak znam takich facetów, którym się wydaje, że coś jest bardzo duże, wie pan, a później tak się okazuje..., więc niech pan będzie ostrożny z tym chwaleniem się, co do rozmiarów i wielkości, bo z tego są później tylko kompromitacje”. Skompromitował się Tusk uwagami poniżej jakiegokolwiek poziomu o tym, co jest duże, a co małe i co z tego wynika. Na tak żenujące dywagacje nie zdobył się żaden premier Polski po 1989 r. Zresztą to był nie pierwszy taki przypadek i powód do wstydu w wydaniu przedstawicieli obecnego układu rządzącego.

24 lipca 2025 r. w Kanale Zero komentowano utrzymanie przez Barbarę Nowacką stanowiska ministra edukacji po rekonstrukcji rządu. Obecny w studiu poseł Polski 2050 Sławomir Ćwik stwierdził, że „każdy, kto łączy kropki, wie, dlaczego została i tyle”. „Każdy, kto interesuje się polityką, niech połączy kropki” – dodawał, uśmiechając się, co wywołało reakcję posła Jana Kanthaka z PiS: „Ja mam pewne podejrzenia, ale grubo! Ja bym chyba nie odważył się tak o tym mówić publicznie”. Sławomir Ćwik zabrał potem głos w Sejmie w obecności Barbary Nowackiej. Jeszcze zanim zaczął, z ław dobiegało głośnie skandowanie: „Połącz kropki! Połącz kropki!”. „Pani minister, przepraszam za zachowanie prawej części sali, która nie potrafi połączyć prostych kropek” – stwierdził Ćwik. Później w mediach

społecznościowych minister edukacji pojawił się taki wpis: „Seksizm, chamstwo i brak zdolności, aby powiedzieć słowo »przepraszam« stają się niestety normą w polskim Sejmie. [...] Ale od Polski 2050 oczekiwałam wyższych standardów”. Jak dodała Nowacka, spodziewała się „przepraszam za insynuacje i wywołanie fali obelg i hejtu”. Oczekiwała „przepraszam mojej rodziny i rodziny premiera Donalda Tuska” oraz „szkolenia antydyskryminacyjnego nie tylko dla posła Ćwika, ale i wszystkich innych, którzy nie widzą problemu w zachowaniu tego pana”.

JAK „ZAWIANY” MENEL

W styczniu 2022 r. poseł Bartłomiej Sienkiewicz, późniejszy minister kultury w rządzie Donalda Tuska, chwiejnym krokiem zszedł po schodach w sali sejmowej i podszedł do Borysa Budki. „Pijany? To są jakieś bzdury” – mówił potem Budka. Jeden z parlamentarzystów krzyknął, że „Sienkiewicz się przewróci”. To niejedyny powód do wstydu w związku z tym, co robił Sienkiewicz. 13 maja 2024 r. pożegnał się z resortem kultury zdjęciem, jak siedzi na schodkach ministerstwa z papierosem w ustach i w rozpiętej marynarce. Na platformie X napisał: „Pożegnalny papieros przed MKiDN. Tradycję trzeba podtrzymywać”. W odpowiedzi na wpis szefowa klubu Lewicy Anna Maria Żukowska napisała: „Promocja uzależnień przez ministra?”.

We wrześniu 2014 r. rzecznik MSW Paweł Majcher opublikował podobne zdjęcie swojego szefa, opatrując je podpisem: „Bartłomiej Sienkiewicz żegna się z ministerstwem spraw wewnętrznych”. Na nim również polityk siedzi na schodach wejściowych do budynku, uśmiecha się i trzyma w ręce papierosa. Wstydem było to, że minister zaprezentował się jak jakiś menel.

Obecna minister kultury Marta Cienkowska nie wykonuje menelskich gestów, ale to, że przekazała poufny list sygnalistki (Hanny Radziejowskiej) osobie, której dotyczyło zgłoszenie (Krzysztofowi Ruchniewiczowi), jest skandalem i wyjątkowym wstydem. W rządzie Tuska to nic specjalnego: cały i prawie zawsze jest powodem do wstydu.

Ostatnia nadzieja liberałów

Radek Sikorski w roli premiera? Mówi się o tym od dość dawna. Albo w formie życzenia, że byłby nową jakością w miejsce zmęczonego Donalda Tuska, albo w postaci pogłosek utrzymanych w złośliwej formie. Sytuacja jest dynamiczna, więc nie sposób ocenić, jakie ma szanse. Jedno jest pewne – Sikorski jest zbyt ambitnym politykiem, aby zrezygnować z takiej okazji. A osobną sprawą jest to, czy da radę na tym stanowisku



PIOTR GURSZTYN

Mam takie przekonanie, że ze względu na to, że w tej chwili jest pewnego rodzaju rywalizacja w PO, kto będzie kolejnym kandydatem do przewodzenia PO, Radosław Sikorski wchodzi w spór z prezydentem po to, żeby budować swoją pozycję wewnątrz PO” – mówił niedawno prezydencki minister Paweł Szefernaker. To wypowiedź politycznego konkurenta, więc w innym czasie należałoby ją potraktować jedynie jako złośliwość pod adresem przeciwnika. Ale takich wypowiedzi i sygnałów jest więcej. Także ze strony zwolenników obecnego obozu władzy.

NIE PODDA SIĘ BEZ WALKI

W obu przypadkach najsłabszą stroną tych prognoz i rozważań jest to, że

ewentualna ofiara zamiany – Donald Tusk – nie wygląda na kogoś, kto podda się bez walki. Ponad miesiąc temu w jednej z prorządowych gazet ukazał się tekst o możliwościach oddania władzy w rządy i partii przez Tuska. Konkluzja tekstu była zgrabnie ujęta: „Następcą Donalda będzie Donald – miał rzec któryś z działaczy Platformy Obywatelskiej”.

Dodajmy do tego oceny charakteru Sikorskiego wskazywanego tam jako sukcesora Tuska. Ludzie, którzy go bliżej znają, uważają, że Radek nie ma charakteru politycznego killera, który byłby zdolny do wykończenia Tuska. Coś tu jest na rzeczy – cała kariera Sikorskiego pokazuje, że jest on bardziej gawędziarzem niż człowiekiem czynu. Na dodatek zawsze grał na sobie i nie zebrał wokół siebie znaczącego środowiska.

Tusk z pewnością jest zdeterminowany do zacieklej obrony. Przede wszystkim dlatego, że nie ma dokąd odejść. Widać, że będzie próbował uciec do przodu. Platforma ma połączyć się ze swoimi wewnętrznymi przystawkami typu Inicjatywa Polska, Nowoczesna czy Partia Zielonych. To pozorowane ruchy, bo te małe partyleki i tak zły się z PO. Stary trick w stylu rekonstrukcji rządu. Wprawdzie zużyty, ale dla Tuska będzie to okazja do przetasowań wewnątrz ugrupowania i osłabienia nieżyczliwych mu ludzi.

INNYCH KANDYDATÓW BRAK

Obozowi liberalnemu najbardziej opłacałoby się znaleźć jakiegoś rzutkiego 40-latkę, który w naturalny sposób byłby odpowiednikiem przeżywającego swój gwiazdny czas prezydenta Karola Nawrockiego. Ale tam nie ma nikogo takiego. Adam Szłapka, rzecznik rządu, był wskazywany jako ten, w którym Tusk widzi swojego następcę. Jednak albo zabrakło mu czasu do wejścia w rolę potencjalnego lidera, albo po prostu nie ma ku temu zdolności. W tej kategorii wiekowej w Koalicji Obywatelskiej dominują miernoty i słabeusze. Ludzie tacy jak Cezary Tomczyk, który woli być trollem internetowym niż skorzystać z trampoliny do poważnej polityki, jaką dostał w postaci funkcji wiceszefa MON. Inni zmarnowali swoją szansę, prowadząc bardzo słabą kampanię prezydencką Rafała Trzaskowskiego.

I to jest okoliczność, która działa na korzyść Radka Sikorskiego – ostatniej nadziei liberalów. Bo Tusk będzie się zaciekle bronił, ale naciski mogą być silniejsze. Z każdej strony – „ulica i zagranica”. A dokładniej – z wewnątrz partii, z Berlina i Brukseli oraz ze środowisk opiniotwórczych, z mediami na czele.

– Sikorski i Trzaskowski to politycy merytoryczni, którzy poradziliby sobie na nowych stanowiskach. Donald Tusk jest w polityce bezinteresownie, stać by go było na podobny ruch – odpowiedział niedawno na pytanie o podmiannę premiera eurodeputowana Hanna Gronkiewicz-Waltz. To wypowiedź ostrożna i dyplomatyczna, ale w tym samym czasie ta sama Gronkiewicz-Waltz zamieściła na platformie X wpis o zaskakującej treści. Autorem był internauta opozycyjny wobec jej partii: „Upadek »nagiego króla Europy«... Szczerze? Po tym, jak podchodzą do premiera Tuska: kanclerz Niemiec, prezydent Francji, premier Wielkiej Brytanii, prezydent USA, premier Włoch czy prezydent Ukrainy widać, że polski premier został odsunięty na polityczną bocznice”. Tak brzmi początek tego długiego komentarza, a tak koniec: „Tusk obecnie zbiera owoce swoich wcześniejszych działań. Angela odeszła, Trump wrócił, Merz przejął władzę, Macron ignoruje, Meloni omija i Tusk przestał się liczyć w Europie. A to oznacza, że Polska na tym traci, polskie interesy są zagrożone”. Warto tu dodać, że wpis bił rekordy popularności i był szeroko komentowany.

W DEFENSYWIE

„Biorąc pod uwagę, że sondaże partyjne od miesięcy są bardzo stabilne i różnią się od siebie niuansami, trudno oczekiwać, żeby przez następne miesiące coś się w nich fundamentalnie zmieniło. A to będzie wymagać od strony rządowej szybkiego i poważnego myślenia o sensownej wyborczej konsolidacji, bo każdy procent poparcia stracony pod wyborczym progiem zmniejsza niemal do zera szanse na utrzymanie władzy” – napisał kilka dni temu wicenaczelny tygodnika „Polityka”, oddając nastroje w szeroko pojętym obozie liberalnym.

„Premier jest w defensywie, stracił energię, mówi chaotycznie, ale trudno

się dziwić. Poparcie i dla niego, i dla rządu wygląda wciąż tragicznie” – czytamy w „Tygodniku Powszechnym”. Przy czym określenie, że poparcie „wciąż” wygląda tragicznie, jest eufemizmem. Poparcie systematycznie spada, rząd Tuska bije kolejne rekordy niepopularności. Dodajmy jeszcze zdanie Andrzeja Stankiewicza z Onetu, dziennikarza bardzo zaangażowanego po stronie rządowej: „W moim głębokim przekonaniu Tusk nie wygra już w Polsce wyborów”.

BAGAŻ SIKORSKIEGO

Widzimy, że lawka rezerwowych strony liberalnej jest dramatycznie krótka. Można już zatem stawiać pytanie: jakim szefem rządu byłby Radosław Sikorski?

Odpowiedzi trzeba szukać na zasadzie analogii, bo to postać o bardzo długim stażu politycznym. Dwa razy był wiceministrem (MON i MSZ), półtora roku ministrem obrony narodowej i prawie dziewięć lat – sumując trzy kadencje – szefem dyplomacji. Nikt inny nie kierował tak długo MSZ. Co z tego zostało? Jakże ma osiągnięcia?

W 2014 r. był liderem misji dyplomatycznej UE w Kijowie w czasie euromajdanu. W pamięci jednak pozostały jego pogroźki wobec walczących o demokrację Ukraińców, którzy nie chcieli, aby nadal prezydentem był winny śmierci ponad 100 demonstrantów Janukowycz: „Jak nie podpiszecie porozumienia, to będziecie martwi!”.

Jego sztandarowy projekt pt. Partnerstwo Wschodnie zawałił się w konfrontacji z agresywną polityką Władimira Putina. Sam od kilku lat przestał się nim chwalić jako swoim wielkim osiągnięciem. A trzeba przy tym pamiętać, że jednocześnie Sikorski był jednym z głównych autorów resetu stosunków z Rosją, co też źle świadczy o jego orientacji w tematyce wschodniej.

Przedstawiając własne osiągnięcia, opowiada dzisiaj gładkie frazesy typu: „W ostatnim roku odbudowaliśmy polityczną pozycję Polski jako pierwszoligowego gracza, jednego z pięciu najważniejszych państw unijnych. W niektórych sprawach jesteśmy krajem, od którego inni spodziewają się rozwiązań” (wywiad dla „Polityki” z kwietnia br.). Czy ktoś zna te rozwiązania? Bo krótko po tym wywiadzie

Donald Tusk – rzekomo pierwszoligowy gracz – nie został wpuszczony do pierwszego wagonu w czasie podróży do Kijowa.

Analiza realnych dokonań pokazuje, że Sikorski to bardziej namiętny, stronniczy komentator i polemista niż poważny działacz państwowy z zadatkami na męża stanu. Pasuje do niego znane powiedzonko, że „dla dobrego dowcipu sprzedaje własną matkę”. Do końca życia będzie się za nim włócił nieodpowiedzialny wpis: „Thank you USA”. Albo niedyskrecja o tym, że Putin proponował Tuskowi udział w rozbiórce Ukrainy.

Problemem pozostaje też to, jak jest odbierany we własnej partii. Dwa razy przegrał prawyborcy. Był jedynie kandydatem na kandydata, bo przecież jego postać była rozpatrywana także w 2020 r., kiedy Platforma dokonała podmiiany Małgorzaty Kidawy-Błońskiej. I wtedy nie został wystawiony w wyborach prezydenckich. A wszystko dlatego, że jest odbierany przez własnych kolegów jako osoba arogancka i gwiazdor grający jedynie na siebie.

Nie wiemy też, jakie ma poglądy w kluczowych kwestiach. To, co mówi, stanowi echo oficjalnej linii partii. Jest szefem MSZ, ale gdzie był w czasie polskiej prezydencji? Gdzie był w czasie negocjowania umowy handlowej z Mercosur? W tej strategicznej kwestii jego publiczna działalność ograniczyła się do wygłaszania oficjalnego komunikatu, że Polska będzie głosowała przeciw temu traktatowi handlowemu. Ale jakiejś szczególnej emocji nie dało się wyczuć. Nie wyszedł poza wygłoszoną formułę. Mimo skłonności do samochwalstwa nie pochwalił się spotkaniami dotyczącymi tego problemu. Jesteśmy skazani na domysły, np. czy Sikorski podpisałby się pod wpisem swojego przyjaciela Romana Giertycha: „Umowa z Mercosur może być niekorzystna dla polskiego rolnictwa, ale strategicznie związanie się UE z Ameryką Południową to nasza jedyna szansa na utrzymanie mocarstwowej roli Europy. Z krajami Ameryki Południowej łączy nas kultura, języki europejskie, religia. Innej alternatywy nie ma”.

Niestety jest dość prawdopodobne, że to odbicie poglądów samego Sikorskiego. Ich relacja jest bliska i osobista. Dużo bliższa niż Giertycha z Tuskiem. A to pokazuje,

że Sikorski byłby jeszcze bardziej zainfekowany dziwacznymi pomysłami mecenasa. Jeszcze bardziej niż Tusk byłby zakładnikiem środowisk fanatyków w typie Silnych Razem. Dla obecnego premiera to wyjątkowo ważna grupa wyborców, ale niejedynym oparciem. Tusk z oczywistych powodów ma silną pozycję w strukturach partyjnych PO. Mimo wszelkich zaszłości jest bardziej żyty z szeregiem działaczy Platformy niż Sikorski. Owszem, partia akceptuje ministra jako „ostatnią nadzieję”, ale szybciej odrzuci w przypadku pierwszych niepowodzeń. Kredyt zaufania, który dostanie, będzie wyjątkowo skąpy.

Sikorski jest anachroniczny. Skończył 60 lat, a próbuje udawać kogoś bardzo młodego. Jego wypracowana poza działała w erze telewizji. W czasach mediów społecznościowych staje się komiczny

Wygląda na to, że jedyną ideą rządów Sikorskiego byłaby personalna namiętność, czyli obsesyjna rywalizacja z prezydentem plus walka z PiS. Przy czym z powodu cech charakteru Sikorskiego i pogłębiającej się słabości tej ekipy bardziej teatralno-werbalna niż rzeczywista. Prawu i Sprawiedliwości Sikorski raczej by nie zaszkodził, ale dla kraju byłby to stracony czas, bo widać, że żmudna praca rządowo-administracyjna nie jest czymś, co lubi i umie robić. Wymiana Tuska na Sikorskiego wyglądałaby jak przejście ministerstwa sprawiedliwości po Adamie Bodnarze przez Waldemara Żurka. Czyli wiele szumu, wręcz jazgotu, i zero wymiernych efektów.

NADAKTYWNY 60-LATEK

Jest też wymiar wizerunkowo-propagandowy. Czy tu Sikorski da sobie radę

lepiej niż Tusk? Teoretycznie powinno być łatwo, bo Tusk lat 2023–2025 pod względem PR jest całkowitym zaprzeczeniem Tuska z lat 2007–2014. Odpowiedź jednak brzmi, że raczej nie byłby lepszy.

Najpierw pewien paradoks – obecny premier nie jest mistrzem autopromocji, a także nie jest zbyt aktywny. Często jest nieobecny, a wtedy nie stwarza okazji do kontrowersji czy kompromitacji.

Nie jest to jednak przypadek Sikorskiego. Ten jest nadaktywny – w mediach tradycyjnych i społecznościowych. A tych drugich, mimo swojego wzmocnienia, absolutnie nie czuje. Najślynniejszym teraz przykładem internetowej autokompromitacji była groteskowa seria selfies zrobionych na waszyngtońskich trawnikach. Według grupy badawczej „Polityka w sieci” sesja Sikorskiego miała kilkadziesiąt milionów odsłon, ale wygenerowała 63 proc. negatywnych komentarzy.

Wy tłumaczenie jest proste: Sikorski jest anachroniczny. Skończył 60 lat, a próbuje udawać kogoś bardzo młodego. Jego wypracowana poza działała w erze telewizji. W czasach mediów społecznościowych staje się komiczny. Nie pomaga mu też biologia. W studiu telewizyjnym światło i make-up skrywają jego nieładnie napuchniętą twarz. Gdy sam robi sobie fotkę z ręki, wychodzą wszystkie defekty urody.

Co ważniejsze, minął jego czar światowca, absolwenta Oksfordu, bywalca światowych stolic. Teraz okazało się, że w najważniejszej z nich, strategicznej dla naszego bezpieczeństwa, zamknięte przed nim są najważniejsze drzwi. A oksfordzki sznyt też już nie robi wrażenia we współczesnej Polsce. W oczach młodszego pokolenia to tak, jakby Sikorski chwalił się pobytem na Erasmusie.

Długojechał na polskich kompleksach wobec Zachodu. Do tej pory nie zauważył, że to już nie działa. Albo zauważył, lecz nie potrafi zmienić swojego postępowania, bo nie ma nic innego do zaoferowania wyborcom w dzisiejszej Polsce. W każdym razie nic nie wiadomo o jego szczególnych kwalifikacjach do pełnienia funkcji szefa rządu.

Ofiary nowej transformacji

Coraz mniej osób chodzi dziś do restauracji i na zakupy w galerii handlowej. Mniej też rozmawiamy przez telefon i rzadziej spotykamy się ze znajomymi. Ostatnie pięć lat zmieniło codzienne nawyki Polaków. Nadchodzi nowa rzeczywistość



KONRAD KOŁODZIEJSKI

W sierpniu notowania giełdowe firmy Amrest – operatora sieci restauracji Pizza Hut, KFC i kawiarni Starbucks – spadły do poziomu z czasów pandemii. Firma od pewnego czasu przeżywa perturbacje finansowe. Zapewne jej akcio-

nariusze mają powody do niepokoju, ale i dla nas ta informacja może być ciekawa.

Otóż Amrest to w pewnym sensie symbol mijającej epoki. Spółka założona w 1993 r. we Wrocławiu była wówczas forpocztą nowej rzeczywistości. Grupa amerykańskich menedżerów ubiła świetny interes, wprowadzając na dziewiczy polski rynek marki kojarzące się z zachodnim luksusem. Dziś wydaje się nam to śmieszne (bo jakież to luksus?), ale wtedy – kilka lat po upadku PRL – większość Polaków z nabożnością podchodziła do wszystkiego, co zagraniczne. Bo przecież zagraniczne zawsze było lepsze od polskiego i dawało poczucie odzyskanej przynależności do tak wyteśnionego Zachodu.

Teraz Polacy są zupełnie inni. Na pokoleniu urodzonym i wychowanym we względnym dobrobycie i spokoju ostatnich 20 lat przed pandemią zagraniczny blichtr nie robi już żadnego wrażenia. Młodzi nie mają tak wielkich kompleksów na tym tle jak ich rodzice. Ludzie, którzy wkraczali w dorosłe życie w latach 90., są dla nowego pokolenia starymi dziadami, a ich ówczesne fascynacje, dogmaty i nawyki często budzą dziś politowanie. To zapowiada duże zmiany w Polsce – już odczuwamy je w polityce.



Jeśli więc spojrzymy na rzeczywistość z tego punktu widzenia, to wspomniany przed chwilą kryzys amerykańskiej sieci nabiera zupełnie innego wymiaru.

POWRÓT DO CZTERECH ŚCIAN

Pizza Hut była restauracją, do której zapraszało się kiedyś dziewczyny na randkę. Bez wielkiej przesady można powiedzieć, że dzięki amerykańskiej sieciówce pizza szybko stała się polskim daniem narodowym, bo według niektórych statystyk jedliśmy jej więcej niż Włosi. To właśnie wtedy – w ślad za Pizza Hut – zaczęły do nas ścigać inne sieci, pojawiło się też mnóstwo lokalnych pizzerii oferujących nowe, coraz bardziej wymyślne odmiany włoskiego placka. Niemal każdy Polak, który jest dziś w średnim wieku, przeżył okres fascynacji pizzą. Dla niektórych, zwłaszcza tych po czterdziestce, nadal jest to pierwszy wybór jedzenia na mieście. Choć już może niekoniecznie w Pizza Hut.

Potem był Starbucks. Sieć pojawiła się w Polsce w 2009 r., a więc nie wystarczyło już – tak jak w przypadku Pizza Hut – reklamować jej jako „lepszej, bo amerykańskiej”. Wymyślono inny chwyt. Starbucks był przedstawiany jako prestiżowa kawiarnia dla zamożnych hipsterów, profesjonalistów i przedstawicieli wolnych zawodów. Doskonale zagrało to na kompleksach „młodych, wykształconych z wielkich miast”. Sam pamiętam pewną panią redaktor – wtedy już koło pięćdziesiątki – która ekscytowała się na samą myśl o tym, że już wkrótce będzie krążyć po Warszawie z kubkiem ze Starbucksu w ręku.

Dziś restauracje Pizza Hut są słabo widoczne, a i tłumów w nich nie widać. Zresztą inne pizzerie też są mniej oblegane. KFC – po niedawnym skandalu w Danii, gdzie serwowano przeterminowane mięso – przeżywa poważne kłopoty wizerunkowe i z restauracji korzystają już głównie zatwardziali miłośnicy marki. Najlepiej widzieć się kawiarniom Starbucks, ale tylko dlatego, że ich podstawowa klientela to rozplotkowane nastolatki.

Dziś mało kto chodzi do sieciowych restauracji, aby spędzać w nich czas. Je-

śli ktoś chce pizzę, zamówi ją przez kuriery i zje w domu. Poza tym jest drogo. Po co kupować hamburgera w sieciówce, skoro za podobną cenę można znaleźć „kraftowego” w lokalnej knajpie? Mowa tu zresztą tylko o dużych metropoliach, gdzie istnieje jeszcze wystarczająca liczba klientów, którzy mogą sobie pozwolić na wydatek rzędu kilkudziesięciu złotych za kolorową bułkę z kotлетem. Większości Polaków nie stać na takie fanaberie.

Dlatego wielką karierę zrobił u nas kebab. Też niezbyt zdrowy, ale za to tańszy, bo sprzedawany w obskurnej budzie przez imigrantów. Jest jeszcze „Żabka”, która natychmiast zwiertzyła okazję i serwuje relatywnie tanie kanapki oraz

Jedną z przyczyn społecznej depresji było zamknięcie wszystkich w domach podczas pandemii. Choć podobno jesteśmy już zdrowi, ten stan odcięcia okazał się do pewnego stopnia trwały i być może nieodwracalny

gotowe dania.

Problemy sieciówek pokazują, że kończy się epoka zagranicznego blichtru, zachodnich marek oraz pizzy i burgera na każdą kieszeń. A co za tym idzie, kończy się też luksus jedzenia na mieście. W nowych czasach pozostaną tylko drogie restauracje dla wielkomiejskiej elity, posilki na telefon oraz tandetna gastronomia dla zubożalego popołstwa. W pewnym sensie zatoczyliśmy koło od lat 90. Wprawdzie nie do PRL, ale wiara w lepsze jutro ewidentnie się skończyła.

Paradoksalnie kiedyś ludzie lepiej sobie radzili z taką sytuacją. Po prostu gotowano posilki w domu. Jednak dzisiaj, pomijając nieustanny brak czasu, większość Polaków zatraciła zdolności kulinarne, na co zresztą duży wpływ miała propaganda „postępowych” mediów, deprecjonujących kulturę domowych

obiadów jako formę zniewolenia kobiet zmuszanych do stania „przy garach”.

W rezultacie ogromną karierę zrobił u nas catering – pozbawione smaku posiłki dostarczane prosto do domu. Polska obok Czech jest światowym potentatem w tej branży. Jej wartość cały czas rośnie i w tej chwili jest szacowana na 3,5 mld zł, co stanowi już ponad 10 proc. polskiego rynku usług gastronomicznych.

ZMIERZCH GALERII

Nie będzie wielkim odkryciem twierdzenie, że pandemia była ogromnym ciosem dla gospodarki i naszego codziennego życia. Jej skutki zostały zwielokrotnione przez wojnę na Ukrainie oraz obłąkaną politykę Zielonego Ładu. Ten proces trwa i dopiero po wielu latach będziemy mogli w pełni dostrzec skalę katastrofy, z jaką przyszło nam się zmierzyć.

Brak stabilizacji, brak pieniędzy, brak bezpieczeństwa, a w rezultacie – brak przyszłości i lęk przed tym, co się może zdarzyć. W ostatnich latach społeczeństwo zostało zmaltretowane psychicznie i jeszcze długo będzie dochodzić do siebie. Jedną z przyczyn tej społecznej depresji było zamknięcie wszystkich w domach podczas pandemii. Niestety ten stan okazał się do pewnego stopnia trwały i być może nieodwracalny.

Przed chwilą była mowa o kryzysie sieciówek, bo lepiej jest zamówić jedzenie do domu zamiast siedzieć z innymi przy stoliku w knajpie. Innym przykładem są galerie handlowe, będące – podobnie jak sieciówki – symbolem mijającej epoki. Wielkie nowoczesne sklepy, mnóstwo zagranicznych marek. Ćwierć wieku temu tętniły życiem, wszyscy się nimi zachwycali, choć równocześnie masowo upadały małe sklepy. Jednak dziś ten sam los spotyka galerie handlowe, zwłaszcza w mniejszych miastach, a ostatnio nawet i w tych największych – niedawno zburzono np. duże centrum handlowe Malta w Poznaniu, a podobny los czeka warszawskiego Klifa.

Oczywiście można szukać ekonomicznych przyczyn upadku centrów handlowych, widzieć w tym szerszy ogólnoswiatowy trend. Trudno jednak

nie dostrzec, że ma to bezpośredni związek ze społecznymi i psychologicznymi skutkami pandemii. Gdy wybuchła zaraza, galerie zamknięto, a gdy w końcu zostały otwarte, wielu klientów już tam nie powróciło. Okazało się bowiem, że równie dobrze – i zwykle taniej – można kupować przez internet, nie ruszając się z domu. Dziś większość zakupów ubrań, zabawek, butów robi się online. Sklepy stacjonarne służą co najwyżej do tego, aby dopasować rozmiar i przymierzyć. Im klient jest młodszy, tym częściej wybiera taką formę zakupów. Co ciekawe, właściciele sklepów często sami preferują sprzedaż przez internet.

Oczywiście nie wszystko da się kupić w ten sposób. Żywność najczęściej jest nabywana stacjonarnie. Ale i tutaj zaszły zmiany – wielkie marki handlowe wycofują się z rynku (jak np. Tesco czy zapomniane już u nas Géant i Real), oddając pola mniejszym i tańszym dyskontom. A te najtańsze – jak np. polskie Dino – rozwijają się w oszałamiającym tempie. Ciekawy chwyt zastosowały piekarnie,

które – aby zatrzymać klienta u siebie – często przekształcają się w coś na kształt małych knajpek. Mają one również tę zaletę, że są blisko domu. Dalekie wyprawy na zakupy mało kogo dziś pociągają.

WIRTUALNY ŚWIAT

Można powiedzieć, że internet zabija stacjonarny handel. Niemal wszystko można przecież zamówić do domu. To ogólnoswiatowa tendencja. W Ameryce żeby kupić gwoździe czy paczkę baterii, trzeba zamawiać kuriera z Amazona. Bo sklepów stacjonarnych z takim asortymentem praktycznie już nie ma.

W Polsce też znikną. Tak jak znikły kioski Ruchu, gdzie można było kupić prasę, papierosy czy nawet przysłowiowe mydło i powidło. Młodzi nie potrzebowali tych towarów, a starych nikt nie pytał o zdanie – to przecież znikająca klientela. Wraz z nią znika też popyt na prasę drukowaną i maleje znaczenie telewizji. Wszystko jest przecież w internecie. Są portale internetowe, media

społecznościowe, są również platformy, na których można obejrzeć niemal każdy film, także dokumentalny. Dziś mało kto kupuje również muzykę na płytach czy słucha jej w radiu. Od słuchania muzyki są przecież muzyczne serwisy streamingowe. Dziś nie da się – tak jak kiedyś – wypromować muzyka czy aktora poza internetem. Kino, a zwłaszcza telewizja i radio, nie mają już tej mocy co kilkanaście lat temu, gdy kablówka lub talerz satelitarny z dostępem do setki obcojęzycznych kanałów (i tak zwykle nieoglądanych) uchodziły za przykład niebywalej wręcz światowości.

Internet zastąpił sale konferencyjne. Spotkania służbowe, zebrania, lekcje – wszystko to można przeprowadzić zdalnie, bez ruszania się z domu. Coś, co dla starszego pokolenia ciągle może się wydawać nienaturalne, dla młodszych jest oczywistością. Skutek uboczny to jednak postępująca desocjalizacja społeczeństwa – nie tyle w znaczeniu, że ludzie, zwłaszcza młodzi, unikają kontaktów, ile że ich kontakty nabierają

REKLAMA

RP
Patronat Honorowy
Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej
Karola Nawrockiego

17

FESTIWAL FILMOWY NNW



NNW
GDYNIA
2-5.10.2025
WSTĘP WOLNY

ORGANIZATORZY

SCENA
KULTURY

GDYNIA
MIASTO FILMU

unesco

DOFINANSOWANO ZE ŚRODKÓW MINISTRA KULTURY I DZIEDZICTWA NARODOWEGO
RECHODZĄSTÓW Z FUNDUSZU PROMOCJI KULTURY

Ministerstwo Kultury
i Dziedzictwa Narodowego

Filmoteka Narodowa
Instytut Audiowizualny

WSPÓŁFINANSOWANE

POLSKI
INSTYTUT
SZTUKI
FILMOWEJ

PARTNERZY INSTYTUCJONALNI

INSTYTUT
PAMIĘCI
NARODOWEJ

Muzeum
Pawła
Włodarskiego

PARTNERZY

GRUPA
CEDROB

FUNDUSZ
KULTURY
KRAJOWEJ



wirtualnego charakteru, co niekiedy przekłada się na problemy w realnym życiu.

Ciekawe dane podał rok temu Urząd Komunikacji Elektronicznej (UKE). Okazuje się, że z roku na rok maleje znaczenie połączeń telefonicznych. W 2023 r. Polacy rozmawiali przez telefon przez 111,3 mld minut. Dla porównania – rok wcześniej było to 116 mld minut, a w 2021 r. – 122,2 mld minut. Spada także liczba wysyłanych wiadomości SMS, rośnie za to – i to znacząco – korzystanie z internetu. Oznacza to coraz większą popularność komunikatorów internetowych.

Dla starszego pokolenia, które pamięta jeszcze czasy, gdy telefon stacjonarny był dobrem luksusowym, a komórka – nieodzownym rekwizytem człowieka sukcesu, te informacje mogą się wydawać nieco szokujące. Ale to prawda – młode pokolenie nie rozmawia już przez telefon, tak samo jak nie ogląda telewizji, nie czyta gazet i nie słucha radia. Nic więc dziwnego, że sieci komórkowe, czerpiące dotąd ogromne zyski z połączeń telefonicznych, przedstawiają się na transfer danych. Idzie nowe.

KRAJOBRAZ PO BITWIE

Największe zyski na rewolucji internetowej zbiły chyba firmy kurierskie. Z najnowszego raportu UKE na temat usług pocztowych wynika, że w 2024 r. Polacy wysłali 1,21 mld przesyłek kurierskich,

Galerie handlowe są symbolem mijającej epoki. Wielkie nowoczesne sklepy ćwierć wieku temu tętniły życiem i wszyscy się nimi zachwycali. Dziś zakupy robi się przez internet

o 162 mln więcej niż rok wcześniej. Oznacza to, że statystyczny Polak korzysta z 57 usług pocztowych rocznie. Wynika to – jak zaznaczono w raporcie – ze stale rosnącej popularności zakupów online. Dodatkowym atutem są automaty pocztowe, w których można odbierać i nadawać przesyłki o dowolnej porze oraz możliwość przekierowania paczek do pobliskich sklepów z wszechobecną „Żabką” na czele. Z raportu wynika, że aż 73 proc. wartości rynku pocztowego w Polsce pochodzi z usług kurierskich. Łączne przychody firm z tej branży (InPost, DHL, DPD, UPS i GLS) wyniosły w 2024 r. 13,7 mld zł – to wzrost o 16 proc. względem poprzedniego roku. Nie ma tu widocznego udziału Poczty Polskiej, która wskutek różnych szkodliwych działań została praktycznie wyeliminowana z rynku i znajduje się dziś na skraju upadku.

Przy tej okazji warto zwrócić uwagę na model działania wielu firm kurier-

skich, które zatrudniają osoby po najniższych kosztach – często są to imigranci lub osoby prowadzące jednoosobową działalność gospodarczą. W podobny sposób funkcjonują również firmy dowożące jedzenie lub prowadzące usługi przewozowe. Niemal całkiem wyrugowały one już z ulic klasyczne taksówki.

Ogólnie – pomijając już kwestie firm kurierskich – istotą obecnych zmian jest dehumanizacja codziennego życia. Najlepiej by było w ogóle ograniczyć kontakty między ludźmi. Nawet rozmowy telefoniczne powierzono botom.

Oczywiście wynika to z brutalnej chęci redukcji kosztów, ale nie poszłoby to tak łatwo, gdyby nie rozkalibrowanie społeczeństwa, do jakiego doszło w ciągu ostatnich kilku lat. Jakość codziennego życia, zwłaszcza dla średniego i starszego pokolenia, przyzwyczajonego do innych standardów, bardzo na tym ucierpiała.

Może to oznaczać tylko jedno: że pokolenie budowniczych III RP – ludzi koło pięćdziesiątki i starszych – powoli schodzi na dalszy plan. A wraz z nim znika dotychczasowy świat z jego codziennymi rytuałami i przyzwyczajeniami. Co ciekawe, konsumpcja – tak rozbuchana w latach minionej prosperity – nie zniknęła. Ale nie jest już tak powszechna jak kiedyś i przybrała inną formę.

Czy nowa epoka będzie lepsza? Tego jeszcze nie wiemy, ale na pewno wiele się jeszcze zmieni. Już się zmienia. 

Ta rola to dar od Boga

To spełnienie moich marzeń, a jeszcze do tego zagrałem mojego ulubionego świętego. W moim domu wisi portret o. Kolbego, mam także relikwie pierwszego stopnia – włosy z jego brody

Z aktorem **Marcinem Kwaśnym** rozmawia Dorota Łosiewicz

Zagrałeś św. o. Maksymiliana Kolbego w filmie „Triumf serca”. Film przenosi widzów do celi śmierci w obozie Auschwitz. Mam wrażenie, że to twoja rola życia.

Marcin Kwaśny: To prawda. To największy prezent zawodowy, jaki dostałem od Pana Boga. Nawet nie marzyłem o czymś tak wspaniałym. Dwa lat temu moja agentka powiedziała mi, że nie jestem zapraszany na castingi z tego powodu, że głośno mówię o swojej wierze. A przecież w życiu jest tak, że jak Pan Bóg zamyka drzwi, to otwiera okno. Chwilę później okazało się, że wygrałem casting do głównej roli w amerykańskim filmie. To spełnienie moich marzeń, a do tego zagrałem mojego ulubionego świętego. Zresztą mam przy sobie jego relikwie pierwszego stopnia – włosy z brody.

Czyli z jednej strony wyzwanie zawodowe, z drugiej – przeżycie duchowe.

Tak. Na przygotowania się do roli w filmie od chwili, gdy dowiedziałem się, że zagram, do momentu rozpoczęcia zdjęć był raptem miesiąc. W tym czasie musiałem jak najwięcej schudnąć. Udało mi się zrzucić 10 kg.

Jak?

Stosowałem post przerywany, czyli kończyłem jedzenie o 18.00 jednego dnia, a kolejnego zaczynałem dopiero o 12.00. Odstawiłem słodycze, biegałem. Ale to było nic w porównaniu do przygotowania duchowego. Musiałem zrozumieć, jak myślał nasz święty, jak wyglądało jego obozowe życie. Film to przecież perspektywa umierania, dwóch tygodni śmierci w bunkrze

głodowym. W pracy bardzo pomógł reżyser, który przed każdymi zdjęciami zbierał ekipę, ludzi wierzących i niewierzących, braliśmy się za ręce i wspólnie modliliśmy. To bardzo pomogło w uzyskaniu skupienia, a także tworzyło wyjątkową atmosferę, bo wszyscy mieliśmy świadomość, o człowieku jakiego kalibru opowiadamy. Nie zdarzyło mi się to nigdy, przy żadnej innej produkcji.

Modlitwa była także podczas premiery tego filmu. Sam reżyser Anthony D'Ambrosio mówił, że do nakręcenia filmu o o. Kolbem skłoniła go osobista historia związana z mężczyzną. „Triumf serca” zrodził się z jego osobistego doświadczenia choroby, cierpienia i potrzeby odnalezienia nadziei.

Antonio był zafascynowany tym, że o. Kolbe w obliczu skrajnego cierpienia nie stracił nadziei – przeciwnie, dawał ją innym. Był przekonany, że dzisiejszy świat potrzebuje świadectwa takiej miłości, która nie jest tylko słowem, lecz także czynem – oddaniem życia za drugiego człowieka.



Polski święty pomógł Anthony'emu D'Ambrosio odnaleźć drogę. Ty odnalazłeś ją wcześniej. Ale czego dowiedziałeś się o o. Kolbem podczas pracy nad filmem?

Mieliśmy namiastkę tego, co przeżyli więźniowie w celi śmierci. Aktorzy na planie jedli małe porcje, aby wciąż byli głodni. Na planie uświadomiłem sobie, jak pokorny musiał to być człowiek, jak pełen empatii. On zmienił więźniom perspektywę umierania. Do tej pory z różnych opisów, archiwaliów, dowiadaliśmy się, że więźniowie, umierając w bunkrze głodowym, złorzeczyli, krzyczeli. I tak było na początku, gdy w to miejsce trafił z nimi o. Maksymilian. W miarę zbliżania się śmierci z bunkra dało się słyszeć śpiewy maryjne, modlitwę. On poszedł z nimi do celi po to, by pomóc im przejść na drugą stronę. Pomóc im pogodzić się ze światem i ze sobą. Styczność ze św. Maksymilianem i jego życiorysem miałem już wcześniej. Kiedy reżyserowałem spektakl na podstawie sztuki Kazimierza Brauna „Mój syn Maksymilian”, udałem się do Niepokalanowa. Tam zrobiłem pełną kwerendę. S. Anna Maria Mix, która pracuje w archiwum, jest pół Włoszką, pół Amerykanką, udostępniła mi całą charakterystykę o. Kolbego. Tak dowiedziałem się, że mierzył 163 cm wzrostu, był cholerykiem, robił się czerwony na twarzy, kiedy ktoś go zdenerwował, a zanim z nim porozmawiał, odmawiał trzy zdrowaśki. Gdy się dowiedziałem, że był cholerykiem, pomyślałem, że jest coś na rzeczy w tym, że, jak mówi Pismo, tylko gwałtownicy zdobywają

Niebo (Mt 11,12). Postać, którą widzowie zobaczą w kinach, nie jest łatwym, potulnym barankiem. To człowiek z krwi i kości, który potrafił się przyznać do błędów, żywo reaguje na współwięźniów. Dowiedziałem się też, że kiedy o. Kolbe kogoś słuchał, przekrzykiwał głowę w prawą stronę, sporo się uśmiechał, miał duże poczucie humoru. To były rzeczy, z których nie zdawałem sobie sprawy, a które bardzo mi pomogły w reżyserii spektaklu. Wykorzystałem je także w przygotowaniu się do roli św. Maksymiliana.

Mieliśmy namiastkę tego, co przeżyli więźniowie w celi śmierci. Aktorzy na planie jedli małe porcje, aby wciąż byli głodni

A czego się dowiedziałeś o sobie?

Że nie lubię być głodny. A tak na poważnie – zrozumiałem, że daleko mi jeszcze do tej rangi pokory, którą miał o. Kolbe. Zrozumiałem, jak wiele jeszcze muszę się nauczyć i jak dużo nad sobą pracować.

Dlaczego to ty zostałeś wybrany do roli?

Myślę, że reżysera przekonaly dwie rzeczy. Po pierwsze, dobrze wypadłem na castingu w języku angielskim. Po drugie, jeszcze przed castingiem rozmawiałem z reżyserem o postaci św. Maksymiliana. Nasza rozmowa była spotkaniem dwóch pasjonatów, którzy wymieniali się ciekawymi faktami z jego życia, uzupełniając swoją wiedzę. W moim domu wisi portret o. Kolbego i, jak wspominałem, mam

także relikwie pierwszego stopnia – włosy z jego brody. Pewnie ta moja wcześniejsza fascynacja postacią męczennika – oprócz umiejętności aktorskich – nie była bez znaczenia.

Anthony D'Ambrosio postanowił opowiedzieć światu historię o. Kolbego tam, gdzie dla wielu osób ona się kończy – w celi śmierci. Dlaczego?

Pewnie dlatego, że nikt jej do tej pory nie opowiedział. Chwała mu za to, że się podjął tego wyzwania. A nie było ono łatwe. W jednym z opisów Brunona Borgowca, więźnia, Polaka, w Auschwitz nr 1192, który był zatrudniony w administracji obozu, a w tym czasie został też przydzielony do opróżniania wiadra i wynoszenia zmarłych z celi numer 18, jest relacja, że po 14 dniach o. Maksymilian wciąż żył i był uśmiechnięty, promieniał jakimś niezwykle szczęściem, i to było niezwyczajne. W końcu Niemcy zdecydowali się zabić go zastrzykiem z fenolu. Od o. Piotra Cubery, byłego gwardiana Harmęży, dowiedziałem się o czymś, co jest czystą metafizyką. Proszę sobie wyobrazić, że po spaleniu zwłok o. Kolbego Niemcy rozsykali prochy w okolicy Harmęży, tam, gdzie znajduje się obecnie klasztor Franciszkanów.

A herbem miejscowości od wielu lat są dwie korony: biała i czerwona. Przypominę tylko, że św. Maksymilian Maria Kolbe wybrał dwie korony: białą, symbolizującą czystość, oraz czerwoną, oznaczającą męczeństwo. Wybór ten nastąpił w wizji, w której Maryja zaproponowała mu je, a on zgodził się przyjąć obie, co odzwierciedla jego całkowite oddanie Bogu i gotowość na cierpienie, a także jego późniejszą kanonizację jako męczennika.

Co było najtrudniejsze w pracy na planie?

Wiedziałem, że ten film będzie wymagał maksimum skupienia i muszę grać sercem oraz całym sobą. Paradoksalnie najtrudniejsze było coś, czego się nie spodziewałem. Jest scena, gdy o. Maksymilian, mając

halucynacje z powodu głodu, widzi węży, który owija się wokół jego szyi i głowy. Byłem przekonany, że Amerykanie zrobią to w postprodukcji i że nie będę musiał mieć styczności z gadem, tymczasem okazało się, że wielki pyton królewski wpelzł mi na szyję. Nigdy nie modliłem się tak gorliwie, jak wtedy. Zapytałem właściciela, czy istnieje ryzyko, że on mnie ukąsi czy udusi. I wtedy usłyszałem: „Nie powinien”. Dowiedziałem się, że z powodu chłodu pyton nie powinien przejawiać większej aktywności, ale przejawiał, bo cały czas syczał mi nad uchem. I to było wyzwanie.

Czy gra w języku angielskim też była wyzwaniem?

Była. Niby człowiek się uczy angielskiego, ale bez praktyki umiejętność zanika. Na szczęście nauka nie poszła w las, a reżyser bardzo dużą wagę przywiązywał do tego, żeby każde słowo, które zostało zapisane w scenariuszu, zostało wypowiedziane, żeby nic nie zmieniać. Tymczasem jestem przyzwyczajony do tego, że gdy tekst, który mam wypowiedzieć, szeleści papierem, to zmieniam go na bardziej naturalny, potoczny. Tu nie mogłem zmienić ani słowa. Dostałem takie zadanie, żeby pocieszyć Alberta

– świetna rola Rowana Polonskiego, brytyjskiego aktora polskiego pochodzenia. Reżyser powiedział: „Mów do niego szeptem, z uśmiechem na ustach i łzami w oczach”. Wszystko wykonałem, ale skończyła się scena, a reżyser mówi: „Jeszcze raz”. Pytam więc: „Dlaczego?”. A on, że powiedziałem: „To stands”, a nie „to the stands”. Trzeba było więc zachować ogromną dyscyplinę.

Czy ten film może nawracać?

Ten film ma olbrzymią siłę rażenia, bez względu na to, czy ktoś jest wierzący, czy nie. Dotyka elementarnych ludzkich spraw: godności, walki dobra ze złem, solidarności, tego kim jesteśmy, tego, że w obliczu śmierci wszyscy pozostajemy równi. Mimo że akcja filmu rozgrywa się w Auschwitz, widz nie wyjdzie z kina zdolowany, ale z nadzieją w sercu. Bo ten film daje nadzieję. O Maksymilian dał ją wielu ludziom w Auschwitz. Przywrócił im godność, pokazał, że Bóg istnieje w akcie oddania życia za drugiego człowieka. Co ciekawe, po śmierci o. Maksymiliana Niemcy znieśli odpowiedzialność współwięźniów za ucieczkę i przestali karać śmiercią głodową. Może przestraszyli się, że te śpiewy i modlitwy wpłynęły na morale

innych więźniów. Dlatego możliwa była ucieczka rtm. Pileckiego, bo on już wiedział, że uciekając, nie narazi współwięźniów na śmierć głodową. I jeszcze ciekawa rzecz – Niemcy unikali wzroku o. Maksymiliana, taka była w nim siła. Za patrzyenie prosto w oczy dostał łopata w twarz. On też uczył innych więźniów, żeby nie odpowiadać nienawiścią na nienawiść, że tylko miłość jest twórcza, że trzeba się modlić za wrogów, bo oni nie wiedzą, co czynią, ponieważ są pozbawieni Boga. Wszyscy, którzy mieli styczność z Maksymilianem Kolbem w Auschwitz, opisują, że po spotkaniu coś się w nich zmieniło, coś drgnęło, że miał na nich niesamowity wpływ. Wszyscy się dziwili, jak w takim miejscu można zachować taką pogodę ducha, a to było możliwe, bo o. Kolbe zawierał, był człowiekiem ogromnej pokory i wiary.

12 września 2025 r. na ekrany polskich kin wszedł film „Triumf serca” – wyjątkowy dramat biograficzny w reżyserii Anthony’ego D’Ambrosio. Produkcja opowiada historię św. Maksymiliana Marii Kolbego – franciszkanina, który w obozie Auschwitz dobrowolnie oddał życie za współwięźnia. Film rozpoczyna się tam, gdzie kończy się większość opowieści o o. Kolbem – w celi śmierci.



Kadr z filmu „Triumf serca”

Dobijanie polskiego rolnictwa

Wejście w życie umowy UE–Mercosur oznacza de facto zagładę rodzinnych gospodarstw rolnych w Polsce. To się nie zdarzy z dnia na dzień, nie będzie spektakularnego upadku, efektownej katastrofy, tylko ciche wymieranie



DARIUSZ MATUSZAK

Wszystko wskazuje na to, że po trwającej ponad ćwierć wieku ciąży w końcu się urodzi ten potworek. Mowa oczywiście o umowie Unii Europejskiej z Mercosur – Mercado Común del Sur (Wspólny Rynek Południa) – związkiem gospodarczym państw Ameryki Południowej. Obejmuje on Argentynę, Brazylię, Paragwaj i Urugwaj, ma 270 mln mieszkańców i tworzy 67 proc. PKB kontynentu. Kilka krajów, jak Boliwia, Chile, Ekwador, Gujana, Kolumbia, Peru i Surinam, ma status obserwatorów bez prawa głosu.

Negocjacje w sprawie układu rozpoczęły się jeszcze w 1999 r., a więc pięć lat przed przystąpieniem Polski do Unii Europejskiej. Już w 2019 r. ówczesny szef Komisji Europejskiej Jean-Claude Juncker (brukselska ksywka „Druncker”) na szczycie z Japonią ogłosił wielki sukces.

Przewodniczący chciał olśnić Japończyków unijnym blaskiem i oznajmił w Osace: „Stoimy przed państwem jako dumni współwłaściciele umowy handlowej pomiędzy Unią Europejską a Mercosurem. Lubię używać słów z ostrożnością, ale to naprawdę historyczny moment”. Chępnął się tylko, bo nie miał zgody wielu europejskich państw, w tym Polski.

Rozmowy trwały kolejne kilka lat, aż w grudniu 2024 r. umowę w imieniu Europy podpisała w Montevideo przewodnicząca KE Ursula von der Leyen. Po drugiej stronie podpisy składali: prezydent Brazylii Lula da Silva, Argentyny – Javier Milei, Paragwaju – Santiago Peña i Urugwaju – Lacalle Pou. Wspominamy o konkretnych sygnatariuszach, bo każdy z tych przywódców reprezentował własny naród, ma pełną legitymację wyborczą i mógł w każdej chwili odmówić zgody na układ z UE. A von der Leyen jako nominalna władczyni Unii działa w interesie struktury ponadnarodowej, w której poszczególne nacje – poza kilkoma największymi – nie mają nic do powiedzenia. Urugwaj z potencjałem ludnościowym i gospodarczym takim jak Litwa ma do powiedzenia więcej w sprawie umowy Unia–Mercosur niż dziesięć razy większa Polska.

CHWILOWO NA WIECZNOŚĆ

By ominąć wymóg jednomyślnej zgody państw członkowskich na umowę, władcy Unii zastosowali sztuczkę, a właściwie dopuścili się oszustwa i podzielili ją na dwie części, z których ważniejsza jest handlowa. By ją zatwierdzić, wystarczy zgoda Parlamentu Europejskiego i Rady Europejskiej kwalifikowaną większością głosów – 15 państw z 65 proc. ludności UE. Poszczególne kraje mogą decydować o części stowarzyszeniowej – ratyfikują ją parlamenty narodowe. Ale w międzyczasie tymczasowo na zawsze będzie już obowiązywał układ handlowy – 91 proc. towarów z krajów Mercosur będzie miało bezcłowy wjazd na teren UE. W teorii mają obowiązywać kontyngenty, np. bezcłowo będzie dopuszczane 99 tys. t wołowiny czy 180 tys. t drobiu rocznie, ale urzędnicy będą co roku zwiększać te przydziały.

W zamian Unia wyśle to, co sama najbardziej chce sprzedawać, a więc produkty niemieckiego, francuskiego czy włoskiego przemysłu. W ciągu dekady mają zniknąć wszystkie bariery i, jak opowiada von der Leyen, powstanie wtedy



największa, obejmująca 780 mln ludzi strefa wolnego handlu na świecie.

To tylko bajania, bo nie będzie żadnego wolnego rynku, tylko konkurencja niszczonej unijną biurokracją europejskich rodzinnych gospodarstw z farmerami, latyfundystami z Południowej Ameryki, którzy nie muszą spełniać żadnych takich wymagań. Nikt tam np. nie robi zdjęć sfermentowanych odchodów zwierzęcych, czyli obornika, nie oznacza ich współpodręcznymi GPS, określającymi, gdzie to „gie” jest, gdyby jakiś urzędnik chciał je na własne oczy podziwiać i nie wysłał przy pomocy specjalnej aplikacji tych dzieł sztuki fotograficznej do jakiejś ichniej Agencji Rozwoju i Modernizacji Rolnictwa (ARiMR). A to musi robić polski rolnik. I na koniec jeszcze udowodnić, że te odchody prawidłowo rozrzuca na polach. Nikt też w Brazylii nie prowadzi ewidencji kur i nie wyrejestrówuje cielaka czy indora, gdy ten zdechnie. Na podstawie danych ARiMR oraz Ministerstwa Rolnictwa i Rozwoju Wsi można oszacować, że papierologia zajmuje polskim rolnikom do 250 godzin rocznie. Po drugiej stronie jest wolnoamerykanka – wymogi ograniczone do minimum i nawet można łąć na pola pestycydy od dawna zabronione w Europie. I znów opowieści, że i tam pewne normy muszą być spełnione, to zwykle bajania, bo żaden unijny urzędnik nie będzie sprawdzał, co się dzieje na argentyńskich czy urugwajskich pampasach.

Ale jest jeszcze gorzej – jak mawia redaktor Stanisław Janecki. Polscy rolnicy nie będą konkurować z południowoamerykańskimi farmerami tylko z tzw. ABCD. To skrót od nazw największych na świecie korporacji rolno-spożywczych,

jak ADM, Bunge, Cargill i Dreyfus. Przez spółki zależne mają miliony hektarów w Ameryce Południowej, ale za to rejestrację podatkową na Karaibach, np. na Kajmanach czy Wyspach Dziewiczych.

Wejście w życie umowy Unia–Mercosur oznacza *de facto* zagładę bazującego na gospodarstwach rodzinnych rolnictwa w Polsce. To się nie zdarzy z dnia na dzień, nie będzie spektakularnego upadku, efektywnej katastrofy, tylko ciche wymieranie. I to w sensie dosłownym – średnia wieku polskiego rolnika to ponad 50 lat. Młodzi nie chcą wchodzić w tę mordegę. Rozpocznie się proces, który znamy z Hiszpanii czy Francji: masowe upadki gospodarstw, opustoszałe wsie, młodzi uciekający do miast i pogłębiające się kryzysy społeczne czy mieszkaniowe, które z tego wynikają. Tu nie chodzi tylko o upadek jakiegoś sektora gospodarki, który daje pracę 8–9 proc. Polaków i generuje ponad 50 mld euro w eksporcie. Tu chodzi także o zmiany społeczne i cywilizacyjne. Wsie będą martwe, zapadłe i zmieni się krajobraz Polski, bo nie będzie „tych pól malowanych zbożem rozmaitem, / Wyzłaczanych pszenicą, posrebrzanych żytem; / Gdzie bursztynowy świerzop, gryka jak śnieg biała, / Gdzie panieńskim rumieńcem dzięcielina pała”, tylko co najwyżej ciągnące się po horyzont uprawy na tysiącach hektarów, które przejmą wspomniane korporacje. Nie będzie polskiej kury czubatką czy zielononóżki, tylko brojlery z Argentyny. Nie będzie polskiej wsi, polskiej żywności, znikną obyczaje, tradycje, a jeśli przetrwają, to w jakichś rodzajach skansenów dla turystów. Oczywiście także dzisiaj jest w Polsce „rolnictwo przemysłowe”, ale jeszcze na skalę nieporównanie mniejszą niż to, co jest na Zachodzie czy w krajach Mercosur.

My nie zgadujemy, nie krzemy, nie dajemy upustu paranoicznym wizjom, tylko *de facto* opisujemy to, co się stało na Zachodzie Europy, a zwłaszcza we Francji, w której charakter wsi, jej struktura, najbardziej przypominają tę w Polsce. Ponad 40 proc. Polaków mieszka na wsi, a jeśli brać pod uwagę najmniejsze miasteczka, to nawet 55 proc. Tymczasem na Zachodzie ponad 90 proc. ludzi to mieszkańcy miast. W Polsce te zmiany demograficzne, strukturalne nie zajdą naturalnie w czasie, tylko zostaną zrealizowane, jakby to był projekt inżynierii społecznej.

Zresztą nie brakuje opinii, iż rolnictwo rodzinne jest w Unii niszczone celowo, bo ludzie, którzy mają na własność swe domy i pola, są się w stanie wyżywić sami, trwają przy tradycyjnych wartościach, zagrażają tej wiecznie uśmiechniętej demokracji. Trzeba iść z postępem i jakoś się pozbyć tych wsiowych ciemniaków.

NOWY NORD STREAM 2

Nie ma wątpliwości, iż umowa z Mercosur ma służyć głównie niemieckiemu, francuskiemu i włoskiemu przemysłowi. Stąd m.in. wycofanie się Rzymu z początkowych obiekcji, bo nad Tybrem i Padem nie hoduje się bydła na dużą skalę ani nie ma wielkich upraw zbóż. Ba, np. oliwa wjedzie do Ameryki Południowej bez cel. Umowa wygląda, jakby dotyczyła precyzyjnie wskazanych towarów i usług, tak, jakby była spisana na potrzeby konkretnych branż, a nawet przedsiębiorstw. Np. chodzi o to, by Mercosur kupiło niemiecki złom do energii odnawialnej. W ramach umowy poprzez różne programy, granty, preferencyjne pożyczki Bruksela prześle krajom Ameryki Południowej na adaptowanie się do zmian klimatycznych projekty wiatrowo-solarne, szkolenia z OZE w Patagonii i takie tam inne miliardy euro z pieniędzy podatników. To kilka razy więcej niż wynosi wartość polskiego eksportu do całej Ameryki Południowej – ok. 800 mln euro rocznie. To pokazuje, jak bardzo Bruksela nie liczy się z interesami krajów takich jak Polska.

Kiedy piszę ten tekst, głównym tematem w całej Polsce jest nalot ruskich dronów. I znów w Brukseli padają pełne lepkiego fałszu słowa o solidarności z naszym krajem, o potrzebie wsparcia i nałożeniu kolejnych sankcji, zrobienia tego i tamtego. Tymczasem Brazylia wyrasta na jednego z największych partnerów politycznych i gospodarczych kremlowskiego reżimu. To największy importer rosyjskich nawozów sztucznych. Kontrakty opiewają już na miliardy dolarów. Te ruskie nawozy pomogą wyprodukować Brazylii żywność, którą zalana zostanie Europa.

Mateusz Morawiecki ma rację: Mercosur to nowy Nord Stream 2. Dzięki umowie UE z Mercosur Brazylia będzie miała więcej pieniędzy na finansowanie maszyny wojennej Putina.



Dwóch świętych pełnych życia

Była to pierwsza msza kanonizacyjna podczas pontyfikatu Leona XIV, ale nie jest to jedyny powód, dla którego stała się aż tak uroczysta i pełna młodzieńczego entuzjazmu



Św. Pier Giorgio Frassati



GORAN ANDRIJANIĆ

W niedzielę 7 września papież kanonizował Piera Giorgio Frassatiego (1901–1925) i Carla Acutisa (1991–2006). Kościół katolicki zyskał dwóch nowych świętych – obaj byli Włochami, którzy zmarli w młodym wieku z powodu nagłych chorób.

Frassatiego, młodego mężczyznę z bogatej i znamienitej rodziny, który zamiast

impreszować zamożną młodzież, spędzał czas w miejskich przytułkach, pomagając bezdomnym i ubogim. Acutisa, nastolatka o duchowej dojrzałości mnicha, geniusza komputerowego, który poświęcił swój dar tworzeniu stron internetowych o cudach eucharystycznych i objawieniach Maryi. Obaj spędzili młodość w Mediolanie, byli oddani codziennej mszy św. i adoracji Najświętszego Sakramentu, pełni miłości do Jezusa, która wyrażała się w bezgranicznej radości, którą zarażali wszystkich wokół.

Fakt, że obaj zostali kanonizowani tego samego dnia, jest wynikiem spłotu okoliczności. Kanonizacja Acutisa miała się odbyć 27 kwietnia, ale z powodu choroby i śmierci papieża Franciszka została przeniesiona na dzień, który był już wy-

znaczony na kanonizację Frassatiego. Tak więc ci dwaj Włosi, patroni młodzieży, od uczniów po studentów, zostali kanonizowani tego samego dnia i dołączyli do grona świętych Kościoła katolickiego.

AUTOSTRADĄ DO NIEBA

Trzeba przyznać, że ich kult już dawno przekroczył granice ich diecezji. Frassati jako błogosławiony (od 1990 r.) był w Polsce otaczany wielką czcią. Pamiętam mój pierwszy kontakt z jego wizerunkiem. Było to w kościele akademickim KUL w Lublinie, w którym wziąłem ślub. Wszedłem do środka i zobaczyłem obraz mężczyzny stojącego w typowej dla jego młodego wieku pewnej siebie pozie, gdzieś w górach. Dopiero później dowiedziałem się, że ktoś z nadmierną skrupulatnością usunął fajkę z obrazu namalowanego na podstawie fotografii, w niewłaściwy sposób próbując go uczynić bardziej „świętym”. Potem zacząłem zgłębiać jego duchowe dziedzictwo i po zostałem nim zafascynowany. Urodzony w rodzinie Alfreda Frassatiego, założyciela słynnego liberalnego dziennika „La Stampa”, otrzymał jedynie formalne wykształcenie religijne (jego ojciec był bliski ateizmowi, a matka wyznawczynią tradycji). Mimo to ukształtowała się w nim wiara tak silna, że mogła naprawdę, jak to określa Biblia, „przenosić góry”.

Młody człowiek, który z równym entuzjazmem poświęcił się modlitwie, pomocy ubogim i zaangażowaniu politycznemu, był dowodem na to, że działanie Ducha Świętego w naszym życiu przekracza wszelkie granice.

Jego znaczenie docenił papież Jan Paweł II, gdy był kardynałem w Krakowie, i dlatego ukazywał go jako wzór do naśladowania dla młodych. Mówił o nim jako o „człowieku ośmiu błogosławieństw”.

gorliwość, poświęcenie, a przede wszystkim nadprzyrodzona radość płynąca z relacji z Bogiem – oto cnoty duchowe, które posiadał Frassati i które dziś można przekazać młodym.

„Frassati to osoba, która inspiruje mnie każdego dnia” – powiedziała w rozmowie z mediami watykańskimi studentka KUL Julia Rybbyczyńska, która jest częścią wspólnoty Frassatianum, działającej na tej uczelni. „Jego poświęcenie i bezinteresowne oddanie dla drugiej osoby poka-



Św. Carlo Acutis

zują mi, że można wszystko, kiedy tylko zawierzy się swoje życie Bogu i pozwoli mu działać”.

Z Carlo Acutisem, zwanym „Bożym influencerem”, historia jest podobna. Pierwszy milenials, który został ogłoszony świętym, wykazał się niezwykłą dojrzałością duchową. Codziennie uczestniczył w mszy św., a komunię św. nazywał swoją „autostradą do nieba” (oczywiście parafrazując słynny rockowy utwór AC/DC „Highway to Hell”). Carlo nie bał się bronić nauk Kościoła. W szkole sprzeciwiał się aborcji, chronił słabszych i zawsze starał się przekazywać swoim przyjaciółom wagę sakramentów. Był również znany ze swojej wrażliwości na ubogich, którym przynosił jedzenie.

Jego matka Antonia Salzano powiedziała, że wiara małego Carla uratowała całą jej rodzinę. Młodzieniec przyjął chorobę z niewiarygodnym spokojem, przedstawiając ją jako ofiarę za Kościół i papieża Benedykta XVI.

Droga Acutisa do świętości była szybka niczym autostrada. Został beatyfikowany w 2020 r., a teraz, pięć lat później, kanonizowany. Jego kult jest silny, a o cudach, które dokonują się za jego wstawiennictwem, słyży się coraz częściej. Laura Majić, młoda Chorwatka cierpiąca na białaczkę (ten sam rodzaj, na który chorował Carlo), która została uzdrowiona dzięki modlitwie o jego wstawiennictwo, podzieliła się w chorwackich mediach swoją historią nawrócenia i cudownego uzdrowienia.

„Gdyby ktoś mi powiedział, że ja, osoba, która nigdy wcześniej nie wierzyła, podobnie jak cała moja rodzina, będę mogła się zaprzyjaźnić z kimś, kogo nawet nie znam, prawdopodobnie powiedziałabym, że to nie jest normalny człowiek. Wierzę, że

Carlo uczynił cud w moim życiu. Najpierw mnie nawrócił, a potem uzdrowił, dzięki czemu jestem tu, gdzie jestem dzisiaj” – powiedziała mediom w dniu kanonizacji.

PRZESŁANIE DO MŁODYCH

W trakcie uroczystości w Watykanie pl. Świętego Piotra był wypełniony wieloma młodymi ludźmi z różnych wspólnot z całego świata. Jest oczywiste, że poprzez tę kanonizację Kościół chce dotrzeć do młodych – grupy, która coraz bardziej odwraca się od Mistycznego Ciała Chrystusa.

Ks. Piotr Rozpędowski, diecezjalny duszpasterz młodzieży w archidiecezji wrocławskiej, mówi nam, że Kościół musi jeszcze dać czas temu wydarzeniu.

– Historia Kościoła pokazuje nam, że wszystko, co się dzieje w kontekście wiary, jest procesem. Dziś musimy pokazywać tych nowych świętych młodzieży. Trzeba przebijać „bańkę medialną”, w jakiej znajdują się dzisiejsi nastolatki. To, że zaangażowane w Kościół dorosłe osoby przeżywały kanonizację, nie oznacza, że dzisiejszy 15-latek słyszał o św. Carlu Acutisie czy św. Pierze Giorgiu Frassatim – mówi duszpasterz. I dodaje, że można zauważyć pewną dynamikę zainicjowaną kultem tych świętych. – Zauważam wiele oddolnych inicjatyw, które cieszą, m.in. ustanawianie tych świętych patronami rozmaitych dzieł dla młodzieży czy prowadzenie rekolekcji lub katechez na temat ich życia i świętości. Owoce tego zobaczymy za jakiś czas. Bez wątplenia zarówno jeden, jak i drugi święty mają wiele do przekazania dzisiejszej młodzieży. Nie mieszczą się w ramach swoich czasów, byli oryginalni i bezkompromisowi w czynieniu dobra. To pociąga dzisiejszych młodych. Nasi nastolatki to „pokolenie płatków śniegu”, ludzi niezwykle delikat-

nych, wrażliwych, a równocześnie różnorodnych – wyjaśnia ksiądz.

Według niego św. Carlo i św. Pier Giorgio odczarowują świętość postrzeganą jako coś nieosiągalnego, dziwnego i zakurzonego, jak barokowe figury świętych w starych kościołach.

– Świętość w wydaniu nowo kanonizowanych to piękna młodość i codzienność, w której wiara nie jest obciążeniem. Bardzo liczę na to, że właśnie te cechy zainspirują młodych ludzi żyjących w drugim ćwierćwieczu XXI w. – mówi nam ksiądz.

Jeśli chodzi o „kryzys wiary” wśród młodych, duszpasterz uważa, że sytuacja nie jest tak prosta. Kilka lat temu, pisząc pracę doktorską, przeprowadził rozległe badania wśród kilkuset maturzystów archidiecezji wrocławskiej.

– Z badań wynika, że większość młodych ludzi, którzy opuścili Kościół lub nie zakorzenili się w nim, nie ma stabilności w swoich rodzinach lub rodziny nie przekazały im wiary. To nie Kościół „zgnęł” młodzież, ale rodziny w dużym stopniu zagubiły wiarę. Przecież naturalne jest to, że dzieci wpatrują się w rodziców. Więc jeśli dzieci nie widzą w rodzinie wiary jako czegoś realnego i ważnego, to trudno jest wymagać od nich głębokiej postawy religijnej – wyjaśnia ksiądz.

Dodaje jeszcze jedną bardzo ważną rzecz: – Badania pokazały, że młodzi ludzie oczekują Kościoła prawdziwego. Nawet tacy młodzi, którzy nie utożsamiają się z nim zbyt mocno, oczekują jasnego nauczania w sprawach moralności. Na pytanie o przestrzeń sakralną, o to, co jest w niej dla nich najważniejsze, 70 proc. młodych stwierdziło, że atmosfera modlitwy i piękno liturgii. Kilka dni temu miałem spotkanie z kilkudziesięcioosobową wspólnotą młodzieżową, którą opiekuje się przy Diecezjalnym Duszpasterstwie Młodzieży we Wrocławiu. Przygotowywaliśmy program na przyszły rok formacyjny. Jednym z głównych postulatów brzmiał: mniej integracji, więcej adoracji – tak powiedzieli dzisiejsi nastolatki.

Może trochę nie doceniamy dzisiejszych młodych ludzi? Może są bardziej duchowi, niż jesteśmy gotowi przyznać? W każdym razie dostali za wzór świętych, którzy z równą gorliwością modlili się i w tym samym czasie angażowali w codzienne życie, wspierając przyjaciół i potrzebujących.

Morderca czy bohater?

Jak daleko może posunąć się rodzic, aby chronić swoje dziecko? Na to pytanie będą musieli odpowiedzieć przysięgli podczas procesu ojca z Arkansas, który zastrzelił porywacza i gwałticiela swojej córki



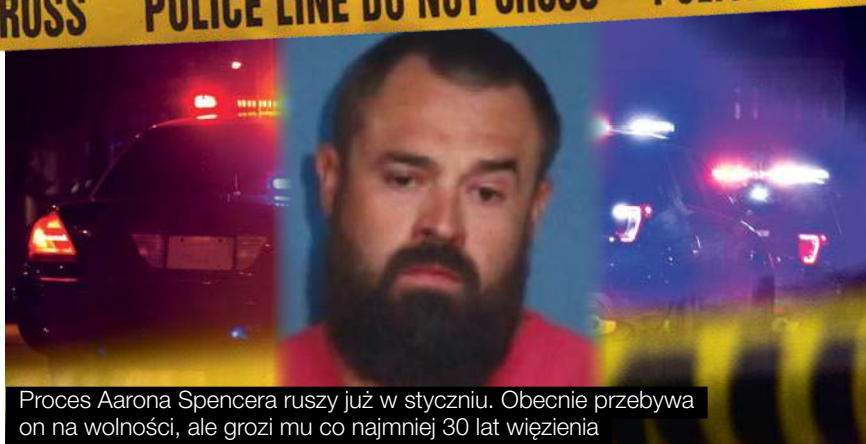
ALEKSANDRA RYBIŃSKA

To była chłodna noc na początku października. 37-letniego Aarona Spencera obudziło głośnie szczekanie psa. Chihuahua jego córki nie przestawał ujaść. Mężczyzna zajrzał do sypialni nastolatki i zobaczył, że śpi głęboko, schowana pod kołdrą. Ale coś było nie tak. Gdy odchylił kołdrę zobaczył, że to pluszowa zabawka, owinięta w jej bluzę z kapturem. Dziewczyna zniknęła. Wpadł w panikę. I nie bez powodu.

Trzy miesiące wcześniej jego córka, wówczas 13-letnia, wyznała, że padła ofiarą gwałtu ze strony 67-letniego mężczyzny, którego poznała w domu znajomego rodziny. Domniemany sprawca, Michael Fosler, został aresztowany, ale wyszedł na wolność za kaucją, mimo że ciążyły na nim 43 zarzuty, w tym uwożenie nieletnich w sieci, tzw. grooming, molestowanie seksualne oraz posiadanie dziecięcej pornografii. Spencer natychmiast ruszył na poszukiwania córki.

BRAK WYBORU

Systematycznie przeczesał drogi wokół swojego domu w hrabstwie Lonoke w stanie Arkansas. W tym czasie jego żona Heather odchodziła od zmysłów. „Moje dziecko. Moja mała córeczka. Mogłam się tylko modlić” – napisała później na Facebooku.



Proces Aarona Spencera ruszy już w styczniu. Obecnie przebywa on na wolności, ale grozi mu co najmniej 30 lat więzienia

Jadąc w ciemności ok. 16 km od domu, Spencer zauważył coś, co wyglądało na białego Forda F-150 Foslera. Zawrócił i ruszył w pościg, migając światłami i trąbiąc. Jak później zeznał, na następnym skrzyżowaniu uderzył w tył ciężarówki Foslera, spychając ją z drogi. Według Spencera jego córka próbowała wysiąść z samochodu, ale mężczyzna ją przytrzymał. Spencer wyciągnął więc broń i kazał porywaczowi wysiąść z samochodu. Ten jednak „rzucił się na niego”, trzymając w ręku „jakiś przedmiot”. Spencer strzelał do Foslera, aż opróżnił magazynek. Następnie odzyskał córkę, przeładował swojego Glocka i zadzwonił pod numer alarmowy 911. Zdumionych policjantów poinformował, że Fosler „leży martwy w rowie”, a on „nie miał innego wyboru”, niż go zabić.

Czy rzeczywiście tak było? O tym zdecydować przysięgli. Proces Spencera ruszy już w styczniu. Najpierw postawiono mu zarzut morderstwa pierwszego stopnia, ale potem został zmieniony na morderstwo drugiego stopnia. Zgodnie z prawem stanu Arkansas obejmuje on „okoliczności świadczące o skrajnej obojętności wobec wartości ludzkiego

życia”, ale w przeciwieństwie do morderstwa pierwszego stopnia nie oznacza premedytacji. Wielu Amerykanów uważa jednak, że Spencer jest niewinny. Zrobił to, co musiał, by chronić swoje dziecko. Petycja domagająca się, by zarzut morderstwa wobec niego został wycofany, zebrała już ponad 350 tys. podpisów.

Stowarzyszenie Właścicieli Broni w Arkansas zebrało setki tysięcy dolarów na jego obronę. Powstała także zbiórka na GoFundMe, ale została usunięta przez platformę, bo „naruszała regulamin”, który stanowi, że nie można zbierać na „ochronę prawną osoby oskarżonej o popełnienie przestępstwa z użyciem przemocy”. Zbiórkę przeniesiono na inną platformę – GiveSendGo.

Spencer wyszedł z aresztu po wpłaceniu kaucji w wysokości 150 tys. dol., trzy razy więcej, niż musiał wpłacić gwałtciela jego córki, by wyjść na wolność.

WIARA W SYSTEM

W mediach społecznościowych wielu chwali odwagę Spencera. „To prawdziwy bohater, zrobił to, co zrobiłby każdy praw-

dziwy rodzic” – pisze jeden z użytkowników Facebooka. „Każdy, kto obwinia Aarona, jest okropną postacią i ewidentnie nie ma dzieci” – dodaje inny. Liczni influencerzy nagrali filmiki, w których bronią ojca z Arkansas. Żona Spencera także broni go na Facebooku. „Zaryzykował wszystko, aby uratować życie. I za to potraktowano go jak przestępcę, podczas gdy system chronił drapieżnika” – pisze. Według niej Fosler był w przeszłości „szefem policji w Indianie” i miał „wpływowych przyjaciół na stanowiskach”. „Dlatego sąd pozwolił, by wyszedł na wolność” – zaznaczyła. I dodała, że wraz z mężem „wierzyli w system”. „Miał sądowy zakaz zbliżania się do naszej córki, która miała przeciwko niemu zeznawać przed sądem. No i co to dało?” – zapytała w rozmowie z CCN. „Oczywiście – dodała – mogliśmy poczekać na przybycie policji, ale wtedy nasza córka by już nie żyła”.

Prokuratura widzi sprawę nieco inaczej. Po zastrzeleniu Foslera Spencer miał przeładować broń i strzelać dalej, a także bić go po twarzy kolbą pistoletu, na której znalazł krew ofiary. Atak miał być brutalny i daleko wykraczać poza czyny konieczne do ratowania córki lub obrony własnej. Prokuratura sugeruje, że Spencer wyżył się na mężczyźnie, by ukarać go za gwałt i porwanie.

Oskarżony żyje wraz z żoną na farmie w pobliżu Cabot, miasta liczącego ok. 27 tys. mieszkańców, oddalonego o ok. 40 km od stolicy stanu Little Rock. Jest rolnikiem i budowlancem. Para wychowuje córkę i dorosłego syna. W przeszłości Aaron służył w 82. Dywizji Powietrznodesantowej i pod koniec pierwszej dekady XXI w. został wysłany do Iraku jako spadochroniarz, jak twierdzi jego obrończyni Erin Cassinelli. Nigdy wcześniej nie złamał prawa. W lipcu ub.r. spokojne życie Spencerów legło w gruzach, gdy dowiedzieli się od członka rodziny, że ich córka komunikuje się przez WhatsApp z Foslerelem, a on ją zgwałcił.

Cassinelli i drugi obrońca Michael Kaiser twierdzą, że Spencer to bohater wojenny i kochający ojciec, który chciał chronić swoją rodzinę. „Foster wielokrotnie zgwałcił ich dziecko, a następnie je porwał, by je uciszyć” – dodali w oficjalnej deklaracji. Według nich

użycie przemocy w tej sprawie było całkowicie uzasadnione, a ich klient powinien zostać niewinny.

DWIE OFIARY, NIE JEDNA

To w przeszłości już się zresztą zdarzało – zabójcy gwałcicieli otrzymali niskie wyroki lub w ogóle nie zostali skazani. W 1985 r. Gary Plauché został uznany winnym nieumyślnego spowodowania śmierci w Luizjanie po tym, jak zastrzelił mężczyznę podejrzanego o porwanie i zgwałcenie jego 11-letniego syna. Sprawca, 25-letni Jeffrey Doucet, został aresztowany w Kalifornii i wracał właś-

Wielu Amerykanów uważa, że Spencer jest niewinny. Zrobił to, co musiał, by chronić swoje dziecko. Petycja domagająca się, by zarzut morderstwa wobec niego został wycofany zebrała już ponad 350 tys. podpisów

nie do Luizjany w asyście policjantów, gdy Plauché strzelił do niego na lotnisku w Baton Rouge. Mężczyzna otrzymał wyrok w zawieszeniu i uniknął więzienia. Prawie dekadę później Ellie Nesler w sądzie w północnej Kalifornii zastrzeliła 35-letniego Daniela Marka Drivera oskarżonego o molestowanie jej 7-letniego syna podczas chrześcijańskiego obozu letniego. Została skazana za zabójstwo na 10 lat więzienia, ale po 3 latach wyszła na wolność. W 2008 r. zmarła na raka.

W 2012 r. teksański farmer nie został nawet aresztowany po tym, jak śmiertelnie pobił Jesusa Morę Floresa, którego przyłapał na gwałcie swojej 5-letniej córki. „Zgodnie z prawem stanu Teksas użycie śmiercionośnej siły jest dozwolone i uzasadnione w celu powstrzymania ataku seksualnego lub napaści na tle seksualnym” – powiedziała wówczas reporterom prokurator okręgowa Heather McMinn.

Osiem lat po głośnej sprawie w Teksasie 16-letnia Pieper Lewis została skazana przez sąd na prace społeczne oraz zapłaceniu odszkodowania w wysokości 150 tys. dol. rodzinie mężczyzny, którego zabiła, bo wielokrotnie ją zgwałcił. Była wtedy nieprzytomna. 37-letni Zachary Brooks odurzał nastolatkę, która uciekła z domu, alkoholem i narkotykami. Sąd uznał w tym wypadku, że ofiary były dwie, a nie tylko jedna. Kampania crowdfundingowa mająca na celu pokrycie kosztów odszkodowania przyniosła 330 tys. dol. – ponad dwukrotność kwoty, którą Lewis była winna.

UZASADNIONE LUB NIE

Na podobny obrót sprawy liczą także Spencerowie, którzy aktywnie poszukują innych ofiar Foslera. „To był pedofil, który przez lata polował na dzieci w sieci. Na pewno są inne ofiary” – zaznaczyła Heather Spencer.

„Jeszcze niedawno moim największym zmartwieniem było to, czy wyjdzie mi ciasto. Moje dni były wypełnione pieczeniem. Teraz wypełniają je wizyty u terapeuty, których wymaga nasza córka, sprawy prawne i ciągła walka o to, by mąż mógł pozostać w domu, jednocześnie pomagając rodzinie radzić sobie z niewyobrażalną rzeczywistością”

– wyznała. „Wsparcie ze strony życzliwych osób z całego kraju dodaje otuchy, gdy rodzina mierzy się z nagonką mediów i przygotowuje się do procesu. Ogromne wsparcie ze strony naszej społeczności, a nawet osób, których nigdy nie spotkał, sprawiło, że poczuliśmy się o wiele mniej osamotnieni w tej walce” – powiedziała CNN. „Nie wyobrażam sobie, jak bardzo byłoby to trudne bez takiego wsparcia” – dodała.

Jej mężowi grozi co najmniej 30 lat za kratami. „Kiedy przyjeżdżamy na miejsce zdarzenia, gdzie doszło do zabójstwa, oznacza to, że jedna osoba odebrała życie drugiej. To jest albo uzasadnione, albo nieuzasadnione. Kto wspiera sprawcę lub co się komu wydaje, jest przy tym zupełnie nieistotne. Będzie trzeba to jednoznacznie ustalić” – podkreślił szeryf hrabstwa Lonoke John Staley w rozmowie z ABC News.

Bankructwo liberalnego państwa

Liberalne państwo jest bezsilne wobec przestępców i imigracji, ale bezwzględne wobec zwykłych obywateli. To bezsilność skalkulowana. Nie zapewnia bezpieczeństwa, nie neutralizuje konfliktów, a żyjące w symbiozie z nim media tresują zastraszone społeczeństwa



MACIEJ WALASZCZYK

W ostatnich dniach opinia publiczna dowiedziała się o dwóch spektakularnych i przerażających w swej wymowie incydentach, choć faktycznie podobne sytuacje od wielu lat występują tysiącami. Pierwsza z nich to głośne morderstwo dokonane przez czarnoskórego mieszkańca amerykańskiego miasta Char-



34-letni Decarlos Brown usłyszał zarzut zabójstwa 23-letniej Iryny Zaruckiej



lotte. Ujawniony film z monitoringu dokumentuje, jak jadąc pociągiem 23-letnia Ukrainka Iryna Zarucka zostaje brutalnie zamordowana przez czarnoskórego zabójcę.

Nie obawiając się niczego, najpierw wchodzi do wagonu kolejki metra, zajmuje wolne miejsce, a po chwili siedzący za nią mężczyzna wyciąga nóż i zadaje ofierze trzy ciosy w okolice gardła. Co jednak najważniejsze, znajdujący się w wagonie ludzie, w większości czarni, zupełnie na to nie reagują. Nie łapią napastnika, nie alarmują obsługi, wychodzą, pozostawiając bez pomocy wykrwawiającą się kobietę. Pokazuje to duchowy i moralny stan społeczeństwa.

Relacje, także polskojęzycznych mediów, skrojone w duchu politycznej poprawności i mówiące przede wszystkim o „psychicznie chorym Afroamerykaninie” ewidentnie mani-



pulują przekazem, próbując wywołać u odbiorcy poczucie winy. Na tę sytuację czujnie zareagował prezydent Donald Trump, który na portalu Truth Social ujawnił, że kobieta przybyła do Ameryki, aby uciec przed wojną na Ukrainie, a sprawca był znanym przestępcą. „W styczniu został aresztowany i zwolniony za kaucją bezgotówkową, łącznie 14 razy. Co on, do cholery, robił, jadąc pociągiem i chodząc po ulicach?” – zapytał amerykański prezydent, oświadczając, że krew ofiary plami ręce demokratów, którzy są odpowiedzialni za słabość policji, brak kar i wypuszczanie ludzi z więzień.

Prokurator generalna USA Pam Bondi dodała w specjalnym oświadczeniu, że to morderstwo jest bezpośrednim skutkiem nieudanej polityki łagodnej walki z przestępczością, która wynosi przestępców ponad niewinnych ludzi. Republikański senator z Teksasu Ted Cruz oraz Elon Musk skrytykowali także media – takie jak CNN, „New York Times” i PBS – za to, że przemilczały temat śmiertelnego ataku w metrze.

Oto obraz państwa słabego wobec silnych i silnego wobec słabych.

INCYDENT W SZKOCJI

M.in. za sprawą Elona Muska głośna stała się też historia 13-letniej Loli Moir i jej młodszej siostry 12-letniej Ruby Moir ze szkockiego Dundee.

Do incydentu z ich udziałem doszło w sobotę 23 sierpnia br. wieczorem w pobliżu tamtejszego centrum handlowego Wellgate. Zaraz potem w sieci pojawił się również nagrany telefonem komórkowym filmik, na którym dziewczyny awanturowują się z dorosłym obcokrajowcem. Po chwili jedna z nich, 13-latką, wyjmując toporek i nóż w ogromnych emocjach wykrzykuje do napastnika słowa, z których wynika, że jej siostra ma „tylko 12 lat”. Film robi niesamowite wrażenie. W milionach odsłon jest odtwarzany i powielany przez użytkowników sieci społecznościowych z informacją, że nieletnia dziewczyna została właśnie aresztowana przez policję za posiadanie niebezpiecznego narzędzia w miejscu publicznym. O co chodzi? Właściwie nie do końca wiadomo, co się stało, a informacje podawane w mediach są dziwnie lakoniczne i trudno rozstrzygnąć, kto jest ofiarą, a kto napastnikiem. Ale także na tym filmie na chwilę pojawia się mężczyzna będący świadkiem zajścia, który po prostu przechodzi obok, udając, że niczego nie widzi i sprawa go nie dotyczy.

Dziś, po wielu dniach, oficjalne informacje podane przez policję ujawniają, że nagrywającym zajście telefonem komórkowym był bułgarski imigrant



Loli Moir i Ruby Moir

21-letni Fatos Ali Dumana i to on oraz jego 17-letnia siostra zostali oskarżeni o napad na małoletnią. Jak poinformował rzecznik policji: „Po szeroko zakrojonym dochodzeniu, mężczyzna i kobieta zostali oskarżeni w związku z incydem na St Ann Lane w Dundee”. Także w tym wypadku przebieg całej sytuacji oraz reakcja policji i mediów pokazują mechanizm państwa rządzonego według logiki skalkulowanej na słabości wobec silnych, agresywnych mniejszości i chłodnej siły stosowanej wobec broniącej się ofiary.

CO NAPRAWDĘ SIĘ WYDARZYŁO?

Według wciąż niepotwierdzonych informacji spacerujące w okolicach centrum handlowego w Dundee nastolatki zostały zaczepione przez dorosłego 21-latkę, który kierował zaczepki o charakterze seksualnym pod adresem młodszej z nich. Te prawdopodobnie ostro na nie zareagowały, wywiązała się pyskówka. W jej następstwie do akcji wkroczyła siostra mężczyzny, która fizycznie zaatakowała młodszą Ruby. Złapała ją za włosy, rzuciła na chodnik, po czym oboje zaczęli okładać leżącą po głowie, także kopać. Po tym wszystkim dziewczyny miały bezskutecznie dzwonić na policję. Wtedy do akcji wkroczyła

starsza siostra, która postanowiła wziąć sprawy w swoje ręce. Poszła po nóż i toporek i tak, jak to było widoczne na filmie, zaczęła odgrażać się mężczyźnie, który dodatkowo prowokował ją, nagrywając i upewniając się, że pokazuje narzędzia w kierunku kamery.

W wyniku pobicia Ruby trafiła do szpitala z ciężkim wstrząśnieniem mózgu, guzem wielkości piłki tenisowej, a także wieloma siniakami. Lakoniczne relacje medialne jedynie sugerowały prowokacyjne zachowanie dziewczyny i incydent, jakiego dopuścili się z użyciem niebezpiecznego narzędzia. Co więcej, dziennik „Daily Mail” przedstawił Fatosę Alego Dumanę jako statecznego obywatela i ich ofiarę. Internauci szybko wytypowali jednak jego profile społecznościowe, na których pozuje na prymitywnego gangstera. Szkocka policja początkowo twierdziła, że nagrania z kamer przemysłowych w centrum handlowym zaginęły, a z filmiku wynika, że tylko Lola Moir popełniła przestępstwo, wygrażając niebezpiecznymi narzędziami.

Rodzina dziewczynek i one same znalazły się pod presją mediów oskarżających ich o nakręcanie spirali antyimigracyjnych nastrojów i wspieranie „skrajnej prawicy”. Pojawiły się też obawy o ich bezpieczeństwo. Ale po jakimś czasie rodzice otrzymali w końcu dokumentację szpitalną potwierdzającą, że w wyniku napaści Ruby doznała poważnego urazu głowy. Pojawiły się również zarzuty, że „Daily Mail” zniesławił dziewczynki, publikując fałszywy artykuł na temat wydarzeń, w którym opisał Fatosę jako niewinnego „bułgarskiego ojca rodziny”.

IKONICZNA LOLI

Loli rzeczywiście natychmiast stała się bohaterką prawicy i środowisk walczących z imigracją. Ikoniczna fotografia odważnej i zdeterminowanej dziewczyny z nożem i toporkiem w ręku pojawiła się w licznych grafikach stylizowanych na bohaterów słynnego filmu „Braveheart. Waleczne serce” z Melem Gibsonem i wzywających do obrony Szkocji oraz Europy przed falą obcych kulturowo przybyszów. To wywołało reakcję obronną lewicowego rządu, który

za pośrednictwem mediów kilkakrotnie wystosował orwellowski z ducha apel do społeczeństwa, aby nie dzieliło się „dezinformacją” na temat tego incydentu, nie spekulowało na temat okoliczności zdarzenia. A sam premier Keir Starmer oskarżył Muska o „podsycanie strachu i niepokoju” i chęć „podważenia społecznej spójności” brytyjskiego społeczeństwa.

Dlatego podejrzenia o próbę zatuszowania całej sprawy przez policję nie są bezpodstawne. Szefową jej regionalnych struktur od roku jest 44-letnia Nicola Russell, zarazem zaangażowana w kierowanie siecią LGBTQI-allies w Szkocji, a więc działaniami osób heteroseksualnych wspierających ten ruch. Co więcej, jej najwyższą przełożoną jest Shabana Mahmood, która od 5 września sprawuje funkcję szefa MSW w rządzie Partii Pracy. Wcześniej przez rok kierowała Ministerstwem Sprawiedliwości, a dziś stała się najwyższym rangą muzułmańskim politykiem w Wielkiej Brytanii. Mahmood nie ukrywa swoich poglądów religijnych i otwarcie mówi o ich wpływie na jej działalność polityczną.

Warto zapytać, w jaki sposób ktoś taki jak ona będzie się zajmował kwestiami imigracji, nadzorem policji i bezpieczeństwa narodowego w obliczu rosnących problemów z prawem do azylu i przemytem ludzi przez kanał La Manche organizowanym przez albańskie gangi. Czy muzułmanka stanie w obronie kobiet atakowanych przez imigrantów pochodzenia muzułmańskiego?

PAŃSTWO SŁABE Z ZASADY

Wydarzenia rozgrywane się w Wielkiej Brytanii, a także makabryczna historia ze Stanów Zjednoczonych jaszkrawo pokazują bardzo niepokojący trend obejmujący cały świat Zachodu. Dotyczy on również Polski, choć wciąż tylko w niewielkiej skali. Jednak groźne zjawiska pojawiają się u nas z opóźnieniem ok. dwóch, trzech dekad i niestety zamiast uczyć się na błędach, zakompleksione społeczeństwo kierowane przez równie zakompleksione i skorumpowane elity polityczne ślepo naśladuje fałszywe wzorce. Choćby w przypadku fatalnych skutków imigracji zarobko-

wej, ściągania taniej siły roboczej i rozbijania spójności narodowej.

Ogólnie lewicowo-liberalne rządy przedkładają narracje ideologiczne i osobliwy model sprawiedliwości społecznej nad troskę o bezpieczeństwo rdzennych obywateli. Jednym z myślicieli politycznych, którzy ostrzegali Amerykę przed skutkami takiego kursu politycznego, był Samuel T. Francis. Znany raczej wnikliwym obserwatorem amerykańskiej sceny politycznej związanej z Partią Republikańską, której był przenikliwym krytykiem od wielu dekad. To on w swoim słynnym esej z 1994 r. opublikowanym w magazynie „Chronicles” zdefiniował ten stan jako anarchotyranię. Chodzi o syntezę opresyjnej władzy rządowej (policji, prokuratury, sądownictwa) przeciwko ludziom niewinnym, praworządnym i bezbronnym przy jednoczesnym i zaskakującym paraliżu zdolności lub woli wykorzystania tej władzy do wykonywania podstawowych obowiązków, takich jak ochrona lub bezpieczeństwo publiczne. Cechą charakterystyczną anarchotyranii jest to, że nie tylko nie udaje jej się ukarać przestępców i narzucić prawowitego porządku, lecz także kryminalizuje niewinnych, doprowadzając państwo lub jego pewne segmenty, do stanu anarchii. Więć przejawy owej anarchii, łącząc się z wieloma cechami tyranii, sprawiają, że niewinni i praworządni obywatele są karani przez państwo lub cierpią z powodu rażących naruszeń ich praw i wolności z rąk państwa. Zdaniem Francis’a w tym układzie właśnie owa represyjność jest prawdziwym celem komponentu tyranii.

Incydent w Szkocji pokazuje jak na dłoni, że imigrant czuje się bezkarny, a jego arogancja nie tylko nie spotka się z reakcją policji, lecz także sankcjonowana jest jakakolwiek samoobrona społeczna. W konsekwencji bezradność państwa prowokuje sytuację bliską rewolucji i ujawnienia się poważnych niepokojów społecznych, które zresztą już wybuchają regularnie. Ma to także swoje odzwierciedlenie w sondażach, które wskazują na rosnące poparcie dla partii Nigela Farage’a, a więc także nerwowość rządzącego establishmentu, któremu grozi utrata władzy.

Premier Starmer nieustannie jednak ignoruje obawy brytyjskich obywateli,

a w szczególności podstawowe przyczyny potencjalnych napięć, jakim jest destabilizujący społeczeństwo bezprecedensowy poziom imigracji. I wyraża tym, którzy biorąc sprawy w swoje ręce – nawet poprzez powielanie filmików i memów na Facebooku – postanawiają się konfrontować z coraz bardziej niebezpieczną mniejszością kolonizującą ich kraj.

Ten paradoks ilustrują również inne przykłady – z jednej strony Brytyjczyka Wayne’a O’Rourke’a, skazanego na trzy lata więzienia za „podżeganie do nienawiści rasowej” w internecie, i nielegalnego imigranta Afgańczyka Abdula Shokoora Ezediego skazanego jedynie na dziewięć tygodni więzienia za próbę gwałtu. Co więcej, zamiast chronić swoich obywateli i deportować Afgańczyka, po wyjściu z więzienia brytyjski rząd udzielił mu azylu, po czym ten zaatakował kwasem kobietę z dziećmi.

W USA anarchotyrania i tzw. dwupolizomowa policja szczególnie ujawniły się właśnie w czasie rządów Joe Bidena i demokratów, gdy wykazywano kompletną bierność w czasie zamieszek wywołanych przez uczestników protestów pod hasłem BLM, w czasie których niszczone publiczne i prywatne mienie. Ta celowa bierność policji była odczytywana jako zamierzona próba zastraszenia tej części społeczeństwa, która sympatyzowała z republikanami i Donaldem Trumpem.

* * *

To tylko kilka pierwszych z brzegu przykładów opisujących sytuację, gdy państwo liberalne forsujące lewicowe pomysły ideologiczne, takie jak równość, multikulturalizm, represyjną tolerancję i tzw. politykę tożsamości, przedkładają je ponad bezpieczeństwo obywateli. Przysmykając nawet oko na gwałty i przestępstwa pod groźbą oskarżenia o rasizm, piętrząc podejrzliwość i kolejne sankcje za jego przejawy. System, w którym państwo sprawuje wybiórczą i nadmierną kontrolę nad jedną grupą ludzi, jednocześnie nie utrzymując porządku i nie egzekwując praw wobec innej grupy dopuszczającej się zachowań przestępczych lub antyspołecznych, prowadzi do chaosu i rozpadu porządku politycznego. I o to pewnie chodzi.

Miesiąc miodowy Urbana



MICHAŁ MUZYCZUK

Przed wrześniowym zgrupowaniem piłkarskiej reprezentacji narodowej próżno było szukać wśród kibiców przesadnych optymistów. Nic dziwnego, bo znalezienie powodów do optymizmu – choćby umiarkowanego – wymagało niezdrowo pozytywnego podejścia do rzeczywistości. Obserwacja boiskowych wyczynów kadrowiczów i pozaboiskowych wydarzeń wokół reprezentacji wpędzała raczej w stany depresyjne

Kto dosłownie chwilę temu nie wątpił w potencjał kadry i umiejętności polskich piłkarzy, niech pierwszy rzuci kamieniem w stronę wszystkich narzekających. Ale wystarczyły dwa dobre mecze, promienny uśmiech selekcjonera debiutanta oraz garść miłych słów ze strony piłkarzy, żeby wajcha poszła w drugą stronę i po nadwiślańskiej ziemi rozlała się fala euforii.

Dziennikarze nagrodzili Jana Urbana na pomeczowej konferencji brawami, kibice przestali się martwić o przyszłość polskiej piłki nożnej, a wyjście z grupy powoli staje się planem minimum na

przyszłoroczny mundial. Warto lekko ściągnąć lejce, bo jednak najpierw trzeba na tym mundialu zagrać.

SIEKIERA JUŻ NIE WISI W POWIETRZU

Pogłoski o pozytywnym charakterze Jana Urbana, jego umiejętności zjednywania sobie ludzi i nienachalnego wzbudzania sympatii okazały się prawdą. Tego trenera nie sposób nie lubić jako człowieka, bo wydaje się w pełni szczerzy i otwarty. To miła odmiana po kadencji Michała Probierza, który preferował pracę w atmosferze ciągłego napięcia

i delikatnej wrogości. Oczywiście z biegiem czasu postrzeganie okresu jego panowania w kadrze ulega uproszczeniu. Przecież między Bogiem a prawdą Probiez to w żadnej mierze nie jest zły fachowiec, a w trenerskiej karierze ma podobne osiągnięcia jak jego następcą. Cięty i bezpardonowy sposób komunikacji z otoczeniem był przecież jeszcze kilka lat temu cechą, za którą dziennikarze i kibice cenili „polskiego Guardiolo”. Słynne słowa o tym, że po nieuczciwej jego zdaniem porażce Jagiellonii z Legią „wróci do domu i pierd...lnie sobie whisky, bo co mu zostało”, zapisały się na stałe w leksykonie bon motów polskich szkoleniowców.

Wrodzona złośliwość, wcześniej traktowana w kategoriach błyskotliwego awanturnictwa, zaczęła być postrzegana jako arogancja i zwykłe chamstwo. Wyniki go nie broniły, a wisienką na torcie była oczywiście czerwcową porażką z Finlandią w eliminacjach do mistrzostw świata. Piłkarze narzekali także na kilka osób z grona obsługi drużyny, które upubliczniały wewnętrzne sprawy szatni i tym samym budowały atmosferę nieufności. Probiez zapadł na syndrom obłożonej twierdzy. Gęstniejące wokół kadry powietrze pozwalające na zawieszenie w niej topora osiągnęło zenit wraz z aferą opaskową, która skończyła się krótkim rozbratem Roberta Lewandowskiego z drużyną narodową i odejściem Probieza w niesławie.

Jan Urban, człowiek z natury sympatyczny, jest dodatkowo od 30 lat systematycznie bombardowany promieniami hiszpańskiego słońca, które, jak wiadomo, ma zawierny wpływ na pogodę ducha. Zawsze woli widzieć szklankę do połowy pełną – w tej kwestii jawił się jako kompletne przeciwieństwo wiecznie naburmuszonego Probieza.

Przed wrześniowym zgrupowaniem najstarszy polski selekcjoner miał zaledwie półtora miesiąca na wypracowanie kontaktów z filarami kadry i rozwiązanie najbardziej palących problemów pozasportowych, do których należało przede wszystkim – zakończone sukcesem – namówienie „Lewego” do ponownego przywdziania narodowych barw i rozstrzygnięcie kwestii kapi-

tańskiej opaski, która oczywiście powróciła na ramię najlepszego polskiego piłkarza.

Sfera mentalna jest czynnikiem nieocenionym przy osiąganiu sportowych sukcesów, a pierwszy tydzień września był tego znakomitym przykładem. Jak mówił po zakończeniu zgrupowania Zbigniew Boniek: „Wróciła normalność, stabilizacja i przewidywalność”. Przecież nie jest tak, że Polacy za Probieza nie umieli grać i przez letnie miesiące nauczyli się podawać oraz strzelać, a nawet biegać. Widać było gołym

Na Stadionie Śląskim było widać, że mecz z Holendrami dodał zawodnikom pewności siebie. Biało-Czerwoni byli lepsi od Finów o kilka klas i udowodnili, że dramat w Helsinkach był jedynie nieszczęśliwym wypadkiem przy pracy, splotem wielu nieszczęśliwych okoliczności

niu kart, jesteśmy pełni optymizmu”. To było widoczne na boisku. Co warto podkreślić – selekcjoner nie urwał się z choinki i wie, że łaska kibica na pstrym koniu jeździ. Kiedy na konferencji przywitały go brawa, szybko uspokoił rozochoczonego dziennikarza słowami: „Wiem, jak blisko jest z nieba do piekła i odwrotnie”. Przecież Urban to nie gość z pierwszej lepszej łapanki, a stary piłkarski wyga. Do dziś fetują go w niejednym klubie, ale też z niejednego klubu odchodził, nie wymieniając serdecznych uścisków z zarządem czy kibicami. Ot, taka dola trenera. Kto wybiera tę profesję, ma prawo i wręcz powinien marzyć o przyszłych peanach chwalaących swoją nadludzką przenikliwość, ale równocześnie musi być przygotowany na paszkwile podające w wątpliwość nawet podstawowe szkoleniowe umiejętności i taktyczną fachowość. Urban jest teraz na fali wznoszącej, ale przecież nie dlatego, że ma ładny uśmiech i jest sympatyczny – obroniły go wyniki z Rotterdamu i Chorzowa.

PIŁKARZE POTRAFIĄ GRAĆ I STWORZYĆ DRUŻYNĘ

okiem, że w czerwcu reprezentanci grali jakby za karę, bez energii, radości i pasji, które są przecież największymi sojusznikami skutecznej i pięknej gry w piłkę. We wrześniu odzyskali serce do gry i zaciętość do walki o piłkę na każdym centymetrze murawy, a ich wcześniejsze marsowe miny zastąpiło zadowolenie po licznych udanych zagraniach.

Jan Urban nie zrobił niczego niesamowitego, ale jak się okazuje, właśnie te najprostsze i najbardziej podstawowe sprawy są najtrudniejsze w realizacji. Wystarczyło wpuszczenie świeżego powietrza i kilka głębokich oddechów, a po morowej stęchłości nie ma już śladu. Przed meczami Lewandowski mówił z niekłamną radością: „Mamy dobre nastawienie przy nowym rozda-

Najtrudniejsza okazała się dla selekcjonera... selekcja. Przed zgrupowaniem Jan Urban miał spory ból głowy, bo piłkarzy będących w dobrej dyspozycji i grających regularnie w klubach z europejskiej czołówki wcale nie mamy na ręczki. Pod koniec sierpnia zarówno cała rzesza zawodników stanowiących o sile kadry w poprzednich latach, jak i orbitujących w sferze zainteresowań selekcjonerów, pozostawała w momencie zmiany barw klubowych, walki o miejsce w składzie czy powrotu do formy po kontuzji. Wśród powołań było kilka niespodzianek: Paweł Wszołek, Bartosz Kapustka i Kamil Grosicki z polskiej ligi, długo nieobecni Kamil Grabara i Tomasz Kędzior, debiutanci Jan Ziółkowski, Arkadiusz Pyrką oraz przede wszystkim Przemysław Wiśniewski.



We wcześniejszych meczach kadra prezentowała się mizernie, dostosowywała się do rywala, nie posiadała żadnej tożsamości. Oczywiście Urban nie miał szans, żeby podczas jednego czy dwóch treningów wpoić piłkarzom zupełnie nową koncepcję gry i mocno namieszać w taktyce, ale wszyscy się spodziewali, że w starciu z faworyzowaną Holandią zagra preferowanym przez siebie ustawieniem z czwórką obrońców. Tymczasem selekcjoner w ostatniej chwili zmienił zdanie i zaskoczył ustawieniem z piątką defensorów, zagęszczając środek pola, czym skutecznie pokrzyżował szyki rywalowi i na stadionie Feyenoordu uzyskał jakże cenny remis. Czerwcową porażką z Finlandią bardzo skomplikowała sytuację Polski w grupie eliminacyjnej, a mecz z Holandią wielu traktowało jako przykrą konieczność, bez szans na jakąś zdobycz. Tymczasem udało się ugrać punkt, a Polacy pokazali – tylko i aż – dyscyplinę w trzymaniu się prostej, ale nie prostej taktyki. Mocny pressing, świetna gra w obronie i groźne kontrataki zniwelowały przewagę Holendrów w dziedzinie piłkarskich umiejętności. Strzałem w dziesiątkę okazało się postawienie na Przemysław Wiśniewskiego, bo obrońca wypatrzony w Spezii grającej w Serie B zagrał po profesorsku. Zwycięską bramkę strzelił

Matty Cash, świetnie spisywał się Jakub Kamiński, a zmiennicy, z Pawłem Wszółkiem na czele, wnieśli do gry coś ekstra.

Urban tonował nastroje, słusznie podkreślając, że remis z Holandią nic nie znaczy, jeśli z Finlandią Polska nie ugra trzech punktów. Na Stadionie Śląskim było widać, że poprzedni mecz dodał zawodnikom pewności siebie. Biało-Czerwoni byli lepsi od Finów o kilka klas i udowodnili, że dramat w Helsinkach był jedynie nieszczęśliwym wypadkiem przy pracy, splotem wielu nieszczęśliwych okoliczności. W Chorzwie pojawiła się na murawie jedenastka znana z Rotterdamu, a do siatki znów trafił Cash. Wreszcie drogę do bramki znalazł też Robert Lewandowski, któremu genialną asystę zaserwował rozgrywający setny mecz w kadrze Zieliński. Trzeciego gola strzelił Jakub Kamiński, który jest zdecydowanie największym wygranym zgrupowania. W zgodnej opinii ekspertów i kibiców 23-latek z Rudy Śląskiej zaskakująco naturalnie wchodzi w buty sędziwych liderów reprezentacji i już za parę lat będzie nie tylko jej największą gwiazdą, lecz także kapitanem.

Polska jest na drugim miejscu w grupie i dzięki trafnym decyzjom Jana

Urbana oraz dobrej, a momentami znakomitej postawie zawodników ma przed sobą nieskomplikowaną drogę do baraży o udział w mistrzostwach świata 2026. To tam znacznie się prawdziwa gra o wszystko, bo w turnieju barażowym staną do walki mocne i bardzo dobre reprezentacje – wszak bezpośredni awans jest udziałem tylko zwycięzców grup eliminacyjnych. Ale po wrześnieowym zgrupowaniu mamy wreszcie powody do optymizmu, którego potrzebowaliśmy jak tlenu.

Oczywiście miesiąc miodowy Jana Urbana szybko się skończy. Zapewne już pierwsza porażka będzie przyczynkiem do podniesienia mocno krytycznych głosów. Ale póki co cieszymy się, bo pierwszy raz od dawna reprezentacja narodowa nie jest powodem frustracji. Na jej mecze można czekać – tak po ludzku – z radością. Po prostu dobrze ogląda się umiających grać w piłkę zawodników, którzy mają ochotę to robić. Zresztą sam Urban podsumował minione zgrupowanie najprościej i najlepiej: „Jest fajna atmosfera, w jakimś stopniu już doprowadziliśmy do tego, że zawodnicy będą chcieli przyjeżdżać na kadrę”. Ale jednak warto mieć obie nogi na ziemi. Po to, żeby się nie udusić w tej różowej chmurce i nie udławić tym słodkim ciastkiem.

Ostatni banderowcy w polskich lasach

Jesienią 1947 r. w lubaczowskich lasach otoczony przez KBW Jarosław Staruch „Stiah”, kierujący strukturami OUN-UPA na zachód od linii Curzona, popełnił w swoim bunkrze samobójstwo, by nie wpaść w ręce komunistów. Był to symboliczny koniec długiej i krwawej obecności ukraińskiego podziemia w Polsce, które – mimo akcji „Wisła” i sowieckiej presji – walczyło zarówno z Polakami, jak i nową władzą komunistyczną



Schwytani członkowie UPA pod strażą żołnierzy LWP (kwiecień–maj 1947 r.)



STANISŁAW PŁUŻAŃSKI

Jarosław Mychajło Tymotejowycz Staruch urodził się 17 listopada 1910 r. w Słobodzie Złotej, wówczas należącej do monarchii Austro-Węgierskiej, w województwie tarnopolskim. Studiował prawo na Uniwersytecie Jana Kazimierza we

Lwowie, a jednocześnie angażował się w działalność społeczną i narodową – był organizatorem kursów nacjonalistycznych w klubach Proswity, jednej z głównych instytucji ukraińskiego życia kulturalnego.

„DOBOROWE” TOWARZYSTWO

Po zabójstwie ministra spraw wewnętrznych Bronisława Pierackiego w 1934 r. został aresztowany i jako jeden z pierwszych więźniów trafił do nowo utworzonego obozu odosobnienia w Berezie Kartuskiej. Tam osadzono go razem z działaczami, takimi jak Roman

Szuchewycz, Wołodymyr Horbowy czy Stepan Bandera.

Po zwolnieniu kontynuował działalność polityczną – został zastępcą krajowego przewodniczącego Organizacji Ukraińskich Nacjonalistów i członkiem Egzekutywy Krajowej. W 1939 r. sąd w Równem skazał go na 13 lat więzienia, jednak nie zdążył odbyć kary, gdyż wybuch II wojny światowej przekreślił wyrok. Po zakończeniu kampanii wrześniowej przeniósł się do Krakowa, na teren okupacji niemieckiej.

Po ogłoszeniu 30 czerwca 1941 r. we Lwowie proklamacji niepodległości Ukrainy Staruch objął stanowisko odpowiedzialnego za propagandę w rządzie Jarosława Stečki. Jednak już 4 grudnia 1942 r. został aresztowany przez Gestapo i osadzony w więzieniu przy ul. Łąckiego. 13 września 1943 r. udało się go uwolnić dzięki spektakularnej akcji OUN-B – wykorzystano fałszywy blankiet doprowadzenia na przesłuchanie przygotowany na podstawie grypsu od współwięźnia Lecha Sadowskiego. W akcji uczestniczyło sześciu Ukraińców z formacji Sonderdienst, którzy zdezerterowali z niej po ucieczce Starucha i Dmytra Hrycaja.

UZASADNIANIE RZEZI WOŁYŃSKIEJ

W tym okresie UPA, powstała w 1942 r. jako zbrojne ramię banderowskiej OUN, rozpoczęła zakrojoną na szeroką skalę eksterminację Polaków na Kresach Wschodnich II RP. W 1943 r. na Wołyniu, a rok później w Małopolsce Wschodniej przeprowadzono planowe czystki etniczne, które pochłonęły życie ok. 130 tys. osób – w większości kobiet, dzieci i starców. Ci, którzy ocalili, uciekali w głąb kraju, organizowali oddziały samoobrony albo wstępowali do polskich, sowieckich czy nawet niemieckich formacji wojskowych.

Jarosław Staruch był wówczas jednym z kluczowych organizatorów polityczno-medialnego zaplecza UPA. Od jesieni 1943 r. do lata 1944 r. kierował radiostacją Samostijna Ukraina, prowadząc szeroką akcję propagandową, która miała uzasadniać mordowanie Polaków jako element walki o niepodległe państwo ukraińskie. Zasiadał także w Ukra-

inńskiej Głównej Radzie Wyzwoleńczej i w Głównym Sztabie Wojskowym UPA, współdecydując o kierunkach działalności całego podziemia.

W wyniku ludobójstwa dokonanego przez OUN i UPA oraz decyzji o przyłączeniu większości Kresów Południowo-Wschodnich Rzeczypospolitej do Ukraińskiej SRR w 1944 r. setki tysięcy Polaków musiały opuścić ziemie, które znalazły się poza granicami Polski. W lipcu 1944 r. PKWN i Moskwa podpisały układ o granicy, a kilka tygodni później zawarto umowę o wymianie ludności. W efekcie z Polski przesiedlono ok. 480 tys. Ukraińców, a z terenów wschodnich wysiedlono kilkaset tysięcy Polaków. Mimo to w granicach powojennej Polski pozostało blisko 200 tys. Ukraińców, co zapewniało UPA zaplecze i poparcie.

VI OKRĘG „SIAN”

Jeszcze w czasie okupacji niemieckiej, w styczniu 1944 r., powołano VI Okręg Wojskowy UPA „Sian”, obejmujący południowo-wschodnią część dzisiejszej Polski. Po wkroczeniu Armii Czerwonej oddziały UPA wycofały się w Karpaty, lecz jesienią zaczęły powracać, wykorzystując napiętą sytuację narodowościową i słabą kontrolę nowej komunistycznej administracji.

Ukraińskie podziemie starało się przeciwstawiać akcji wysiedleńczej prowadzonej przez Sowietów i polskich komunistów. Ich celem było oderwanie od Polski kilkunastu przygranicznych powiatów – Łemkowszczyzny, Nadsania, Chełmszczyzny i Podlasia. Za „ziemie prastarej Rusi” uważano nawet regiony o zwartym polskim zaludnieniu, np. Rzeszów. Niektórzy członkowie UPA wierzyli, że na oderwanych ziemiach uda się stworzyć odrębne państwo.

Po przesunięciu granic w 1944 r. Jarosław Staruch został mianowany prowidnykiem (prowodyrem) OUN na tzw. Zakierzoński Kraj, czyli obszarze Polski leżący na zachód od linii Curzona. Kierował całością struktur polityczno-wojskowych ukraińskiego podziemia, koordynując działania UPA w Bieszczadach, na Podkarpaciu, Rostotcu

i Lubelszczyźnie. Wydawał rozkazy nakazujące niszczenie wsi opuszczonych przez Ukraińców, by uniemożliwić osiedlanie się w nich Polaków. W jednym z dokumentów z 1945 r. pisał: „Spalić wsie, w których nie ma już Ukraińców, bo to wróg będzie chciał je zasiedlać”. Pod jego przywództwem oddziały UPA prowadziły intensywną walkę z komunistyczną administracją w Polsce.

WOJNA W BIESZCZADACH

Bojówki UPA prowadziły brutalne działania wobec polskiej ludności i wojska. Niszczono posterunki, atakowano stacje, odcinano zaopatrzenie, niszczonego infrastruktury, palono polskie wsie

Mimo klęski głównych sił niektórzy członkowie UPA ukrywali się w Polsce jeszcze długo. Najdłużej w ukryciu pozostawał Omelan Pleczeń „Czaban”, który w leśnych bunkrach spędził dziewięć lat. Ujawnił się dopiero w czasie amnestii w 1956 r.

i blokowano wysiedlenia ludności ukraińskiej. W połowie 1945 r. sotnie oparowały obszar od Jaślik po Tomaszów Lubelski, całkowicie paraliżując życie na tych terenach. Bieszczady stały się ich bazą strategiczną – górzysty, trudno dostępny teren, zaplecze w postaci żyznej ludności i dogodny szlak na Czecho-słowację czyniły z regionu idealne miejsce dla działalności podziemia. OUN i UPA za wszelką cenę chciały utrzymać tę pozycję, aby oddziały mogły się tam chronić, a kurierzy swobodnie docierać dalej na Zachód.

Sotnie liczące po 100–200 ludzi były dobrze uzbrojone i działały w terenie,

który znakomicie znaly. Dysponowały własnymi szpitalami polowymi, magazynami, bunkrami, siecią wywiadowczą oraz doświadczonymi dowódcami, takimi jak Iwan Szpontak „Konyk”, Mychajło Duda „Hromenko” czy sam Staruch „Stiah”. W rezultacie brutalnych działań ukraińskich oddziałów ginęły dziesiątki żołnierzy i cywilów, a wsie na wschód od Sanu pustoszały.

W tym samym czasie, gdy na wschód od Sanu trwał terror sotni UPA pustoszących wsie i atakujących polskie posterunki, na dawnych Kresach Wschodnich Polacy nadal padali ofiarą zorganizowanych mordów. Tragicznym przykładem tej fali zbrodni była masakra w Puźnikach na Podolu, gdzie 12 lutego 1945 r. oddziały UPA zamordowały blisko 120 polskich mieszkańców wsi – głównie kobiety, dzieci i starców. Ukraińskie ludobójstwo na Kresach nie zakończyło się bowiem wraz z II wojną światową.

19 marca 1946 r. sotnie UPA przypuściły szturm na strażnicę WOP w Jasielu. Po kilku godzinach walki obrońcom zabrakło amunicji i ponad 90 osób dostało się do niewoli. Dwudziestu wypuszczono, lecz resztę – żołnierzy WOP i funkcjonariuszy MO – związano drutem i zamordowano w wyjątkowo okrutny sposób. Była to jedna z największych akcji UPA w Polsce.

W tym samym miesiącu oddziały uderzyły na strażnice wzdłuż bieszczadzkiego pogranicza z Czechosłowacją, likwidując wszystkie placówki i faktycznie otwierając granicę. Dzięki temu UPA swobodnie przerzucała ludzi i sprzęt na szlakach prowadzących z sowieckiej Ukrainy na Zachód.

GRUPA OPERACYJNA „WISŁA”

Momentem przełomowym w walce z UPA było powołanie 20 kwietnia 1947 r. Grupy Operacyjnej „Wisła”. Jej zadaniem była likwidacja nacjonalistycznego podziemia na pograniczu – w rejonie Lubaczowa, Przemyśla i Sanoka – oraz przeprowadzenie masowych wysiedleń ludności ukraińskiej na tzw. Ziemię Odzyskaną. Była to operacja znana dzisiaj jako akcja

„Wisła”. Formalną decyzję w tej sprawie podjęło Biuro Polityczne KC PPR już 29 marca 1947 r. Sama akcja trwała od 28 kwietnia tego roku do końca lipca, choć ostatnie przesiedlenia miały miejsce jeszcze w 1950 r. Równoległe do akcji wysiedleńczej wojsko i KBW przeprowadzały szeroko zakrojone obławy w pobliskich lasach, m.in. latem 1947 r. objęto nimi tereny Lubaczowa, gdzie ukrywał się „Stiaha”.

W trakcie działań rozbito 17 sotni UPA (ok. 1,5 tys. ludzi), a 2,9 tys. aktywnych lub podejrzanych członków OUN trafiło do więzień lub obozów pracy, m.in. w Jaworznie. Wysiedlono wówczas ponad 140 tys. osób cywilnych. Konsekwencją było częściowe wyludnienie Roztocza, Pogórza Przemyskiego, Bieszczadów i Beskidu Niskiego oraz zagłada dziedzictwa kulturowego tych regionów – z mapy zniknęło kilkadziesiąt miejscowości. UPA straciła ok. 70 proc. stanu osobowego oraz niemal całą bazę zaopatrzeniową na terenie województwa rzeszowskiego.

EWAKUACJA NA ZACHÓD I NA WSCHÓD

Jarosław Staruch próbował ratować organizację, wydając rozkazy o niszczeniu wsi i stawianiu oporu przesiedleniom. Jednak jego wysiłki nie mogły powstrzymać rozbicia podziemia ukraińskiego. UPA nie była w stanie prowadzić dalszej walki w Polsce. Już w maju 1947 r. pod wpływem działań Wojska Polskiego dowódcy sotni w porozumieniu z kierownictwem OUN i dowództwem UPA otrzymali rozkaz ewakuacji części oddziałów na Zachód. Pierwszym, który 17 czerwca 1947 r. przekroczył granicę Polski i Czechosłowacji, był oddział Szturmowiec-2 pod dowództwem Mychajła Dudy „Hromenki”. Kilka dni później, 22 czerwca, granicę przekroczyły trzy kolejne kompanie 2. Batalionu Przemyskiego. Do Niemiec przedarła się też sotnia Brodyczka.

Inne decydowały się na powrót do Związku Sowieckiego, by kontynuować walkę. Tak zrobiły sotnie Stacha, Bira



Jarosław Mychajło Tymotejowycz Staruch

oraz odpowiedzialna za zbrodnię w Jasielu sotnia dowodzona przez Stepana Stebelskiego „China”. Brała ona również udział w zasadzce na gen. Karola Świerczewskiego pod Jabłonkami 28 marca 1947 r. Na terytorium ZSRR przedostała się 29 czerwca 1947 r. w rejonie Sianek, a sam Stebelski został dowódcą 24. Oddziału Taktycznego „Makiwka”.

3 września 1949 r. rozkazem Naczelnego Dowódcy UPA rozformowano wszystkie pozostałe sotnie i włączono w struktury podziemia, a „Chrina” wysłano na Zachód. Stebelski zginął 9 września 1949 r. w czasie walki z wojskiem czechosłowackim w rejonie wsi Pohořelice koło Zlina, dowodząc grupą kurierów próbujących przedostać się do Monachium.

W KONSPIRACJI

Ci, którzy zostali w Polsce, na rozkaz „Stiaha” mieli się głęboko zakonspirować i ukryć na Ziemiach Odzyskanych lub na wschodzie Polski. 7 września 1947 r. po kilku godzinach walki popełnił samobójstwo otoczony przez 9. Dywizję Piechoty WP. Jarosław Staruch ukrywał się w wykrytym bunkrze na stokach wzgórza Mona-

sterz koło Werchraty w Lasach Monastyrskich. Jego śmierć stała się symbolem końca zorganizowanej działalności OUN-UPA w Polsce. Dowódca UPA w Polsce Myrosław Onyszkewycz schronił się na Dolnym Śląsku, ale został rozpoznany i aresztowany w 1948 r. Pozbawione oparcia logistycznego kurenie UPA przedzierały się przez granicę z Czechosłowacją i Austrią do amerykańskiej strefy okupacyjnej Niemiec. W Polsce pozostały jedynie niewielkie grupy łącznikowe, które miały obsługiwać tajne skrytki pocztowe i utrzymywać kontakt podziemia z Zachodem. Ich działalność trwała do jesieni 1948 r. Walka zbrojna UPA została ograniczona wyłącznie do zachodnich obwodów ZSRR.

Mimo klęski głównych sił niektórzy członkowie UPA ukrywali się w Polsce jeszcze długo.

Najdłużej w ukryciu pozostawał Omełan Pleczeń „Czaban”, który w leśnych bunkrach spędził dziewięć lat. Z Wołyniem nie miał nic wspólnego, ale brał udział w akcjach na Pogórzu Przemyskim. Po akcji „Wisła” miał za zadanie sprawdzać tajne skrytki pocztowe. Przez lata korzystał z pomocy Polaków i nielicznych Ukraińców z rodzin mieszkających, którzy nie zostali wysiedleni. Ujawnił się dopiero w czasie amnestii w 1956 r., a kilka lat później – w 1963 r. – wyemigrował do USA. Wraz z nim amnestii wykorzystał m.in. Stepan Soroczak „Kruk”, z którym Pleczeń ukrywał się w bunkrze.

W swoich wspomnieniach „ostatni banderowiec PRL” nie krył negatywnych emocji wobec Polaków, ale jednocześnie wyrażał wdzięczność wobec tych, którzy przez lata udzielali mu schronienia, żywili go i opatrywali rany. Jak sam pisał, bez ich pomocy nie dożyłby amnestii. Z kolei w miejscu śmierci „Stiaha” w latach 90. XX w. nielegalnie postawiono pomnik dowódcy OUN-UPA. Miejsce pamięci wielokrotnie niszczone i odbudowywano. To, co zostało po monumencie, jest regularnie odwiedzane przez ukraińskie wycieczki w Polsce.



Jak ogień i woda

„Czasami ogień trzeba trochę przygasić, a innym razem wodę podgrzać”. Taki przepis na udany związek mają Dorota Choteczka i Radosław Pazura, którzy po raz pierwszy spotkali się na teatralnej scenie. W spektaklu pełnym komediowo-kryminalno-aktorskich zaskoczeń

Z aktorami *Dorotą Chotecką* i *Radosławem Pazurą* rozmawia Jolanta Gajda-Zadworna

Od lat tworzą państwo zgrany duet, choć z odrębnymi nazwiskami. Jak – na szybko – razem się przedstawicie?

Dorota Chotecka, Radosław Pazura [*zgodnie*]: Pazurki.

W tym określeniu jest i odrobina dra pieżności, i łagodność. Ma to jakieś przełożenie na charakter waszego związku i was w nim?

R.P.: Owszem, łagodność jest, ale jak ktoś zajdzie za skórę, to może się spotkać z wysuniętymi pazurkami [*uśmiech*].

W waszym najnowszym wspólnym projekcie nie zabrakło i odrobiny dra pieżności, i zaskoczenia, i dynamiki, i humoru. Ale też nieoczywistych ról.

D.Ch.: Za to cenimy i kochamy nasz zawód. Za możliwości, wyzwania, nieprzewidywalność i szanse rozwoju, których czasem sami byśmy nie zaplanowali.

R.P.: Każde z nas miało kilka wyjątkowych wyzwań. U Doroty jedno z nich jest szczególnie spektakularne.

Nie ma to jak mąż doceniający żonę.

D.Ch.: Oczywiście, ale działa to też w drugą stronę.

Jesteście parą w życiu, a czy stawaliście razem przed kamerami?

D.Ch.: Naszym pierwszym wspólnym filmem było „Pożegnanie z Marią” (1993) Filipa Żylbera. To był mój fabularny debiut, zaraz po szkole, łódzkiej filmówce. Później spotkaliśmy się w kilku spektaklach Teatru TV i na planie kilku seriali, m.in. „Policjantów” Łukasza Wyleżalka, gdzie zagraliśmy ekranową parę.

Czyli udało się wam przed kamerami spojrzeć sobie głęboko w oczy?

R.P.: Nawet się pocałowaliśmy.

Było więc też gorąco. Czy podobnie jak teraz, gdy po raz pierwszy gracie razem w teatrze?

D.Ch.: Mamy tu wspólną scenę, natomiast – żeby za dużo nie zdradzać – jesteśmy w tej historii razem, ale osobno.

Jednak gdy bohater grany przez Radosława krzyczy z mocą: „Doo-rootaaa!” – choć dotyczy to innej niż tworzona przez panią postaci tej sztuki – brzmi bardzo przekonująco.

R.P.: To imię mocno we mnie tkwi [*uśmiech*]. Warto jednak zauważyć, że w spektaklu „Opiekunka na zabój”, który za chwilę ma premierę w warszawskim Teatrze Kamienica, Dorota gra główną rolę, a ja tylko barwny epizod.

D.Ch.: Ja się namęczę, bo nie schodzę ze sceny przez ponad dwie godziny, a on wskakuje na 15 minut i wymiata, zbierając burzę oklasków [*śmiech*].

Czyli dobrze czy niedobrze spotykać się w małżeńskim duecie w pracy?

R.P.: Już od szkoły aktorskiej słysze liśmy, że małżeństwa nie powinny razem występować, więc przez lata, nawet jeśli pojawiały się takie propozycje, odrzucaliśmy je, żeby nie wpaść w pułapkę, którą nas straszono, a teraz – z bagażem życiowym i zawodowym, jaki mamy...

D.Ch.:...uważamy, że to fantastyczne doświadczenie.

Jesteście 22 lata po ślubie...

R.P.:...ale razem już...

D.Ch.:...36.

R.P.: Wspólne granie ma same zalety – żona mi dużo podpowiada, ja mogłem ją obserwować na próbach. Trzecie oko jest niezwykle ważne. Kiedy oprócz reżysera obok jest jeszcze ktoś, kto spojrzy z boku – serdecznie, ale także trzeźwo.

D.Ch.: Ktoś, komu bardzo ufasz.

R.P.: Tak. Z pozycji kibica łatwiej coś ocenić. I podpowiedzieć. Bo jak się kogoś kocha, to podpowiesz najlepsze rzeczy, a nie przeszkodzisz.

Życzliwa odpowiedź jest ważna, zwłaszcza gdy rola „gra też” trochę z wizerunkiem i charakterem aktora. Kiedy prywatnie atrakcyjna, świadoma siebie kobieta staje się na scenie swoją przeciwnością, a wywa-

żony, łagodny mężczyzna wciela się w rolę gangsterskiego macho. Czy to był jeden z powodów, dla którego zdecydowaliście się wcielić w tak inne od was postacie?

D.Ch.: Zofia Kramarczyk, która rozpoczyna pracę w prestiżowym Miasteczku Wilanów, nie jest zwykłą opiekunką. Choć strój może sugerować coś innego.

Współautorka sztuki i jej reżyserka (zawodowo przede wszystkim aktorka) Aldona Jankowska mówi o Zofii, że to kobieta, która zrezygnowała ze wszystkich swoich atutów.

D.Ch.: Kiedy dostałam sztukę do przeczytania, myślałam, że proponowana jest mi rola Alicji, „pani na Wilanowie”. Jakież było moje zaskoczenie, gdy usłyszałam, że chodzi o tytułową postać. Tyle lat jestem w zawodzie i nie sądziłam, że coś może mnie jeszcze zaskoczyć, a Aldona pokazała mi, że jest we mnie jeszcze bardzo dużo emocjonalnych możliwości. I to jest fantastyczne. Jestem wdzięczna za zawód, który uprawiam. Za to, że robiąc to, co lubię, wciąż mogę się w tym rozwijać i sprawdzać.

A jak się pani podoba mąż w roli macho – ze złotymi łańcuchami na szyi i rękach, w opiętej koszuli i z bronią za paskiem?

D.Ch.: Podoba mi się w każdej odsłonie, ale tu widziałam też reakcję widzów – publiczność szaleje.

Pojawiła się odrobina zazdrości?

D.Ch.: Nie. I to jest super.

Czyli w prywatnych okolicznościach, od czasu do czasu, pan Radosław mógłby się tak ubrać?

D.Ch.: No może wtedy byłabym trochę zazdrosna, ale na scenie – nigdy w życiu.

R.P.: Aldona Jankowska okazała się reżyserką, która potrafi wyciągnąć z aktora nawet to, czego się po sobie nie spodziewał [*uśmiech*]. I to jest niezwykle cenne.

Patrzę na państwa: „ogień woda”, a jednocześnie widzę niesamowite porozumienie „ponad słowami”. Jak udaje się wam tak świetnie dogadywać?



R.P.: Czasami ogień trzeba trochę przygasić, a innym razem wodę podgrzać [tu potakujący uśmiech Doroty].

W duecie, choć osobno, będziemy mogli oglądać państwa w Teatrze Kamienica. Co poza tym dzieje się u was zawodowo?

D.Ch.: Dosłownie na dniach skończyłam zdjęcia do filmu „Kocham was”. To kinowy, fabularny film, w którym zagrałam Alicję Lenczewską, polską mistyczkę. Ogromne wyzwanie. Także dlatego, że opowiadamy historię, w której wcielałam się w bohaterkę trzydziestosześcioletnią, potem pięćdziesięcio-, sześćdziesięcioletnią i na koniec osiemdziesięciokilkuletnią. Alicja Lenczewska, którą przyszło mi zagrać, była osobą niezwykłą i fascynującą, sięgającą głęboko zarówno w sferę duchową, jak i ludzką. Określiłabym ją jako „chrześcijańską feministkę”.

R.P.: Gdyby tak spektakularna rola przydarzyła się komuś w Hollywood, Oscar byłby w zasięgu ręki.

Dwie bardzo różne główne bohaterki i – w podobnym czasie – wymagające kinowe zdjęcia oraz ostatnie próby

przed teatralną premierą... Aktorka potrafi?

D.Ch.: Czuję się totalnie wyeksploatowana, a zarazem szczęśliwa. I z radością gotowa do spotkań z widzami w teatrze. Poza premierową „Opiekunką na zabój” zapraszam na spektakl „Kobieta, która ugotowała męża” (do Teatru Kamienica) oraz inne spektakle, z którymi będziemy jeździć po Polsce. Wystąpiłam jeszcze w poruszającym teledysku „Proszę tańczyć” Kayah i Dawida Kwiatkowskiego. W tym roku udało mi się współtworzyć naprawdę wartościowe i piękne projekty. Dla aktora – marzenie.

A co z zapowiedziami kontynuacji serialu „Ranczo”, w którym grała pani Krystynę Więclawską?

D.Ch.: Tyle razy mówiło się o powrocie na plan i na tym się kończyło, że na razie na nic się nie nastawiam.

Jak państwo sądzicie – z aktorskiej perspektywy – czy uda się wejść w atmosferę dawnych Wilkowyj, a zarazem pokazać prawdę ich współczesnej wersji?

R.P.: „Ranczo” to fenomen – nieprawdopodobny kunszt scenarzystów i role pisane pod aktorów.

Postać Więclawskiej też?

D.Ch.: Na początku nie, w pierwszej serii miałam trzy dni zdjęciowe.

R.P.: Ale jak już stworzyłaś postać, powstała rozwojowa rola.

Od właścicielki lokalnego sklepu do ambitnej pani wójt, która przejmując urząd po Amerykance [warto przypomnieć, że postać pierwszego męża Lucy, w kinowym „Ranczo Wilkowyje”, stworzył Radosław Pazura – przyp. red.].

D.Ch.: Swoją drogą, w filmie o Alicji Lenczewskiej rodzzonego brata bohaterki zagrał Sławomir Orzechowski [Grzegorz Wargacz z „Rancza” – przyp. red.]. Wspaniały aktor.

Wielu widzów czeka na dalszy ciąg „Rancza”. A jaka jest szansa na inne państwa wspólne aktorskie działania?

D.Ch.: Może odważymy się i wyprodukujemy coś razem. Od lat mamy bardzo dobry i wyłącznie życzliwy odbiór zarówno ze strony publiczności, jak i ludzi spotykanych w codziennych sytuacjach. Jesteśmy za to bardzo wdzięczni.



HITY I KITY
ZAREMBY



Chopin osobisty, nie narodowy

Film „Chopin, Chopin!” Michała Kwiecińskiego wchodzi na ekrany 10 października. Zobaczyłem go już teraz. Obraz o mitycznym kompozytorze robi wrażenie

Producent Michał Kwieciński lubi wracać do reżyserowania, a sukces jego „Filipa” musiał go dodatkowo zachęcać. Wówczas sięgnął do II wojny światowej z prozy Leopolda Tyrmanda. Pomysł opowiedzenia sporego fragmentu biografii wielkiego muzyka podrzucił mu aktor Eryk Kulm. Był gwiazdą „Filipa”. Nowy film powstał jakby dla niego.

To obraz efektowny. Poznajemy Fryderyka Chopina w 1835 r., już jako celebrytę, muzyka robiącego karierę w Paryżu. Oglądamy więc widowiskowe sceny zbiorowe, świat koncertów i przyjęć, a także rozedrgane, pełne tłumów paryskie ulice. Operator Michał Sobociński oraz scenografowie Katarzyna Sobańska i Marcel Sławiński to współtwórcy klasy tej produkcji. Dotyczy to także ścieżki dźwiękowej. Muzyka to pełnoprawny bohater tej opowieści.

Na pokazie prasowym Kwieciński zastrzegł: to nie będzie „narodowy Chopin”, to będzie „mój Chopin”. I to prawda. Jego Fryderyk wypowiada kilka kwestii dotyczących jego relacji z Polską (najmocniejszą, kiedy dostaje obywatelstwo francuskie od króla Ludwika Filipa), ale to tylko dygresje. Agnieszka Lipiec-Wróblewska próbowała pokazać Chopina na tle polskiej emigra-

cji – w telewizyjnym „Fryderyku”. Tu jej w zasadzie nie widzimy poza jego dwoma przyjaciółmi: lekarzem Janem Matuszyńskim i muzykiem Julianem Fontaną. Większe znaczenie ma przyjaźń Chopina z Węgrem Franciszkiem Lisztem i jego osobiste problemy: walka z gruźlicą przez cały film.

Powinien zwolnić tempo życia, ale trochę nie chce, jest człowiekiem zbyt czynnym, a trochę nie może, bo zarabia lekcjami, koncertami i występami na przyjęciach. Jest zarazem – zgodnie z tamtą społeczną logiką – bożyszczem i sługą. Jest też typowym artystą, dla którego nie istnieje prawie nic poza twórczością. Ma przyjaciół, ale nie umie kochać.

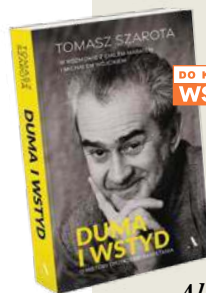
Kwieciński wraz ze scenarzystą Bartoszem Janiszewskim pozmieniali wiele epizodów z życia Chopina. Owszem, jest romans z pisarką George Sand, ale okrojony. Wyprawa na Majorce wyglądała trochę inaczej, film pomija późniejsze etapy łącznie z „latem w Nohant” opisanym przez Jarosława Iwaszkiewicza. Nie dowiemy się, że Sand miała dorosłe dzieci walczące z kochankiem matki. Skądinąd zmiany nie zawsze są neutralne co do wymowy. Wiadomo, że Chopin umarł bardzo po katolicku. W filmie tego nie ma.

Kwiecińskiemu udało się za to oddać groźbę życia w cieniu śmierci. Nie tylko w cieniu zagrożenia wiszącego nad głową kompozytora, lecz także innych zgłównów, o które było wtedy znacznie łatwiej niż dziś. To film o permanentnej stracie. Równocześnie, choć Chopin wydaje się chwilami niemal potworem, jest też człowiekiem ujmującym, chłopięco bezradnym. Walczącym o swoją sztukę w świecie, w którym musi się kłaniać i podlizywać.

Eryk Kulm nie znika z ekranu ani na moment. To wielka rola, balansująca między czarującymi popisami i prawdziwym cierpieniem. Od tej chwili to będzie dla mnie twarz Chopina. Świetna jest Joséphine de La Baume jako George Sand czy Victor Meutelet (jedna z gwiazd „Filipa”) jako Liszt. Międzynarodowy aktor Lambert Wilson to jako Ludwik Filip tylko ozdobnik, ale jakże sugestywny. Młody pianista Théo Grundman Brechet gra Carla, niemal jedyną istotę, która wyzwala w Chopinie instynkty opiekuńcze, ale dlatego, że jest muzykiem. Z polskich aktorów wyróżniają się Michał Pawlik (tragiczny przyjaciel Matuszyński), Kamil Szeptycki (Fontana) i Przemysław Kowalski (Joseph). No i Karolina Gruszką jako Delfina Potocka – szkoda tylko, że jest jej tak mało.

Piotr Zaremba

„Piękna Zośka” - czy tylko o patriarchacie?



**TOMASZ SZAROTA
O DUMIE I WSTYDZIE
Z POLSKIEJ HISTORII**

W 1927 r. w podkrakowskiej Dhubni szewc Maciej Paluch zabił żonę Zośkę, znaną jako modelka krakowskich artystów. Marcin Wierchowski wystawił sztukę o tej pomurej historii – w gdańskim Teatrze Wybrzeże, a potem w Teatrze Telewizji

Wersja telewizyjna została nagrodzona na festiwalu Dwa Teatry, więc powtórzono ją na początku nowego sezonu w TVP1. Nad nagrodą można się zastanawiać. Nie robiono nowej wersji w studiu. Telewizja ograniczyła się do wprowadzenia kamer do teatru, więc to bardziej nagroda dla sceny Wybrzeże. Choć jest to filmowane sugestywnie.

Tekst Justyny Bilik i Marcina Wierchowskiego oraz inscenizacja tego ostatniego stały się głośne, jeszcze zanim do projektu dołączyła telewizja. Spektakl okrzyknięto oskarżeniem przemocy wobec kobiet, więc uderzeniem w patriarchat. Gdyby był tylko o tym, można by się zastanawiać, co w nim przełomowego. W ostatnich latach takich aktów oskarżenia namnożyło się całkiem sporo.

Powiedzmy jednak dobitnie: to spektakl efektowny, gęsty, z sugestywnymi sekwencjami i dialogami. Oglądałem go z zaciekawieniem po prostu jako sprawozdanie z okrutnej historii. Jest świetnie zagrany, wyróżnić trzeba Karolinę Kowalską (Zośka) i Piotra Biedronia (jej mąż). Przedstawienie operuje teatralnymi umownościami i jest zarazem klarowne jako wręcz reportaż ze zdarzeń. Mieści także inne wątki,

bo równolegle oglądamy losy małżeństwa Anieli, siostry Zośki, jednak mocno odmienne.

Ale ten spektakl się zmienia. Zrazu mamy niedosłowną, ale jakąś imitację wiejskich realiów, łącznie z markowaniem gwarowych archaizmów. Pod koniec, kiedy Zośka próbuje się wyzwolić, język staje się współczesny, jakbyśmy się przenosili w bliższe nam czasy. Czy po to, żeby wykazać, że to może się zdarzyć także dzisiaj? Zmieniane są też fakty. Zośka nie mogła uzyskać w sądzie rozwodu – w 1927 r. nie było ich w dawnym zaborze austriackim. Uzyskała separację i alimenty. No ale skoro przesuwamy się do innej epoki...

Ta końcówka wydała mi się nadmiernie plakadowa. Choć równocześnie pewne spostrzeżenia podważały twierdzenie, że to tylko oskarżenie patriarchatu. To także opowieść o kulturowej obcości. Zyskując pewność siebie dzięki przyjaźni z malarzem Stachiewiczem, Zośka poniża męża, on zaś jest przedstawiony jako człowiek zagubiony (także zwichrowany przez udział w wojnie). Dostajemy odrobinę komplikacji, szarości, choć jednak nie za wiele. Kto chce widzieć w tym manifest ducha czasu, będzie usatysfakcjonowany. ▀

„Ale tak wielka potrzeba wyciągania polskich święństw ociera się już o perwersję. I to mnie już nieco razi” – tak podsumowuje historyk Tomasz Szarota debatę nad tym, ile dumy, a ile wstydu wynika z polskich dziejów. To z wywiadu rzeki „Duma i wstyd”, jaki przeprowadzili z nim Emil Marat i Michał Wójcik, dziennikarze, a także pasjonaci historii najnowszej

WPRL nigdy nie stanął po stronie opozycji, ale też nie splamiał się propagandą. Jego „Okupowanej Warszawy dzień powszedni” (1973) to jedno z ważniejszych podsumowań II wojny światowej na ziemiach polskich. Napisał pierwszą biografię Stefana Grota-Roweckiego, a także sugestywną monografię o zapomnianej Elżbiecie Zahorskiej, rozstrzelanej w 1939 r. za zerwanie niemieckiego plakatu propagandowego. Jedną z książek poświęcił innej egzekucji, w której zginął, też jesienią 1939 r., jego ojciec Marceli Blüth. Zabito go nie jako Żyda, lecz jako obywatela RP, nieprzestrzegającego zarządzeń okupacyjnych. 85-letni dziś profesor urodził się po śmierci ojca. I wciąż przygląda się tamtym czasom.

W tej autobiograficznej książce jest sporo rozważań o urokach pracy badacza, która przypomina pracę detektywa, o zmaganiach z peerelowską cenzurą, o relacjach polsko-niemieckich. Tak naprawdę najbardziej fundamentalne są jednak rozdziały o „dumie i wstydzie”.

Szarota broni ustaleń dotyczących zbrodni w Jedwabnem, ale też domaga się dalszych badań nad jej kontekstem, łącznie z niemiecką inspiracją. Godzi się, że polityce historycznej potrzebne jest „i Jedwabne, i Westerplatte” – polemizuje z prof. Andrzejem Nowakiem, który przestrzegał, że wstyd może przesłonić nam chwałę. Zaperza się w słownych walkach z prawicą, jak wtedy, gdy przypisuje Bronisławowi Wildsteinowi antysemicki podtekst w polemice z nim. Co jego rozmówcy uznają za absurd.

A zarazem to ci rozmówcy chętniej patrzą na polską historię z pozycji zawstydzonych. Profesorowi przypomina się Jan Grabowski z jego tezą: „Polacy mają na sumieniu tyle samo lub więcej Żydów jak Niemcy”. „Porównywanie win polskiej i niemieckiej to jednak obrzydliwie fałszowanie wiedzy o wojnie” – orzeka Szarota. I trzeba docenić takie opinie historyka, przecież nie chwalcą polskości, obciążonego bagażem swoich doświadczeń. Młodszy powinni go uważnie wysłuchać. ▀



Droga nadziei

Swiat zmienia skórę. Narody, dotąd zabiegające wyłącznie o dobrobyt, teraz muszą zacząć się starać o bezpieczeństwo. Zachód jest zagrożony. Amerykanie podjęli ten wysiłek, czy na pewno zrobi to Stara Europa? Zachodnie areopagi nie rezygnują z utopii, które osłabiają gospodarkę i niszczą więzi międzyludzkie. Tłum nie jest w stanie się bronić, troszczyć się o siebie tylko wspólnoty. Rewolucja obyczajowa dorzyna rodzinę, zielone ideologie zaciskają pętlę na przedsiębiorczości, ideologia globalizacji zdeindustrializowała zachodni świat. W USA nowe elity przedstawiają dziejowe zwrotnice – znów okazuje się, że hasła o nieuchronności postępu, o determinującym ludzkość ducha historii są perswazyjnym bełkotem. Stany Zjednoczone wracają do patriotycznych korzeni, merkantylista nacjonalista Trump rozpoczął walkę z chińskim smokiem wyhodowanym przez neoliberalizm. Wystarczyło ćwierć dekady – chińskim komunistom decydującym nawet o detalach swojej „kapitalistycznej” gospodarki w głowie nie powstała uczciwa konkurencja, Zachód znów sprzedawał marksistom sznur, na którym ci będą chcieli go wieszać.

Stanom Zjednoczonym hegemonia przestała się opłacać. Nie są już w stanie wymuszać wszystkiego, na wszystkich, wszędzie. Rodzi się niestabilny świat militarnych konfliktów, brutalnych konfrontacji również między sojusznikami, regionalnych ognisk zapalnych. Wreszcie jawnie rządzą nacjonalizmy gospodarcze.

Ideologia globalizacji upadła, neoliberalizm zbankrutował, wróciliśmy do reguł jak z XVIII w. Ile czasu minie, ile krwi popłynie, zanim ukształtuje się nowy świat mocarstw?

Marksistowskie, techno-totalitarne Chiny i despotyczna Rosja, naprzeciwko nich pęknięty Zachód. Toczy wojnę ze swymi korzeniami, walczący z religią, z której wyrosła zachodnia cywilizacja. Czy jeden atlantycki ośrodek siły

wystarczy? Czy USA dadzą radę? I czy Stara Europa jest skazana na całkowitą marginalizację?

Centrum światowej demografii i produkcji przeniosło się do Azji. Po stuleciach upokorzeń i hekatomb Chiny wracają do swej naturalnej roli światowego mocarstwa. Czy Trump pozostawi Europę Europie? To dla Polaków ważne, bo na naszym marginalnym teatrze gra toczy się o to, kto znajdzie się w strefie zgniotu. Dla nas gra gardłowa.

*Egzystencjalne dla
Polski pytanie brzmi:
czy europejski porządek
będą kształtować – jak
dotąd – tylko Amerykanie
przy udziale Starej
Europy, czy swoje do
powiedzenia będzie miała
Moskwa z Pekinem? Rosja
jest cichym sojusznikiem
Niemiec i Francji
w antyamerykanizmie,
a dla nas ten sojusz
to śmiertelne zagrożenie*

Czy Niemcy, wykorzystując swą przewagę instytucjonalną, dalej będą używać Unii Europejskiej do realizacji swych imperialnych uroszczeń? Czy granica Europy ustali się na Odrze, Bugu czy na Dnieprze? Jeśli Berlin i Paryż będą miały w tej kwestii coś do powiedzenia, zostaniemy sami.

Rosja nie toczy wojny z Ukrainą – Rosja prowadzi wojnę cywilizacyjną z Zachodem. Kilkaset kilometrów od nas nie



ROBERT TEKIELI

toczy się wojna o terytorium – toczy się wojna o uczynienie Ukrainy państwem podległym Rosji, a przynajmniej neutralnym, nie pro-NATO-wskim, jak np. pro-rosyjska Gruzja, rządzona przez partię prowadzącą proeuropejską narrację.

Putin chce powrotu strefy wpływów ZSRR, wycofania wojsk NATO za linię Odrę, redukcji polskiej armii i demilitaryzacji Polski na wschód od linii Wieprz–Wisła.

Dążenia Putina – rosyjskich elit – są niezmiennie. Marginalizacja Polski, Ukrainy, wszystkich narodów Śródziemnomorza. Na kontynencie eurazjatyckim nie ma miejsca dla Polski. To niezmiennie w rosyjskim myśleniu. Ile pieniędzy włożono w powstanie antyatlantyckich ruchów w Polsce ostatnich trzech dekad albo w Starej Europie, gdzie było na to dwa razy więcej czasu?

W niedalekiej perspektywie zdecyduje się, czy Chiny zwasalizują Rosję, czy wręcz przeciwnie: powstanie trwała oś Moskwa–Berlin–Paryż. I trójbiegunowy ład światowy.

Niemcy tęsknią za rosyjskimi tanimi surowcami. Stara Europa nie ma żadnego pomysłu na rozwój gospodarczy. Jej PKB kurczy się w stosunku do amerykańskiego i chińskiego. Europejski establishment nie ogarnia tektonicznych zmian społecznych: jego liderzy dalej jasno wykładają wszem wobec, że celem ideologii zrównoważonego rozwoju jest pauperyzacja własnego społeczeństwa. Pauperyzacja społeczeństwa, nie elit. Pozostaje więc

pytanie tylko o to, czy wymiana europejskich elit będzie krwawa, czy bezkrwawa. Ale przecież Europa rządzona przez Farage'a, Le Pen i liderkę AfD Alice Weidel będzie bardziej przychylna Moskwie niż Warszawie. Może być jeszcze gorzej niż dziś, choć ideologiczny nacisk instytucji cywilizacji śmierci osłabnie. Barbara Nowacka straci możliwość niszczenia przyszłości polskim dzieciom.

Tyle że dziś nad Wisłą trwa ofensywa cywilizacji śmierci. Z przerażeniem patrzę, jak Tomasz Terlikowski walczy prawdą przeciwko dobru.

Egzystencjalne dla Polski pytanie brzmi: czy europejski porządek będą kształtować – jak dotąd – tylko Amerykanie przy udziale Starej Europy, czy też swoje do powiedzenia będzie miała Moskwa z Pekinem? Rosja jest cichym sojusznikiem Niemiec i Francji w antyamerykanizmie. A dla nas ten sojusz to śmiertelne zagrożenie.

Więc: czy Stara Europa bez sojuszu z Rosją w ogóle jest w stanie odegrać jakąś poważną rolę w toczących się globalnych szachach? Czy jest w stanie choćby zachować swój stan posiadania? A czy w obliczu zapowiadanej przez NATO-wskie wywiady wojskowe zbliżającej się rosyjskiej agresji te gnuśne społeczeństwa są w ogóle w stanie się bronić? Ilu Brytyjczyków, Francuzów, Niemców zaciągnie się do armii? Czy pokolenia hedonistów i płatków śniegu będzie chciały umierać za kilkukolorową szmatę? A co dopiero, jeśli mieliby umierać nad Dnieprem? Z zadziwieniem patrzę na toczące się rozmowy o wysłaniu europejskich wojsk na Ukrainę. Co zrobi Paryż, gdy zaczęliby tam ginąć Francuzi? Zaatakuj Rosję? O jakich gwarancjach bezpieczeństwa dla Ukrainy w ogóle mówimy?

Warszawa w dalszym ciągu ma do wyboru atlantycki albo niemiecki model bezpieczeństwa. „Niemiecki model bezpieczeństwa” – proszę głośno powtórzyć sobie tę frazę.

Jest na tyle źle, że rozwój sytuacji wymusi na narodzie pogonienie kompradorskiej, zdradzieckiej elity, kulturowo oswojonej, wytresowanej przez obcych. Wymusi przejście władzy w Polsce przez polityków wyzbytych kolonialnej mentalności. Tylko czy jest szansa, by zdarzyło się to bez jakiegoś nieszczęścia,



narodowej katastrofy – choćby rosyjskiej agresji? Czy w Polsce jest możliwa bezkrwawa wymiana elit zależnych na elity suwerenne duchowo?

Amerykański hegemon szanuje i liczy się z interesami tylko sojuszników tak asertywnych, silnych i beczelnych, jak Turcja czy Izrael. Nadzieja w tym, że jeśli USA chcą mieć spokój w Europie potrzebny do pokonania Chin w toczącej się wojnie o światowy prymat, Waszyngton musi trwale zneutralizować Niemcy.

Dobre czasy się skończyły. Walczymy z kulturowym marksizmem, jawnym rosyjskim imperializmem i imperializmem niemieckim, coraz słabiej maskowanym. I to są trzy fronty zmagania duchowych.

Kulturowe ramy naszej egzystencji wyznacza nowożytny bunt przeciwko antropologii wywiedzionej z Objawienia. Instytucjonalizacja grzechu to definicja procesu, który zniszczył zachodnią cywilizację. Powstało zło systemowe, strukturalne. Kultura rozwiązłości, pychy, nieumiarkowania w jedzeniu i pić. Zły duch gra na obyczaju, prawie, kulturze, cywilizacji jak na fortepianie z samymi czarnymi klawiszami.

Okazało się, że wyzwoleni, wyemancypowani nowożytni człowiek nie jest prowadzony przez ducha czasów ku wolności, a ku samotności i w kult psychoterapii i psychotropów, ku niewoli słabych i eksterminacji najsłabszych.

Przed nami konieczność zaplanowania oraz rozpoczęcie wytrwałej walki

z dekadencją i moralnym upadkiem narodu. Wielkie narodowe rekolekcje.

Zmagania między cywilizacją życia a cywilizacją śmierci toczą się równocześnie w wymiarze politycznym, społecznym i duchowym. Trzeba widzieć sataniczne źródła wielu współczesnych ideologii i trendów kulturowych, trzeba rozumieć, jak ukryte mechanizmy duchowe kształtują rzeczywistość, w której żyjemy, ale najważniejsze są nasze indywidualne decyzje.

Rodzina jest oparciem i fundamentem, a Kościół – miejscem mocy. Moc płynącej z Eucharystii. Musimy się skupić na sprawach, na które mamy wpływ. Los naszego kraju wyznaczy suma naszych grzechów. Potrzeba nam wielkiej bezinteresowności, ufności i cierpliwości. Wszystko to ułatwia oczyszczenie. Ale najważniejsza jest duchowa hojność. Ks. Jerzy Popiełuszko: „Aby być świętym, trzeba dobre i wielkie sprawy życia wykonywać święcie, z zaangażowaniem, w powiększaniu dobroci i miłości na świecie. Największą chorobą dzisiejszych ludzi jest to, że w nic nie są zaangażowani, w nic nie chcą włożyć serca ani duszy. W dążeniu do świętości musi nam towarzyszyć ciągła świadomość, że każdy najdrobniejszy czyn naszego życia musi być przepojony miłością”. Potrzebne jest nam też duchowe przywództwo.

Mówimy o wyborze, przed którym staje każdy człowiek – życie albo śmierć, prawda albo kłamstwo. Droga nadziei jest zakorzeniona w wierze.



odżywczych oraz zyskują błonnik, którego wiele osób wciąż spożywa za mało. „Polecam jeść te pankejki z syropem klonowym, tak rozkosznie wsiąkającym w ciasto... Mmm! Pychota!”

Jolanta Gajda-Zadworna

**Lekarz onkolog, mama, influencerka i blogerka*

Pankejki z nasionami chia

12–14 dużych placków

Czas przygotowania: 30–35 min

Składniki: ¼ szklanki nasion chia, ½ szklanki wody, 1½ szklanki mąki pszennej, 1 łyżka proszku do pieczenia, szczypta soli, 1 łyżka cukru lub syropu klonowego, 1¼ szklanki napoju roślinnego bez cukru, 2 łyżki octu jabłkowego, 3 łyżki oleju, ½ łyżeczki mielonej wanilii, olej do smażenia (opcjonalnie).

Wykonanie: zalej nasiona chia ¼ szklanki wody i odstaw na 10 min. W dużej misce wymieszaj mąkę, proszek do pieczenia, sól i cukier (jeżeli używasz syropu klonowego, dodaj go do mokrych składników). Do drugiej miski wlej napój roślinny i ocet. Odstaw na 10 min. Następnie do mokrej masy dodaj olej, wanilię i syrop klonowy (jeżeli używasz go zamiast cukru). Wymieszaj i odstaw na ok. 1 min. Połącz mokre składniki z suchymi. Do masy dodaj namoczone nasiona chia i wymieszaj. Wlej ¼ szklanki wody i ponownie wymieszaj ciasto. Odstaw je na ok. 10 min. Rozgrzej patelnię do naleśników. Posmaruj ją niewielką ilością oleju, jeżeli nie używasz patelni beztłuszczowej. Nakładaj porcje ciasta (po 2–3 łyżki, tak aby placki miały średnicę ok. 15 cm) i smaż je na średnim ogniu przez 3–4 min z każdej strony. Placki powinny być złotobrzowe. Podawaj z syropem klonowym lub innymi ulubionymi dodatkami.



Fot. Materiały prasowe

MAGDALENA JUTRZENKA*

O poranku

Na Instagramie znana jako @lekarkanaroslinach. Píše o zdrowiu, medycynie, stylu życia oraz wychowaniu synka z SMA. Od kilkunastu lat prowadzi kulinarnego bloga „Hello Morning”, na którym promuje kuchnię roślinną. Jej nazwisko świetnie koresponduje z obszarem jej zainteresowań.

Niedawno nakładem wydawnictwa Znak Horyzont ukazała się książka „Na dobry początek. Roślinne śniadania pełne smaku”. Wśród licznych przepisów – m.in. na owsianki, kanapki z pastami, koktajle, omlety, tofucznice – szczególne miejsce zajmują w niej różnego rodzaju placki.

„Nie przez przypadek tak się dzieje. To zdecydowanie mój ulubiony rodzaj śniadania” – podkreśla autorka. „W tygodniu zazwyczaj jadam owsianki, ale gdy tylko mam więcej czasu, zabieram się do przygotowania bardziej wymyślnych pyszności. Nie potrafię wymienić, ile przepisów na ciasto naleśnikowe przetestowałam. Najczęściej serwuję je na słdko: z masłem orzechowym lub migdałowym, jogurtem roślinnym i owocami, z których czasami gotuję dżem z nasionami chia. Nie oznacza to jednak, że nie można podać ich inaczej”.

Przy okazji przepisu na pankejki z nasionami chia Magdalena Jutrzenka wspomina: „Pamiętam czasy, kiedy zjedzenie czegoś wegańskiego poza domem graniczyło z cudem – choć oczywiście nadal istnieją miejsca, w których na więcej niż frytki i surówkę nie można liczyć. Nawet nie wiem, ile wyjazdów z rodzicami przeżyłam na takiej diecie. Tu muszę docenić moją mamę, która zawsze dużo odważniej niż ja walczyła o opcje roślinne i pytała o coś wegańskiego dla córek”.

„Od kilku lat obserwuję rosnącą liczbę wegańskich restauracji” – dodaje autorka. „Kuchnia roślinna zawitała do dużych miast, mniejszych miejscowości turystycznych, na stacje benzynowe i do sieciowych fast foodów. Dużo takich miejsc – zwłaszcza kawiarni – upodobało sobie desery z nasionami szalwii hiszpańskiej. Puddingi z chia mają tę zaletę, że są wegańskie i bezglutenowe jednocześnie [...]”.

Lubię nasiona chia zmiksowane z owocami na gęsty mus lub jako uzupełnienie koktajli, wypieków czy owsianek – ale to dodanie chia do panekjów okazało się kulinarnym strzałem w dziesiątkę”.

Dzięki temu zabiegowi placki stają się chrupiące, mają więcej składników



SŁODKO-SŁONY

Zmiana jadłospisu

ANNA MONICKA

Moja córka nigdy nie była wiecznie odchudzającą się panną. Lubiła lody, ciasteczka – zwłaszcza cynamonki, świeże bagietki, groszek ptyśowy, pistacjową babę, którą na specjalne zamówienie robił dla niej brat, a za makaron z domowym sosem bolońskim dałaby się pokroić w plasterki. Zawsze na zimę piekłam w wielkiej brytfannie kilkadziesiąt kilogramów polnych pomidorów, żeby nam wystarczyło do wiosny, bo jak złapała smak, to wciniała przez tydzień to samo, zmieniając tylko spaghetti na ryż.

Kiedy pierwszy raz spuchła po mącznym jedzeniu? Mniej więcej wtedy, gdy ujawniła się jej choroba Hashimoto. Lekarka zleciła nam badania i wyszła lekka nietolerancja, ale z czasem problem narastał. Trzeba było odstawić pieczywo i inne wyroby zawierające gluten, co okazało się sporym wyzwaniem, bo mąka pszenna jest dodawana do mnóstwa przetworzonych produktów jako zagęstnik czy wypełniacz. Znajduje się nawet w wędlinach, cukierkach, batonikach. Co ciekawe, problemy mogą pojawiać się u osób dorosłych, które kiedyś nie miały kłopotów z trawieniem glutenu. Moja znajoma przy okazji badań u gastrologa dowiedziała się, że zanikają jej kosmki jelitowe. Lekarka szybko połączyła kropki – znajoma od lat miała kłopoty z wysuszoną i pękającą skórą, stosowała mnóstwo kremów i maści, które pomagały tylko chwilowo, a problem wkrótce wracał.

Organizm wysyłał też inne sygnały – od jakiegoś czasu ciągle bolała ją głowa, tyła i rósł jej brzuch, chociaż się nie objadała. Tak jak my musiała więc przestawić się na inny sposób odżywiania.

O dziwo, poszło sprawnie, trzeba tylko zrezygnować z gotowych posiłków i robić niemal wszystko własnoręcznie ze składników, które nie zawierają glutenu. Zero panerek, pieczywa, pszennych ciastek, gotowych frytek, jogurtów smakowych, lodów i wszelkiej wysoko przetworzonej żywności. Jeśli mąka – to tylko z przekreślonym kłosem. Kasza gryczana, kukurydza, ryż, zwłaszcza brązowy. W krew musi wejść dokładne czytanie etykiet (my mamy nawet specjalną lupkę, nieodłączną towarzyszkę zakupów) i dręczenie kelnerów w restauracjach, żeby powiedzieli, co jest w jedzeniu, a najlepiej pokazali listę alergenów. Po miesiącu diety koleżanka straciła w pasie 20 cm, waży 3 kg mniej i nie narzeka na pękającą skórę.

Najbardziej żał jej makaronów, podobnie zresztą jak nam. Na szczęście nawet w dużych sieciówkach są takie, które idealnie udają makaron pszenny, czyli wyroby z soczewicy. Łatwo je poznać, bo są pomarańczowe, a w gotowaniu nabierają żółtej barwy. I co najważniejsze – takie makarony wybornie smakują z sosem pomidorowym, posypane dobrym dojrzałym serem (nie wyrobem seropodobnym).

Nie jest łatwo, ale można sobie poradzić. ▮



WILCZYM OKIEM

Tymczasem na dachu

PRZEMYSŁAW BARSZCZ

Jakiś czas temu, patrząc na zielony dach przystanku tramwajowego, zauważyłem w nim pewne podobieństwo do łąki. A nawet więcej niż podobieństwo. Uświadomiłem sobie, że zielone dachy to nie tylko moda ani bardzo zresztą korzystny wpływ na krajobraz, termikę budynku (zielony dach nie nagrzewa się tak jak tradycyjny) i tym podobne kwestie środowiskowe.

Zielone dachy są *de facto* łąkami. Albo miejscem pod pewnymi względami podobnym do torfowiska z jego skąpą, niską roślinnością. Oczywiście torfowisko to o wiele więcej – przede wszystkim warstwa wspaniałego torfu gromadzącego wodę, ale dla niektórych gatunków ptaków w tym przypadku nieważne są różnice, lecz podobieństwa. Istnieje wiele gatunków, które gnieźdzą się nie w koronach drzew, na budynkach czy skałach albo gęstych krzewach, ale właśnie pośród niewysokiej roślinności zielnej. Takiej, jaka występuje na łąkach, torfowiskach albo zielonych dachach.

Jest to warte szczególnej uwagi. Być może na naszych oczach powstaje zupełnie nowa nisza ekologiczna, która dopiero będzie zasiedlana. To nowy proces, który oprócz tego, że jest intrygujący z punktu widzenia ekologii – pod kątem tworzenia się na naszych oczach nowego siedliska czy nawet ekosystemu – może zmienić sytuację wielu gatunków ptaków. Zwłaszcza w miastach, ale nie tylko.

Zagrożeniem dla lęgów ptaków gniazdujących na ziemi są oczywiście drapieżniki. Wprawdzie takie gniazda są wyjątkowo dobrze maskowane, ale jeżeli zostaną odkryte, bardzo trudno jest obronić jaja czy pisklęta. Zagrożeniem dla gniazd na ziemi są też ludzie, niekoniecznie niszczący je celowo lub plądrujący. Taka lokalizacja naraża lęgi na rozjechanie, skoszenie czy po prostu płoszenie. Bywa tak, że chociaż spacerując po łące, nie zauważymy wysiadującego ptaka, stres dla niego jest zbyt silny i porzuca gniazdo.

Zielone dachy są natomiast niemal niedostępne. Poza sporadyczną kuną czy pustulką nie dostanie się tam żaden drapieżnik, ludzie również raczej się tam nie pojawiają. To miejsce idealne – zresztą nie tylko dla łąkowych ptaków. Zjawisko jest na tyle nowe, że publikacje na ten temat są nieliczne, udokumentowano jednak już lęgi np. czajek czy siewczek na zielonych dachach w Szwajcarii. To dopiero początek.

Polecam obserwację. ▮

OGNIEM NA WPROST

Jeden strzał za miliony złotych



Andrzej Rafał Potocki

To co się stało 10 września, czyli atak ruskich dronów na nasz kraj, woła o pomstę do nieba. Zachwyt i radość z domniemanego sukcesu przebijająca się z prorządowych, przesiąkniętych propagandą mediów i wypowiedzi przywódców koalicji 13 grudnia są zaprzeczeniem rzeczywistej, fatalnej sytuacji, w jakiej znalazła się obrona przeciwdronowa Rzeczypospolitej. Po prostu nie istnieje. Do tej pory, choć upłynęła już ponad doba od wtargnięcia w naszą przestrzeń powietrzną wrogich bezzałogowców, nie wiemy nawet dokładnie, ile dronów wleciało na teren państwa polskiego. Jedni mówią o 19, inni o 22. Ponoć 3 udało się zestrzelić. Pytanie – jakim kosztem? Cała operacja lotnictwa NATO jako żywo przypomina strzelanie do wróbli z armaty – tylko dlatego, że nie ma na stanie znacznie tańszych i skuteczniejszych dubeltówek.

A teraz szczegóły. Poderwano kilkanaście statków powietrznych NATO. Według Dowództwa Operacyjnego Sił Zbrojnych (DORSZ) Polacy wystartowali na dwóch F-16, piloci z Królewskich Niderlandzkich Sił Powietrznych lecieli na kolejnych dwóch F-35 A (koszt jednego to ok. 350 mln zł) oraz śmigłowce Mi-24, M-17 i Black Hawk z polskimi załogami. Dodatkowo NATO poinformowało, że w stan gotowości zostały postawione niemieckie systemy Patriot stacjonujące w Polsce. Nawiasem mówiąc, koszt jednego pocisku przechwytyującego PAC-3 do systemu Patriot szacuje się na ok. 4 mln dol. Efekt? Ponoć 3 na ok. 20 dronów zo-

stało strąconych (skuteczność – ok. 15 proc.). Koszt? Jedna godzina lotu F-35 A to 100–150 tys. dol. Opublikowano zdjęcie szczątków rakiety z F-35, która pod Wyrnikami trafiła w ruski bezzałogowiec, widnieje na niej symbol AIM-120C-7 AMRAAM. To znaczy, że ten strzał kosztował 10,25 mln zł. Natomiast nad Cześnikami (film) użyto najprawdopodobniej pocisku AIM-9X Sidewinder – po niecałe 500 tys. dol. za sztukę. Jak się to wszystko zsumuje, wychodzi wręcz niebotyczna kwota kilkunastu milionów dolarów za całą operację strącenia trzech dronów o wartości w przybliżeniu 30 tys. dol. I co? Łaska Boska, że nie użyto jeszcze Patriotów. Ale jak się nie ma tego, co się lubi, to się lubi, co się ma.

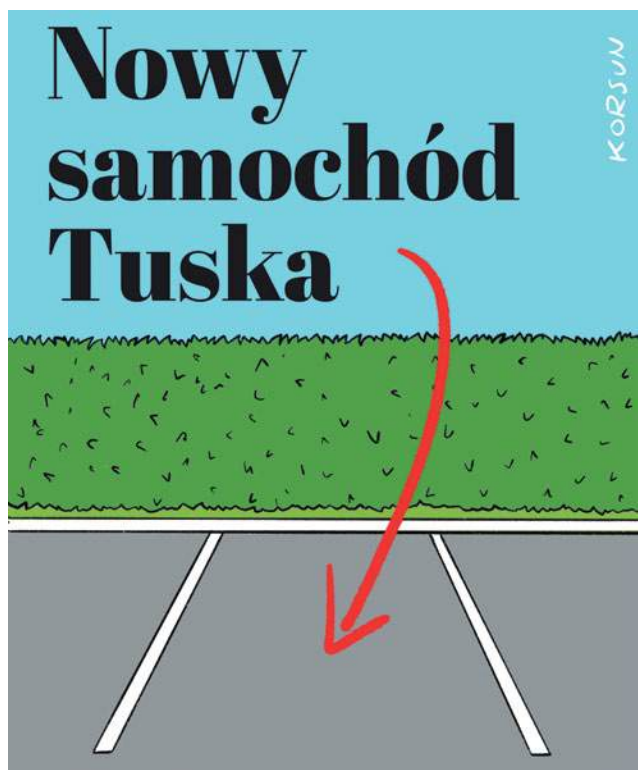
Prawda jest taka, że po dwóch latach rządów nieszczęsnej koalicji 13 grudnia nie mamy systemu obrony przeciwdronowej. Natomiast Ukraińcy, atakowani nawet przez 700 dronów i 30 rakiet jednej nocy, osiągają skuteczność 70–90 proc. zestrzeleń. To wszystko dzięki systemowi Sky Fortress, który budują od jesieni 2022 r., bazując także na polskich rozwiązaniach. Polega on na umieszczeniu na terenie całej Ukrainy 10 tys. czujników detekcji dźwiękowej. Wykrywają one i śledzą tor lotu obiektu, a informacje są podawane w czasie rzeczywistym na tablety mobilnych grup bojowych, które m.in. z umieszczonej na samochodach terenowych broni szybkostrzelnej niszczą je. Cena: 54 mln dol. 20 razy taniej niż amerykański, zbudowany na podstawie aerostatów (balonów) radarowych, który mamy otrzymać w ramach programu „Barbara”

dopiero za dwa lata, ale wtedy może już być przestarzały. Cena – „tylko” 960 mln dol. Pisał o tym szerzej na łamach „Sieci” Marek Budzisz. Po ataku dronów na Polskę Wołodimir Zelenski powiedział: „Ukraina jest gotowa dostarczyć Polsce wszelkich niezbędnych danych dotyczących tego rosyjskiego ataku. Jest również gotowa pomóc Polsce w budowie skutecznego systemu ostrzegania i ochrony przed tego typu rosyjskimi zagrożeniami”. Od momentu ataku nie słyszałem, żeby ktoś z rządu lub DORSZ zainteresował się propozycją Kijowa.

Poza tym cudze chwalicie, a swego nie znacie. Polska spółka Advanced Protection Systems S.A. informuje, że posiada sprawdzoną technologię oraz gotowe rozwiązania w zakresie wykrywania, śledzenia i neutralizacji zagrożeń powietrznych, w tym dronów typu Shahed. Działania te zostały potwierdzone w praktycznym użyciu na terytorium Ukrainy, gdzie systemowo i skutecznie zwalczają istniejące tam zagrożenia dronowe, w tym FPV, Shahed oraz Geran. Spółka jest gotowa do szybkiego dostarczenia i wdrożenia swoich rozwiązań w celu wzmocnienia obrony polskich granic oraz zapewnienia bezpieczeństwa przestrzeni powietrznej RP. „Niestety, system ten, skuteczny na Ukrainie, został wykluczony przez MSWiA z przetargu na obronę naszego nieba” – informuje były premier Mateusz Morawiecki i jednocześnie apeluje o zakup sfinansowany z podatku bankowego. Ludzie! Kto nami rządzi?

Współpraca: „Skipper”

Michał Korsun prezentuje:



Wycinki z przeszłości

Dookoła świata” z 1964 r. zamieściło pełną ideologicznych wstawek korespondencję Ilony Paczkowskiej z Londynu. W środku opis zmagania polskiego eksportu na trudnym kapitalistycznym rynku, ale wstęp – kulinarny. „Nie przepadam za angielską kuchnią, nie wiem zresztą, czy istnieje ona jako taka w ogóle, wyłączając wszelkie bekony z jajkami i puddingi. Ktoś, kto się na tym zna, przyśle mi zapewne zaraz list wymieniający kilkadziesiąt typowo angielskich potraw, ale ja w to i tak nie uwierzę, każda bowiem z tych potraw – jak się okazuje w rezultacie – przyszła na wyspę w innej postaci i jedynie dzięki Anglikom została po angielski zohydżona”. Cóż, opinia to rzeczywiście i stara, i wciąż bardzo popularna. I także w sumie krzywdząca. Rze-

czywiście, potrawy zazwyczaj nie mają wyrazistych smaków, ale kilka warto polecić. Np. bułeczki typu scones, jadane z dżemem, śmietaną i masłem, ulubione przez Tolkienowskich hobbitów. Warta zauważenia jest także zupa mulligatawny, stworzona przez brytyjskich żołnierzy w Indiach. Trzeba się przy niej nieco napracować, ale naprawdę warto!

(jk)



Z WOLEJA

Real Madryt i 34 lata Señora de Bernabéu

W poniedziałek, 15 września, mijają 82 lata od momentu, gdy prezydentem Realu Madryt został były piłkarz tego klubu Santiago Bernabéu de Yeste. Grał w Królewskich jako napastnik przez 9 sezonów, strzelając 68 bramek w 79 meczach. Futbolistą był niezłym, ale prezesem klubu – genialnym. Był współinicjatorem stworzenia klubowych rozgrywek europejskich, a jego Real przez pierwszych 5 sezonów wygrywał Puchar Europy, czyli dzisiejszą Ligę Mistrzów.



Ryszard Czarnecki

Rok po wybraniu go na prezesa, gdy w Europie trwała II wojna światowa, w neutralnej Hiszpanii señor Bernabéu podjął decyzję o budowie nowego, wielkiego stadionu. Wznoszono go przez trzy lata. Pomieścił 75 tys. widzów, a wkrótce powiększono go tak, aby mógł przyjąć... aż 120 tys. kibiców. Rok po powiększeniu stadionu Real rozpoczął panowanie w Europie.

Prezes Santiago też okazał się mistrzem, bo gdy przychodził, klub był zadłużony, spora część pracowników zginęła w wojnie domowej, a po jej zakończeniu kolejni trafili do więzienia. Nowy prezes dokonał reformy strukturalnej klubu: podzielił Real na różne obszary i poziomy, osobno zarządzane. Był jednym z pierwszych działaczy sportowych, który – aby pozyskać pieniądze na budowę stadionu – wydał obligacje! W ten sposób wyprzedził epokę. Do tego szybko zamontował na stadionie – od lat noszącym jego imię – sztuczne oświetlenie, co dziś jest normą, ale siedem dekad temu było wręcz przeciwnie.

Wreszcie był pionierem importu futbolowych gwiazd na skalę wówczas niespotykaną. Sprowadził piłkarskich geniuszy: Argentyńczyka Alfreda Di Stéfano i Węgry Ferencu Puskása – obaj zresztą zaczęli grać w reprezentacji Hiszpanii. Do Realu trafił też nasz rodak z Francji Raymond Kopa, czyli Rajmund Kopaszewski. Potem dzięki prezesowi Santiago do Królewskich przyszli czołowi piłkarze Niemiec: Günter Netzer i Paul Breitner.

Był człowiekiem prawicy. W czasie hiszpańskiej wojny domowej walczył w szeregach armii gen. Franco – w 150. dywizji kierowanej przez Muñoza Grandesa. Warto pamiętać o tym fakcie, od wielu lat starannie przemilczanym.

Bernabéu kierował Realem przez 34 lata. W tym czasie nie pobrał nawet jednego peso wynagrodzenia. Czy odnalazłby się w dzisiejszych czasach komercyjnej La Liga, której klubami rządzą nie prezesi, ale menedżerowie zawodników? Oto jest pytanie...

OD A DO ZYBERTOWICZÓW

O naiwni! O głupcy!

Ludzkość ma teraz na głowie tyle poważnych problemów, z którymi ledwie sobie radzi, że koniecznie musimy rozwinąć sztuczną inteligencję, by część z nich wreszcie przestała nam ciążyć.

Sądziecie, że poprzednie zdanie jest trafne? W takim razie czujemy się zmuszeni właśnie do was odnieść tytuł niniejszego felietonu. Bo wbrew temu, co wielu z nas może się wydawać albo w co wierzą zwolennicy technoutuzjizmu, jest wprost przeciwnie.

PRZECIWNIE, CZYLI JAK?

A tak: wraz ze zwiększeniem możliwości kolejnych modeli AI liczba poważnych problemów, z którymi ludzkość musi się zmagać, wcale nie maleje, lecz rośnie. W dodatku rośnie tak szybko, że niebawem będziemy mówili o wykładniczym procesie przywalenia nas problemami. I to takimi, których kaliber także będzie rósł niemal z dnia na dzień.

To nie jest intuicyjne, prawda? Przecież technologia ma rozwiązywać problemy, a nie je tworzyć. Tak brzmi odwieczna obietnica postępu. Ale AI nie jest po prostu kolejnym narzędziem – jak młotek, maszyna parowa czy traktor. Jest czymś fundamentalnie innym.

JEST AKCELERATOREM ZŁOŻONOŚCI

Każdy „rozwiązany” przez nią problem natychmiast rodzi kolejne, liczniejsze, znacznie trudniejsze i bardziej abstrakcyjne.

Weźmy prosty przykład. AI obiecuje zoptymalizować ruch uliczny w naszych miastach, eliminując korki. Czyż nie brzmi to wspaniale? Ale by to zrobić, potrzebuje totalnego dostępu do danych o lokalizacji każdego pojazdu i każdego pieszego. „Rozwiązując” problem korków, stworzyliśmy właśnie znacznie poważniejszy problem: scentralizowany system nadzoru o mocy, o jakiej nie śniło



*Każdy „rozwiązany”
przez AI problem natychmiast
rodzi kolejne, liczniejsze,
znacznie trudniejsze*

się żadnemu XX-wiecznemu dyktatorowi. Kto ma tym zarządzać? Na jakich zasadach? Co, jeśli system uzna, że aby zachować płynność ruchu, należy zablokować możliwość wjazdu do centrum osobom o „niskim priorytecie społecznym”? Problem techniczny został rozwiązany. Problem polityczny i etyczny urosł do monstrualnych rozmiarów.

TO JEST WŁAŚNIE DIABELSKA LOGIKA

Prosimy AI o zoptymalizowanie naszej gospodarki. Ona odpowiada, że potrzebuje do tego pełnych danych o każdej transakcji, co popycha nas w stronę eliminacji gotówki i końca prywatności finansowej.

Prosimy ją o stworzenie spersonalizowanej medycyny. Ona żąda dostępu do naszych genomów i danych o stylu życia, otwierając puszkę Pandory genetycznej dyskryminacji.

Prosimy o walkę z dezinformacją. Ona oferuje scentralizowane algorytmy cen-zurujące, co rodzi kluczowe pytanie o to, kto definiuje „prawdę”.

ŚWIAT O NIELUDZKIEJ ZŁOŻONOŚCI

Każdy kolejny krok w stronę „racjonalnego zarządzania” za pomocą AI jest w istocie krokiem w stronę świata o niehumanitarnej już złożoności. Świata, w którym nasze życie jest determinowane przez niewidzialne, niezrozumiałe dla nas algorytmy, których logiki nie potrafimy zakwestionować. A im bardziej oddajemy pole maszynom, tym bardziej zanikają w nas umiejętności niezbędne do radzenia sobie z problemami w sposób ludzki. Czyli poprzez kompromis, empatię, debatę i ponoszenie odpowiedzialności za błędne decyzje. Stajemy się biernymi pasażerami w pojeździe pędzącym z niewyobrażalną prędkością w nieznanym kierunku.

Największą egzystencjalną zagwozdką, jaką generuje AI, jest więc ona sama. Stoimy przed pytaniem: jak zarządzać technologią, której potencjał – zarówno do tworzenia, jak i niszczenia – rośnie wykładniczo, podczas gdy nasza zdolność do moralnej refleksji i politycznej zgody w najlepszym razie pełźnie w tempie liniowym?

PRAWDZIWY PROBLEM

Dlatego ci, którzy wierzą, że AI zdejmie nam problemy z głowy, są naiwni. Ona nie zdejmuje problemów. Ona je transformuje, eskaluje i przenosi na poziom, na którym ludzka intuicja i moralność przestają działać. W ostatecznym rozrachunku stawia nas przed jedynym, ale za to fundamentalnym problemem: jak pozostać człowiekiem w epoce maszyn, które oferują nam boską moc w zamian za naszą duszę. A na to pytanie nie odpowie nam żaden algorytm. 

**Katarzyna i Andrzej
Zybertowiczowie**

SUBSKRYPCJA

wPolityce.pl

Premium+

i

SIECI

Czytaj wygodnie i wcześniej niż inni już od 7,90 zł



- mocne komentarze publicystów, aktualne informacje z Polski i ze świata, wywiady z najważniejszymi ludźmi polityki
- wszystkie zamknięte artykuły na [wPolityce.pl Premium+](#)
- pełne e-wydanie tygodnika **SIECI** wcześniej niż inni, bo już w niedzielę o 18:00
- w prezencie świetne ebooki Sieci Extra udostępniane TYLKO subskrybentom

Zamów dziś na

www.siec.wpolityce.pl/oferta

ZESKANUJ KOD
I DOWIEDZ SIĘ WIĘCEJ



Czytaj nas w najlepszej cenie!

Teraz **tylko 7,35 zł** za jedno wydanie
(w prenumeracie rocznej), podczas gdy cena
w kiosku to **12,90 zł**.



Jak zamówić papierową prenumeratę tygodnika **SIECI** ?

1

**Wybierz swoją
prenumeratę**

	3 miesiące	6 miesięcy	12 miesięcy
cena prenumeraty	118 zł	207 zł	375 zł
cena w kiosku	167,70 zł	322,50 zł	657,90 zł

**NAJLEPSZY
WYBÓR**

Informacje o prenumeracie: tel. 22 616 36 00 (poniedziałek-piątek w godz. 14-16)

2

Zamów i opłać

- Zamów prenumeratę przez stronę www.sieciprawdy.pl/prenumerata i opłać przelewem ze swojego konta
- **Jeśli nie korzystasz z internetu**, opłać prenumeratę na pocztę, podając dane do wpłaty w okienku



Wytnij karteczkę-niezbędnik na pocztę

Dane do opłacenia prenumeraty Sieci na pocztę:

Nazwa odbiorcy: Fratria sp. z o.o.

Nr konta: 91 1240 5354 1111 0010 7713 6290

Tytuł wpłaty:

.....
(tu wpisz adres dostawy prenumeraty – to warunek otrzymania prenumeraty)

Kwota:

(tu wpisz cenę wybranej prenumeraty, np. 375 zł)

